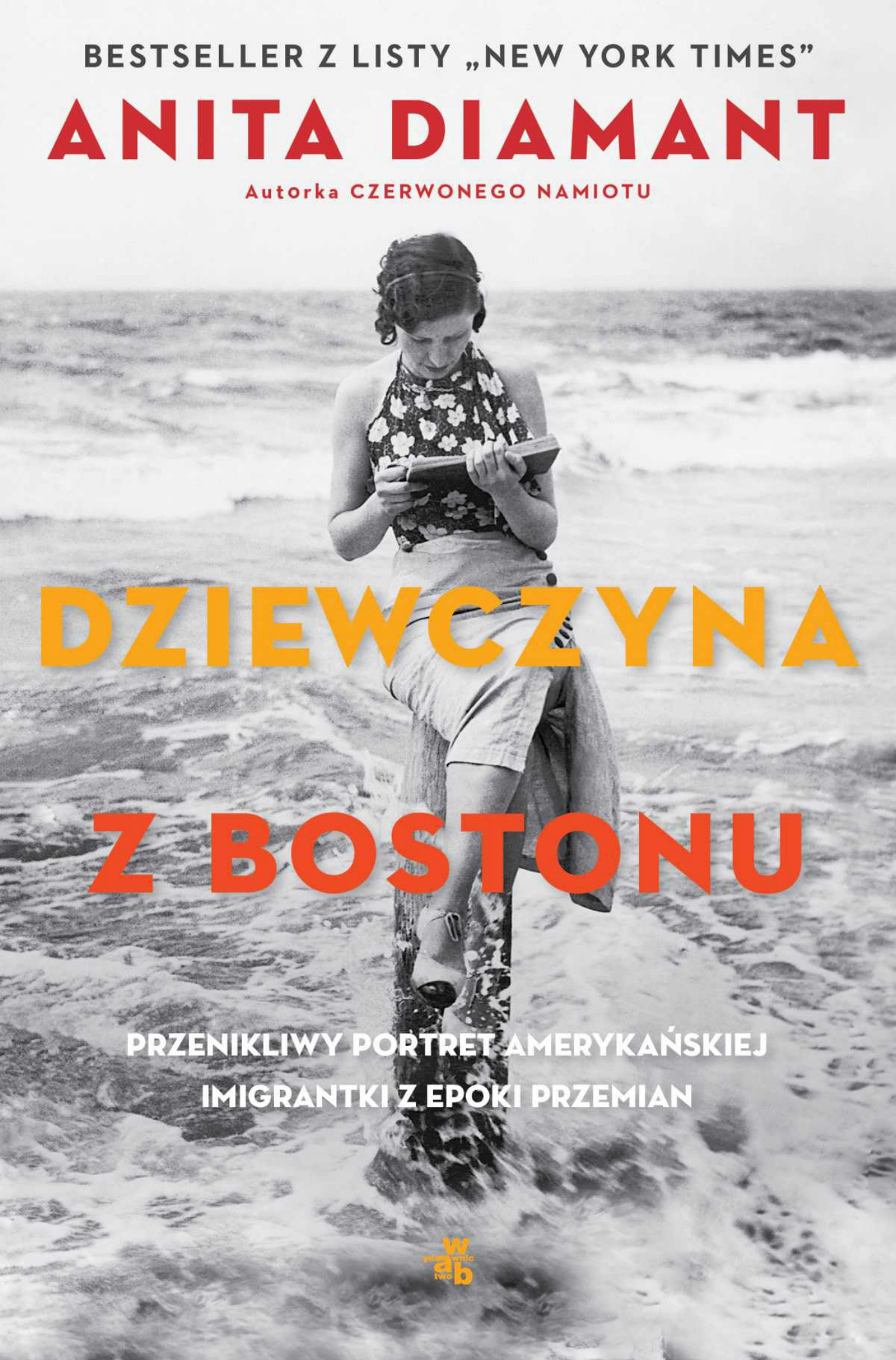


BESTSELLER Z LISTY „NEW YORK TIMES”

# ANITA DIAMANT

Autorka CZERWONEGO NAMIOTU



## DZIEWCZYNA Z BOSTONU

PRZENIKLIWY PORTRET AMERYKAŃSKIEJ  
IMIGRANTKI Z EPOKI PRZEMIAN

Anita Diamant

# DZIEWCZYNA Z BOSTONU

przełożyła Małgorzata Koczańska



*Robertowi B. Wyattowi i S.J.P.*

1985

## Nikt ci nie powiedział?

Avo, kochanie, pytasz mnie, jak stałam się kobietą, którą jestem dzisiaj. I myślisz, że co ci odpowiem? Pochlebia mi, że chcesz przeprowadzić ze mną wywiad. No i przecież nigdy nie mogłabym odmówić mojej ulubionej wnuczce!

Wiem, mówię to wszystkim swoim wnukom, ale zawsze prosto z serca. Wydaje się to śmieszne albo trochę pokręcone, ale to prawda. Zrozumiesz, gdy sama będziesz babcią.

A dlaczego nie? Popatrz na waszą piątkę – lekarz, pracownik społeczny, dwóch nauczycieli i jeszcze ty. Na pewno kiedyś będziecie mieli gromadkę wnucząt.

Oczywiście, że wezmą cię do tego programu, głuptasku. Mój ojciec pewnie przewraca się w grobie, ale ja uważam, że to cudownie.

Nie mów reszcie, ale naprawdę jesteś moją ulubioną wnuczką. I wcale nie dlatego, że jesteś najmłodsza. Wiesz, że dostałaś imię po mnie?

To wcale nie jest ciekawa opowieść.

Wszyscy inni dostali imiona po zmarłych, jak twoja siostra Jessica, której nadano imię po moim zmarłym siostrzeńcu, Jake'u. Ale kiedy ty się urodziłaś, ciężko chorowałam. Nikt nie sądził, że przeżyję, więc rodzice postanowili nadać ci imię po mnie i mieć nadzieję, że anioł śmierci nie pomyli się i nie zabierze ciebie zamiast mnie. Łatwo pomylić Avę i Addie, prawda? Twoi rodzice nie byli tak przesądni, ale musieli potem mówić, że zostałam nazwana po kuzynce swojego ojca, Arlene, żeby ludzie się nie czepiali.

Wiem, wiem. Sporo imion do zapamiętania.

Dziadek i ja nazwaliśmy twoją ciocię Sylvię po matce twojego dziadka, która zmarła podczas epidemii grypy. Twoja mama Clara dostała imię po mojej siostrze Celi.

Jak to nie wiesz, że miałam siostrę Celię? Niemożliwe! Najstarsza była Betty, potem Celia, a później ja. Może zapomniałaś.

Nikt ci nie powiedział? Naprawdę?

Cóż, może to nic dziwnego. Ludzie niechętnie wracają do złych wspomnień.

Zwłaszcza wtedy, gdy to takie stare dzieje.

Jednak powinnaś je poznać. No, to zaczynajmy. Włącz swój dyktafon.

\* \* \*

Mój ojciec przybył do Bostonu z terenów, które teraz chyba należą do Rosji. Zabrał ze sobą moje siostry, Betty i Celię. Był rok 1896, a może 1897, nie jestem pewna. Matka przyjechała trzy lub cztery lata później, a ja urodziłam się w 1900 roku. Całe życie mieszkam w Bostonie – od razu wiadomo, wystarczy tylko, że otworzę usta.

1915-1916

## Wtedy zaczęłam wieść własne życie

W dzieciństwie, gdy mieszkałam w North End, niezbyt się wyróżniałam. W dzielnicy cuchnęło, głównie odpadkami albo gorzej. W domu, żeby pójść do ubikacji, trzeba było zejść trzy piętra do przybudówki na tyłach. Wierz mi, było tam obrzydliwie, ale najbardziej przerażały mnie schody. Nocą nie widziało się własnej ręki przed oczami, na dodatek stopnie były śliskie od brudu i smaru. Na tych schodach jedna pani złamała nogę i już do końca życia kulą.

W 1915 roku mieszkaliśmy we czworo w wynajętym pokoju. Mieliśmy kuchenkę, stół, kilka krzeseł i wytartą kanapę, na której spali rodzice. Celia i ja spałyśmy w jednym łóżku w wąskim ślepym korytarzu. Właściciele domu podzielili mieszkania, żeby zmieścić jak najwięcej ludzi i dużo zarobić. Niewiele dobrego można było powiedzieć o naszym pokoju oprócz tego, że miał okno od strony ulicy, więc wpadało przez nie trochę światła. Wiele pokoi miało okna wychodzące na szyb wentylacyjny, gdzie zawsze panowała ciemność.

Mame nie lubiła, gdy wyglądałam przez okno.

– A jak ktoś cię zobaczy? – pytała. – Ludzie pomyślą, że nie masz nic lepszego do roboty.

Nie rozumiałam, dlaczego tak się tym przejmuje, ale wołałam milczeć, żeby nie oberwać.

Byliśmy biedni, ale nie głodowaliśmy. Tate pracował w fabryce pasów jako krojczy, a Celia zajmowała się wykańczaniem bluzek w zakładzie krawieckim nad sklepem włoskiego rzeźnika. O ile pamiętam, nie nazywaliśmy takiej pracy wyzyskiem, choć właśnie tym była.

Latem panowały straszne upały. Moja matka, gdy nie gotowała albo nie sprzątała, cerowała pościel dla pralni po drugiej stronie ulicy. Dostawała chyba pensa za sztukę.

Razem z ojcem i Celią zarabiali wystarczająco, aby zapłacić czynsz i kupić jedzenie. Pamiętam, że jadaliśmy głównie ziemniaki i kapustę... Do dziś nie mogę znieść zapachu kapusty. Czasami mame przyjmowała lokatora, zwykle marynarza, który właśnie zszedł z pokładu i szukał miejsca na kilka nocy. Mnie



nigdy to nie przeszkadzało, ponieważ matka nie krzyczała za bardzo, gdy w mieszkaniu był lokator, ale Celię niepokoiли obcy.

Celia była „delikatna” – tak przynajmniej powtarzała mame. Moja siostra należała do osób bardzo szczupłych, miała po ojcu wysokie kości policzkowe, niebieskie oczy i gęste brązowe włosy. Pewnie uważano by ją za równie ładną jak obrazki w czasopismach, ale Celia była tak nieśmiała, że krzywiła się, gdy tylko ktoś się do niej zwracał, zwłaszcza mężczyźni, których podsuwała jej mame.

Celia nie lubiła wychodzić z domu. Twierdziła, że to przez jej słabą angielszczyznę. W zasadzie niemal wszystko rozumiała, ale mało mówiła. Ojcu udawało się o wiele lepiej, ale w domu stale mówiliśmy tylko w jidysz.

Mame w rozmowach z sąsiadami często podkreślała, że Celia ma już dwadzieścia dziewięć lat, jakby to oznaczało co najmniej wyrok śmierci. Zaraz jednak dodawała: „Moja Celia ma tak zręczne ręce, że mogłaby przyszyć ptakowi skrzydła w locie. I to taka dobra dziewczyna, skromna, posłuszna, nigdy niesprawiająca kłopotów”.

Ja byłem „tą drugą”.

„Ta druga ma prawie piętnaście lat i jeszcze chodzi do szkoły. Samolubna i leniwa. Udaje, że nie potrafi szyć”. Tyle że wcale nie udawałam. Wystarczyło, że wzięłam igłę, a zaraz kłułam się w palce. Kiedyś mame dała mi prześcieradło, żebym pomogła jej w szyciu. Zostawiłam tyle plamek krwi wzdłuż ściegu, że nie mogła ich doprać i musiała zapłacić za zniszczoną pościel. Nie wiem, ile dni pracy kosztowało ją spłacenie tego długu. Zbiła mnie za to dotkliwie i tyle.

Ty nie możesz o tym wiedzieć, ale wystarczyło spojrzeć na mnie i na Celię, żeby poznać, że jesteśmy siostrami. Miałyśmy takie same nosy – proste i lekko spłaszczone – i ten sam wzrost, trochę ponad pięć stóp. Ja jednak odziedziczyłam sylwetkę po matce, mocną, choć nie grubą, która zaczyna się zaokrąglać już w wieku trzynastu lat. Po matce miałam też szczupłe nadgarstki i czerwonawobrazowe włosy, tak gęste i mocne, że łamało się na nich włosie szczotki. Uważałam, że jestem naprawdę przeciętnej urody, może oprócz oczu, które są jak twoje, Avo, orzechowe, ze złotą obwódką w środku.

Ledwie skończyłam dziesięć lat, moja najstarsza siostra Betty wyprowadziła się z mieszkania. Pamiętam, jak schowałam się pod stołem w dniu, kiedy wyjeżdżała. Mame krzyczała, że dziewczyna powinna mieszkać z rodzicami do zamążpójścia, a „na swoim” to mieszka tylko *kurew*. To znaczy w jidysz

„dziwka”. Musiałam zapytać koleżankę ze szkoły, co to jest „dziwka”.

Potem mame już nigdy publicznie nie wypowiedziała imienia Betty. Jednak w domu mówiła o niej cały czas. „Prawdziwa Amerykanka”, powtarzała i w jej ustach brzmiało to jak przekleństwo.

Co tu kryć, tak właśnie było. Betty bardzo szybko nauczyła się angielskiego i zaczęła się ubierać jak nowoczesna kobieta – nosiła buty na obcasie ze szpiczastymi noskami i odsłaniała łydki. Znalazła sobie pracę jako sprzedawczyni sukien w centrum, w sklepie odzieżowym Filene’a, co było niezwykłym osiągnięciem dla kogoś, kto nie urodził się w tym kraju. Po wyprowadzce rzadko ją widywałam i bardzo tęskniłam. W domu bez Betty było stanowczo za cicho. Odpowiadało mi, że nie ma kłótni z mame, ale tylko Betty umiała rozśmieszyć tate i Celię.

Dom nie należał do wspaniałych, ale lubiłam chodzić do szkoły. Lubiłam przebywać w pomieszczeniach z wysokimi sufitami i dużymi oknami. Lubiłam czytać, dostawać piątki i słuchać pochwał, że jestem dobrą uczennicą. I każdego popołudnia mogłam chodzić do biblioteki.

Gdy skończyłam szkołę podstawową, jeden z moich nauczycieli przyszedł do nas, aby powiedzieć rodzicom, że powinnam iść do szkoły średniej. Wciąż pamiętam, jak się nazywał – pan Wallace. Pamiętam też, jak powiedział, że byłby to ogromny wstyd, gdybym przerwała naukę, i że jeżeli skończę szkołę średnią, na pewno znajdę lepszą pracę. Rodzice wysłuchali go bardzo uprzejmie, ale kiedy skończył, tate oznajmił:

– Moja córka czyta i liczy. To wystarczy.

Przeplakałam wtedy całą noc, a następnego dnia bardzo długo siedziałam w bibliotece, chociaż wiedziałam, że ściągnę na siebie kłopoty. Tak bardzo nienawidziłam wtedy rodziców, że nie mogłam na nich patrzeć.

Jednak gdy położyłam się do łóżka, Celia powiedziała, żebym się nie martwiła, bo najpóźniej za rok pójdę do szkoły średniej. Ona przekona tate. Gdy czuła się nieszczęśliwa albo smutna, ojciec się martwił, że Celia przestanie jeść, co czasami robiła. Nie mógł tego znieść.

Byłam bardzo przejęta, gdy zaczęłam chodzić do szkoły średniej. Sufity znajdowały się tutaj jeszcze wyżej niż w poprzedniej szkole, przez co czułam się jak olbrzymka, jak ktoś ważny. I właśnie to podobało mi się najbardziej. Moją nauczycielką angielskiego była starsza dama, która zawsze nosiła koronkowy kołnierzyk i stawiała mi piątki, ale nieustannie powtarzała, że oczekuje ode mnie więcej.

Prawie tak samo dobrze radziłam sobie z arytmetyką. Tylko nauczyciel historii mnie nie lubił. Kiedyś spytał przy całej klasie, czy mam mrówki w majtkach, ponieważ tak często podnoszę rękę. Inne dzieci zaczęły się ze mnie śmiać, więc przestałam zadawać tyle pytań, chociaż całkiem z tego nie zrezygnowałam.

Po szkole szłam do świetlicy na Salem Street z większością dziewcząt w moim wieku. Miałam tam lekcje gotowania, ale głównie przesiadywałam w bibliotece, gdzie mogłam odrobić lekcje i poczytać książki, które znalazłam na półkach. A w czwartki odbywały się spotkania kółka czytelniczego dla dziewcząt.

I chyba odpowiedź na twoje pytanie powinnam zacząć właśnie od tego.

„Jak stałam się kobietą, którą jestem dzisiaj?”. Początek nastąpił w tej bibliotece, w kółku czytelniczym. Wtedy zaczęłam wieść własne życie.

## Trzy razy hurra dla Addie Baum

Świetlica mieściła się w czteropiętrowym budynku na obrzeżach dzielnicy. Był to nowy dom z żółtych cegieł, nie z czerwonych. We wszystkich pomieszczeniach podłączono elektryczność – nocą rozświetlał ulicę jak latarnia.

W środku panowała nieustanna krzątanina. Znajdował się tam żłobek zapewniający opiekę nad dziećmi matek, które pracowały, a także skład drzewny, gdzie chłopcy uczyli się handlu. Były też klasy, gdzie uczono emigrantów angielskiego. Po zmroku przychodziły kobiety proszące o jedzenie i węgiel, żeby ich dzieci nie umarły z głodu lub zimna. Dzielnica była naprawdę biedna.

Panna Edith Chevalier nie tylko zarządzała całą świetlicą, lecz robiła o wiele więcej. To właśnie ona zorganizowała w bibliotece kółka czytelnicze dla dziewcząt – jedno dla Irlandek, drugie dla Włoszek i trzecie dla Żydówek. Czasami zaglądała do nas i pytała, co czytamy, jednak nie po to, żeby nas sprawdzać – po prostu chciała wiedzieć.

Pewnego dnia zajrzała do biblioteki, gdy moja grupa czytała na głos *Nocny rajd Paula Revere'a*<sup>1</sup> Chyba czytałam lepiej od innych, ponieważ po spotkaniu panna Chevalier zapytała, czy wyrecytowałabym cały wiersz podczas spotkania w sobotę. Wyjaśniła, że sławny profesor wygłosi wykład na temat poezji Henry'ego Wadswortha Longfellowa, więc pomyślała, że zaprezentowanie najbardziej znanego dzieła tego poety byłoby miłym początkiem wieczoru.

Panna Chevalier dodała, że musiałabym nauczyć się całego utworu na pamięć.

– Ale dziewczynce z takimi zdolnościami nie powinno to sprawić trudności.

Mówię ci, Avo, chyba przez całą drogę do domu unosiłam się nad ziemią. W życiu nie spotkało mnie nic wspanialszego i nauczyłam się wiersza w dwa dni, bo chciałam być gotowa na pierwszą „próbę”.

Panna Chevalier była drobną kobietą, niższą ode mnie o kilka cali, co znaczyło, że miała mniej niż pięć stóp wzrostu. Do tego okrągłą twarz, krótkie palce i miedziane włosy, które zwijały się w sprężynki – właśnie przez te włosy

przezywano ją Pudlicą. Ale kiedy kogoś obdarzyła uśmiechem, wiedziało się, że zrobiło się coś naprawdę dobrze. I całe szczęście, bo kiedy weszłam do jej gabinetu, żeby przeciwżyć recytację, byłam kłębkim nerwów.

Zdażyłam powiedzieć zaledwie połowę wiersza, gdy panna Chevalier zapytała, czy wiem, co to znaczy „porywczosć”. Wcale mnie nie skarciła, ale i tak chciałam się zapaść pod ziemię, bo nie tylko nie wiedziałam, co znaczy to słowo, ale też źle je wymawiałam.

Na pewno poczerwieniałam jak burak, ale panna Chevalier udała, że nic nie zauważyła, tylko podała mi słownik i poprosiła, żebym przeczytała definicję na głos.

Nigdy nie zapomnę, że „porywczosć” ma dwa znaczenia: „gwałtownosć ruchów i gestów” i „skłonnosć do gwałtownych działań bez zastanowienia lub wybuchów gniewu”.

Zapytała, które z tych znaczeń według mnie zastosował pan Longfellow. Czytałam definicję ze słownika kilka razy i próbowałam się domyślić właściwej odpowiedzi, ale panna Chevalier chyba wiedziała, co mi chodzi po głowie.

– Nie ma złej odpowiedzi – zapewniła mnie. – Chciałam tylko poznać twoje zdanie, Addie. Jak sądzisz?

Nigdy w życiu nie pytano mnie o zdanie, ale wiedziałam, że nie powinnam pozwolić, aby panna Chevalier czekała za długo, więc powiedziałam pierwsze, co mi przyszło na myśl:

– Może oba.

Bardzo jej się to spodobało.

– Patrioci zapewne musieli być porywczy w obu znaczeniach, inaczej nie ośmieliliby się sprzeciwić Brytyjczykom. – A potem spojrzała na mnie. – Nazwałabyś siebie porywczą, Addie?

Tym razem wiedziałam, że pyta mnie o zdanie.

– Moja matka uważa, że tak.

Panna Chevalier przyznała, że matki mają prawo martwić się o swoje córki.

– Ale wydaje mi się, że dziewczęta potrzebują też przemysłności, zwłaszcza w obecnych czasach. I sądzę, że ty właśnie jesteś dziewczynką, którą cechuje przemysłność.

Po tym, jak sprawdziłam, co znaczy „przemysłność”, nigdy już nikomu nie pozwoliłam przezywać panny Chevalier Pudlicą.

\* \* \*

Opowiedziałam Celi i rodzicom o zaszczycie, jakim będzie recytacja na spotkaniu w sobotę, ale kiedy nadszedł ten dzień i włożyłam płaszcz, mame oznajmiła:

– Nigdzie nie pójdziesz.

Powiedziałam jej, że przecież wszyscy na mnie czekają i długo się przygotowywałam, na dodatek beze mnie nie zacznie się spotkanie, ale mame tylko wzruszyła ramionami, jakby to nic nie znaczyło.

– Jest za zimno. Niech ktoś inny złapie zapalenie płuc.

Nie wierzyłam własnym uszom. Najpierw zaczęłam się spierać i prosić, a potem tylko krzyczałam.

– Nikt inny mnie nie zastąpi! Wszyscy na mnie liczą. Jeżeli nie przyjdę, już nigdy nie będę mogła się tam pokazać!

Mame spojrzała na mnie twardo.

– Kiedy byłam w twoim wieku, nie ruszałam się z domu bez matki, więc milcz i przestań mnie złościć.

Wtedy odezwała się Celia:

– Pozwól jej iść, mame. To niedaleko. Może wziąć mój szalik.

Matka prawie nigdy nie podnosiła głosu na Celię, ale tym razem warknęła:

– Nie wtrącaj się. Ta dziewczucha siedzi sobie w szkole, gdy ty męczysz się w pracy. Już zniszczyła sobie wzrok czytaniem. Dziewczyna, która ciągle mruży oczy, nie znajdzie męża.

– Może wcale nie chcę mieć męża – odgryzłam się i czmychnęłam za Celię, żeby matka mnie nie uderzyła.

Ale mame tylko się roześmiała.

– Jesteś aż tak głupia? Małżeństwo i dzieci to ukoronowanie życia kobiety.

– Jak dla pani Freistadt? – zapytałam.

Mame nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Pani Freistadt mieszkała po drugiej stronie ulicy. Pewnego dnia jej mąż wrócił do domu z pracy i oznajmił, że nie może już żyć z kobietą, której nie kocha, więc po dwudziestu latach małżeństwa i spłodzeniu czterech córek, jeszcze małych, odszedł. Tak po prostu. Porzucona żona nie знаła angielskiego i nie umiała nic poza sprzątaniami i gotowaniem. Popadła w taką biedę – ona i jej cztery córki – że wszyscy w sąsiedztwie się wstydzili.

Wzmianka o pani Freistadt była kroplą, która przelała czarę. Mame

zamierzyła się, żeby mnie spoliczkować.

– Niewdzięczna dziewczucha! – krzyczała. – Gorsza niż żmija!

Odkoczyłam, co tylko bardziej ją rozzłościło.

– Mój ojciec złałby cię pasem! – wrzasnęła i wreszcie udało jej się dosięgnąć.

Uderzyła mnie. Celia na odgłos policzka zaczęła zawodzić, jakby to ona oberwała.

Matka przyparła mnie do ściany i przytrzymała ręką, a ja szarpnęłam się z krzykiem:

– Zostaw mnie w spokoju!

I wtedy wszedł tata. Kazał matce mnie puścić.

– Nic nie robisz! – wrzasnęła mama. – A ja nie pozwolę, żeby w tej rodzinie wyrosła druga dziwka!

– Nie mów tak – oburzył się ojciec. – Betty to dobra dziewczyna.

W drzwi ktoś załomotał.

– Cicho tam!

Celia przez cały czas płakała, a na dodatek zaczęła uderzać czołem o stół.

– Dość, dość, dość – powtarzała.

Uderzała głową tak mocno, że drżał blat.

Papa złapał ją za ramiona.

– Leno, ona się rani!

Mama puściła mnie i odwróciła się do ojca, a ja uciekłam.

\* \* \*

Zimny wiatr dmuchnął mi w twarz i miałam wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się na górze, zniknęło. Ruszyłam szybko do świetlicy, w rytm swoich kroków szepcząc słowa wiersza.

*Poznajcie, dzieci, wyczyn bohatera,  
Nocny rajd konny Paula Revere'a,  
Kwietniowej nocy, roku pamiętnego.  
Nie ma już dzisiaj nikogo żywego,  
co rajd ten widział, który dech zapiera.*

Niemal zupełnie się uspokoiłam, gdy weszłam do świetlicy, ale zaraz potem przeżyłam wstrząs, gdy zobaczyłam krzesła i ławki w dużej sali – wszystkie



zajęte przez roześmiane i rozgadane dziewczęta.

Sobotni klub różnił się od kółek czytelniczych i innych zajęć. Na spotkania przychodziło o wiele większe grono – nie dziesięć czy dwanaście, lecz prawie pięćdziesiąt dziewcząt wszystkich wyznań. Pojawiały się też starsze dziewczyny; niektóre chodziły do szkoły średniej, ale większość miała już pracę. Wybierały przez głosowanie kierownictwo kółka i decydowały o spotkaniach. Od większości z nich byłam młodsza tylko o trzy lub cztery lata, ale wydawały mi się dorosłe.

Panna Chevalier stała przy drzwiach. Kazała mi zająć miejsce w pierwszym rzędzie i czekać na przyjazd profesora. Powiedziała, że powinien zaraz się pojawić, ale minęło pięć minut, a potem kolejne... Byłam coraz bardziej zdenerwowana. Ręce mi się trzęsły, gdy wreszcie profesor wszedł. Wyglądał zupełnie jak Longfellow na portretach – miał białą brodę i długie włosy – wydawać by się mogło, że to sam poeta powrócił z zaświatów.

Rose Reardon, przewodnicząca kółka, uderzyła młotkiem i przeczytała kilka ogłoszeń. Nie usłyszałam ani słowa, a panna Chevalier musiała mnie klepnąć w ramię, gdy naszedł czas, abym wyszła na scenę. Nogi miałam jak z waty.

Musiałam nauczyć się na pamięć bardzo dużo. Nie tylko zapamiętać słowa wiersza, lecz także wskazówki panny Chevalier, żeby recytacji dodać wyrazu. Zwłaszcza że znajdowaliśmy się w North End w Bostonie, gdzie każde dziecko w wieku szkolnym znało *Nocny rajd* i miało go serdecznie dość.

Panna Chevalier uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową, żebym zaczynała.

Pamiętałam, że mam recytować początek trochę z zadyszką, jakbym miała wyjawiać tajemnicę. A potem starałam się przedstawić Paula Revere'a jako prawdziwą postać. Przebierałam nawet nogami, żeby oddać jego zniecierpliwienie i gotowość do jazdy. Szeptem opowiedziałam o nagrobkach, które stały „samotne, upiorne, ponure i ciche”, aby zabrzmiało to strasznie. A na koniec bardzo zwolniłam tempo deklamacji.

*Gdy w czas próby nastaje ta czarna godzina  
I w ciszy echem się niesie tętent kopyt ogiera,  
Człek ze snu obudzony nasłuchiwać zaczyna,  
Czy to nie wieść o północy od Paula Revere'a.*

Policzyłam do trzech i ukloniłam się, jak nauczyła mnie panna Chevalier. Rozległy się brawa, a potem nawet „Trzy razy hurra dla Addie Baum”. Panna Chevalier ujęła mnie pod ramię i przedstawiła profesorowi, który powiedział,



że Wielki Poeta byłby ze mnie dumny.

A potem rozpoczął wykład. Ale co to był za wykład – o rany! Nie tylko długi, lecz także potwornie nudny. Jakby się słuchało tykania zegara. Dziewczęta zaczęły ziewać i oglądać swoje paznokcie. Nawet panna Chevalier musiała udawać zainteresowanie. Kiedy profesor przerwał, żeby wydmuchać nos, wstała i zaczęła klaskać, jakby wykład właśnie dobiegł końca. Cała widownia również zaczęła bić brawo i myślę, że w ten sposób chciała podziękować pannie Chevalier za ratunek.

Po tej prelekcji zostałam gwiazdą. Dziewczyny, których nie znałam, podchodziły, żeby mnie pochwalić, i pytały, gdzie pracuję, albo proponowały mi kolejną porcję ponczu i ciasteczko.

Panna Chevalier przedstawiła mnie pannie Green, artystce, która prowadziła w świetlicy zajęcia poetyckie. Obie mieszkały w pokojach na ostatnim piętrze. I obie nosiły to samo imię – Edith, więc często mówiono o nich „panny Edith”.

Obie panny Edith były podobnego wzrostu, jednak panna Green przy swojej przypominającej gołębia koleżance wydawała się jaskółką. Przekrzywiła głowę po ptasiemu i przyglądała mi się okrągłymi, jasnymi oczami przenikliwie jak ptak.

– Panna Chevalier wiele mi o tobie mówiła – oznajmiła. – Mam nadzieję, że wspomniała ci o wyjeździe latem do pensjonatu w Rockport? Na pewno spodoba się tam dziewczynie takiej jak ty.

Panna Chevalier wyjaśniła, że pensjonat znajduje się w nadmorskim miasteczku Rockport na północ od Bostonu. Przyjeżdżają tam młode panny. Podobno nie jest drogi i niektóre członkinie kółka jeżdżą tam co roku.

– Na pewno słyszałaś, że dziewczęta Frommerów były tam już kilka razy – dodała panna Green.

Chyba jej się wydawało, że wszystkie Żydówki się znają, ale Helen i Gussie Frommer spotkałam po raz pierwszy dopiero tego wieczoru. Helen była starsza, prawdziwa piękność o kremowej cerze i ciemnych oczach. Gussie, która przypominała szarą myszkę z dużym nosem, musiała jej zazdrościć, ale nigdy nie widziałam tak bardzo żytych i troszczących się o siebie sióstr.

Helen była słodka, a Gussie miała wyjątkowo silny charakter. Oprowadziła mnie po całej sali i przedstawiła praktycznie wszystkim.

Kiedy podeszliśmy do Rose Reardon, oznajmiła:

– Droga prezesko, nie uważasz, że Addie powinna zostać członkinią sobotniego klubu? Panna Chevalier zna ją dobrze, więc na pewno się nie

zawiedziesz.

– Oczywiście! – zapewniła Rose.

Była postawną dziewczyną o ciemnorudych włosach, pięknych zielonych oczach i miała szparę między przednimi zębami. Tego rodzaju twarz zwykle się nazywać „mapą Irlandii”.

– Powinnaś też przyjechać do Rockport. Wieczorami tańczymy i śpiewamy, a niektóre dziewczęta czytają wiersze na głos – coś dla ciebie. I nie chodzimy głodne. – Rose poklepała się po brzuchu. – Dostajemy trzy posiłki dziennie i ciasto na podwieczorek.

Tak wspaniale się bawiłam, że trudno mi było nawet myśleć o powrocie do domu. Wyszłam jako jedna z ostatnich. Towarzyszyła mi Filomena Gallinelli, która zwierzyła mi się, że nie potrafi sobie nawet wyobrazić, że mogłaby wystąpić przed tak wielką widownią.

– Wyglądałaś, jakbyś się świetnie bawiła – dodała.

– Byłam przerażona – wyznałam.

– Więc jesteś świetną aktorką.

Widowałam Filomenę w świetlicy i uważałam, że jest piękna. Prawdziwa Włoszka o ciemnych włosach, ciemnych oczach i oliwkowej cerze. Nosiła długi warkocz, strasznie niemodny, ale pasował do niej, nie tylko dlatego, że dobrze wyglądała w takim uczesaniu, lecz także dlatego, że była artystką. Filomena jako jedna z nielicznych dziewcząt miała stałą posadę – w pracowni porcelany na Salem Street. Była też ulubienicą panny Green, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo Filomena miała prawdziwy talent.

Zapytała, czy moje imię to zdrobnienie od Adeline jak z piosenki *Słodka Adeline*.

– Nie, tylko Addie – wyjaśniłam. – Wymyśliła je moja siostra Betty, a ojcu się spodobało, bo brzmiało podobnie do Altie, czyli imienia jego babki.

Filomena przyznała, że zazdrości mi takiego amerykańskiego imienia.

– Moje jest za długie i nikt nie potrafi go wymówić.

– Ale do ciebie pasuje, bo jest piękne i niezwykle. Addie to imię dla zwyczajnej prostytutki.

– O czym ty mówisz? – oburzyła się Filomena. – Masz ładną figurę i piękne oczy. Na dodatek żadna prostytutka nie umiałaby tak zadeklamować wiersza jak ty dziś wieczorem.

Potem pożegnałyśmy się, ale jakoś jeszcze nie chciało mi się wracać do domu, więc szłam i szłam – spacerowałam po Hanover Street, potem skręcałam

za szkołę i obeszałam całą dzielnicę. Nie przejmowałam się zimnem, bo myśli przemykały mi przez głowę z prędkością tysiąca mil na godzinę. Zastanawiałam się, co to znaczyło „dziewczyna taka jak ty” w ustach panny Green i czy mogłabym się zaprzyjaźnić z Gussie, Helen i Rose. Wspominałam brawa i wszystkie pochwały, cieszyłam się, że Filomena była dla mnie taka miła.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedziała mi na pożegnanie.

Był to najwspanialszy wieczór w moim życiu i gdybym nie weszła w kałużę i nie przemoczyła sobie butów, doszłabym pewnie na piechotę do pensjonatu w Rockport – choćby znajdował się na końcu świata.

## Od czego są przyjaciółki?

Nigdy nie zapomnę dnia, gdy zabrałam twoją matkę na *Czarnoksiężnika z Oz*. Pamiętasz tę scenę, gdy obraz zmienia się z czarno-białego na kolorowy? Właśnie tak się poczułam, gdy po raz pierwszy pojechałam do Rockport. Wszystko wydawało mi się kolorowe i nowe, nawet to, co widziałam przez całe życie.

Na przykład ocean. Port znajdował się o kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkałam. Oczywiście woda tam była brudna, a z doków cuchnęło i wiało grozą, ale jak mogłam nie wiedzieć o wysokiej i niskiej fali? Nigdy nie widziałam, jak chmura w okamgnieniu zmienia kolor morza, nigdy też nie słyszałam, aby fale huczały tak głośno, że zagłuszały słowa osoby stojącej tuż obok.

W pierwszym tygodniu pobytu w pensjonacie zobaczyłam pola kukurydzy, kozy i latarnię morską. A kiedy położyłam się spać i zamknęłam oczy, wciąż widziałam błyski świateł z nabrzeża. Nie mogłam się do nich przyzwyczaić.

Właśnie w Rockport po raz pierwszy spałam sama w łóżku. A pościel? Wyprasowana! Wydawało mi się, jakbym spała w jedwabiach. Dostałam też ręcznik tylko dla siebie i poduszkę, która pachniała kwiatami. Poznałam tak wiele nowych zapachów – kwiatów z krzewów różanych, wodorostów, dymu z ogniska. Pierwszy raz jadłam hot dogi, ciasto z wiśniami i toffi, które kleiły mi się do zębów.

W 1916 roku pobyt w pensjonacie Rockport kosztował naprawdę niewiele. Chyba płaciło się siedem dolarów za tydzień, ale było to o siedem dolarów więcej, niż miałam. Kiedy panna Chevalier dowiedziała się, że nie mogę sobie pozwolić na wyjazd, zatrudniła mnie jako swoją pomocnicę. Właściwie to wymyśliła stanowisko specjalnie dla mnie.

Nosiłam jej listy do skrzynki pocztowej, pomagałam w żłobku, kiedy któraś z opiekunek była chora, a w bibliotece odkładałam książki na regały. Sprzątałam też w pracowni porcelany, gdzie mogłam obserwować, jak Filomena i kilka innych dziewcząt malują na talerzach i wazonach wzory zaprojektowane przez pannę Green. Potem sprzedawały swoje prace w małym

sklepiku na parterze.

Kiedy pannie Chevalier kończyły się pomysły, jakie jeszcze prace mi zlecić, sadzała mnie w swoim gabinecie i kazała czytać książki Karola Dickensa, o których potem rozmawialiśmy. Bardzo się wtedy zaprzyjaźniłam ze słownikiem panny Chevalier.

Płaciła mi pięćdziesiąt centów na tydzień, ale dostawałam o wiele więcej niż tylko pieniądze. Miałam prywatne lekcje literatury, okazję do przyglądania się artystom przy pracy i czas na czytanie. Wtedy tego nie doceniałam, ale co ja mogłam wiedzieć o życiu. Miałam dopiero piętnaście lat.

W domu nikomu nie zdradziłam, co robię. Chętnie zwierzyłabym się Celi, ale moja siostra nie umiała dotrzymać tajemnicy i nigdy nie skłamała. Rodzice nie znali pojęcia wakacji. I co miałabym im powiedzieć? Że zarabiam na wyjazd, podczas którego nie będę nic robić? Że mam pieniądze, ale nie dokładam się do rachunków, podczas gdy Celia oddaje każdego zarobionego pensa? Z tego powodu czułam się naprawdę winna. Próbowałam jakoś jej to wynagrodzić i starałam się mniej jeść. Byłam pewna, że nikt nie zauważył.

\* \* \*

Do Rockport przyjechałam w dniu swoich szesnastych urodzin, dziesiątego czerwca.

Nie musiałam się długo przygotowywać do wyjazdu. Większość swoich ubrań miałam na sobie, resztę wcisnęłam do starej poszwy od poduszki. Kupiłam tę poszwę za parę pensów od obwoźnego szmaciarza. W bucie Celi zostawiłam notatkę, że wybrałam się na wakacje z kilkoma miłymi dziewczętami, z którymi się zaprzyjaźniłam. Zostawiłam też dwa dolary – wszystko, co zdołałam zaoszczędzić – chociaż doskonale wiedziałam, że matce nie zrobi to żadnej różnicy. Wcześniej posmarowałam zawiasy kurzym tłuszczem, żeby drzwi rano nie skrzypiały – byłam z siebie bardzo dumna, że o tym pomyślałam.

W noc przed wyjazdem nie zmrużyłam oka. Zerwałam się z łóżka, gdy tylko pojawiły się pierwsze oznaki świtu. Zanim wymknęłam się za drzwi i włożyłam buty, wstrzymywałam oddech.

Dziwnie było iść przez dzielnicę tak wczesnym rankiem, przez zupełnie puste i ciche ulice. Nie pojawił się nawet mleczarz, nikt. Straszne...

Gdy nie było ludzi, dostrzegało się panujący wokół brud. Wszędzie walały się sterty śmieci, po których biegały szczury. Najgorzej wyglądało to w

rynsztokach. Pędziłam ile sił w nogach, byle tylko opuścić dzielnicę i znaleźć się przy porcie, gdzie czekały Gussie z Helen i Rose.

Większość dziewcząt przyjeżdżała do Rockport pociągiem, ale panna Chevalier wykupiła dla nas bilety na prom. Dzień był słoneczny, a morze spokojne. Przez całą drogę stałam przy relingu na dziobie, bo nie chciałam niczego przegapić. Szkoda, że nie prowadziłam wtedy pamiętnika, ale nadal pamiętam plusk fal o kadłub – dla mnie brzmiało to jak klaskanie. Tuż nad moją głową, nie wyżej niż dziesięć stóp, zawisła mewa, widziałam smugi soli na jej skrzydłach i szare ślepie, które przypominały marmurowe paciorki. Zanim prom dopłynął do Gloucester, usta bolały mnie od uśmiechu.

Podczas zbliżania się do przystani Rose zaczęła podskakiwać i machać rękami do postawnej kobiety w wielkim kapeluszu.

– Nie do wiary, że to pani Morse po nas przyszła – wyjaśniła. – To najlepsza kucharka na świecie.

Pani Morse również wydawała się uradowana naszym widokiem. Zaprowadziła nas do staroświeckiego wozu ciągniętego przez konia. Musiałyśmy usiąść wśród worków mąki, nogi zwisały nam nad ziemią.

Dobrze, że musiałyśmy się mocno ścisnąć, bo na każdym wyboju podrzucało nas wysoko jak podczas jazdy kolejką w wesołym miasteczku – cud, że nie spadłyśmy. Było zabawnie, tylko potem strasznie bolały mnie pośladki.

Pensjonat Rockport okazał się piękniejszy, niż sobie wyobrażałam – duży, dwukondygnacyjny dom, otynkowany na biało, z czarnymi okiennicami i werandą od frontu. Po ścianach pięły się krzewy róż z pąkami nie większymi niż guziki, sięgały niemal do okien na piętrze, w których powiewały białe zasłony. Tuż przy domu rósł sad, a w cieniu drzew stały ławki.

Filomena powitała nas w progu i pochwaliła się, że poprosiła, abym zamieszkała z nią w pokoju.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Nie mogłam uwierzyć. Od naszej rozmowy po spotkaniu na sobotnim kółku zamieniłyśmy tylko kilka słów w pracowni garncarskiej. Podziwiałam Filomenę – nie tylko ze względu na jej wygląd i talent, lecz przede wszystkim dlatego, że była tak pewna siebie.

Była jedyną dziewczyną w pracowni, której panna Green powierzała malowanie dużych waz i wazonów – takich, które wystawiano w galerii i sprzedawano po naprawdę wysokich cenach. Wiedziałam, że inne dziewczęta też chciałyby to robić, ale Filomena nigdy nie przeproszała za otrzymane



wyróżnienie. I nie chodzi o to, że się przechwalała. Po prostu wiedziała, kim jest, co wtedy należało do rzadkości. Podejrzewam, że i w dzisiejszych czasach to niełatwe, co? Mnie prawie czterdzieści lat zajęło zrozumienie, kim chcę zostać, gdy dorosnę.

Filomena poprowadziła mnie frontowymi schodami na długi korytarz, gdzie wszystkie drzwi były otwarte. Widziałam dziewczyny, które się rozpakowywały i przebierały, rozmawiały i śmiały się, jakby to było przyjęcie. Nasz pokój znajdował się na samym końcu.

– Nie ma tu dużo miejsca, ale będziemy tylko we dwie. W niektórych pokojach muszą się zmieścić aż cztery dziewczyny.

W pokoju wystarczyło miejsca tylko na dwa wąskie łóżka, szafkę i jedno krzesło. Był urządzony bardzo prosto – białe ściany i pociemniała, stara podłoga z desek. Jednak wpadające przez okno promienie słońca sprawiały, że narzuty i wezgłowia łóżek zdawały się błyszczeć.

Filomena wyciągnęła się na posłaniu, ale ja obawiałam się pognieść pościel, więc nie ruszyłam się z progu.

– Kiedy przyniesiesz swoją walizkę, możesz włożyć rzeczy do dolnych szuflad.

Gdy Filomena powiedziała „walizkę”, upuściłam swoją poszwę z ubraniami i pomyślałam: „O, nie. Co ja tutaj robię?”.

Ona jednak szybko zrozumiała.

– Dobrze, że nie przesadziłaś z bagażem. Ja zawsze zabieram za dużo ubrań. Ale przynajmniej będę mogła ci coś pożyczyć. Lubię się dzielić.

Było to bardzo miłe z jej strony. Ogarnęła mnie taka ulga, że chciało mi się płakać. Na szczęście na dole rozległ się dzwonek.

– Lunch gotowy – wyjaśniła mi Filomena. – Wszyscy powtarzają, że świeże powietrze pobudza apetyt, i chyba mają rację, bo zawsze jestem tutaj głodna.

W jadalni było sześć stołów z białymi obrusami i serwetkami, zastawionych talerzami, szklankami, sztućcami. Wtedy widziałam takie tylko na filmach.

Filomena wskazała mi, gdzie siedzą Gussie, Helen i Rose.

– Do zobaczenia później – powiedziała i podeszła do grupy podobnych do niej, ciemnowłosych dziewcząt przy innym stole.

Rose siedziała obok bladej, chudej dziewczyny o zielonych oczach i marchewkowych włosach oraz piegowatym nosie i policzkach.

– To Irene Conley, mamy wspólny pokój – przedstawiła ją Rose. – I też pochodzi z Bostonu.

Przywitałam się uprzejmie, ale Irene tylko wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Rose, która lubiła się uśmiechać, posłała jej groźne spojrzenie.

– Zęby cię bolą czy co?

Irene wzruszyła ramionami.

Helen zapytała, czy już się rozpakowałam i czy czegoś potrzebuję. Była nie tylko piękna, lecz także bardzo opiekuńcza i miła. Tego dnia miała różową bluzkę i wyglądała w niej jak kwiat. Przerwała mi jednak, kiedy próbowałam jej to powiedzieć.

– Czy moja siostra już cię wszystkim przedstawiła? Gussie zawsze się o to troszczy w Rockport.

Gussie nie grzeszyła urodą, ale wszyscy ją lubili, ponieważ umiała sprawić, że czuli się ważni. Gdy tylko spotkała nową osobę, chciała się o niej wszystkiego dowiedzieć. Helen żartowała, że siostra prowadzi „przesłuchanie”, ale przyjemnie było mówić o sobie. Na drugim spotkaniu sobotniego kółka Gussie zaciągnęła mnie w kąt i przepytowała o szkołę, ulubionych aktorów filmowych i rodzinę oraz spytała o moją opinię o ruchu wstrzemięźliwości i prohibicji. Kiedy przyznałam, że niezbyt dobrze to rozumiem, wyjaśniła, że był to dobry pomysł, który na pewno się nie sprawdzi.

Gussie nigdy nie zapominała ani imion, ani niczego, co jej się powiedziało. Byłaby wspomniała politykiem.

Kiedy zauważyła, że zerkam na stolik, przy którym siedziała Filomena, szepnęła:

– Przyjaźnią się od dziecka. Włoszki zawsze trzymają się razem. Dziewczyny, które siedzą za nami, przyjechały z klubu w Arlington. Te przy stole obok to na sto procent Irlandki. Czasami trafi się grupa Żydówek, ale nasz stół przypomina kółko sobotnie, pomieszanie z poplątaniem.

– Jak miszmasz, mieszanka orzeszków do piwa.

– Ładne! – roześmiała się Rose. – Powinnyśmy się tak nazwać. Miszmasz, czyli dziewczyny na tyle szalone, żeby rozmawiać z każdym, kto rozmawia z nami.

Gussie uniosła szklanekę z wodą jak do toastu.

– Za Miszmasz.

\* \* \*

Przed lunchem poznałyśmy panie, które w tym roku prowadziły pensjonat. Panna Holbrooke i panna Case przypominały mi nasze opiekunki ze świetlicy.



Były młodsze i zupełnie niepodobne do obu panien Edith, ale cechowały się rozważą i miały wygodne, proste obuwie. No i nie malowały się.

Panna Holbrooke nosiła bufiaste spodnie, tak staroświeckie, że wyglądały bardziej na kostium teatralny niż normalne ubranie. Miała duże szare zęby i grzywę długich i sztywnych mysich włosów. Przypominała konia. Zawsze chodziła z gwizdkiem zawieszonym na szyi na sznurku i zwisającym niemal do talii. Panna Holbrooke nadzorowała zajęcia na dworze – grę w tenisa i krykieta, łucznictwo, wizyty w mieście i inne, jak to określała, „atrakcje”, jak choćby jazda na rowerze.

Panna Case miała tak jasne włosy, że brwi i rzęsy zdawały się niemal niewidoczne. Była niższa i bardziej małomówna niż panna Holbrooke, ale to właśnie ona rządziła pensjonatem. Pamiętam, że nie rozstawiała się ze swoją księgą i trzymała ją często przed sobą otwartą jak na biurku.

Panna Case kazała nam odmówić modlitwę przed jedzeniem. Rose i Irene pochylały głowy i złożyły ręce, ale Gussie, Helen i ja tylko zeszywniałyśmy. Panna Case zamknęła oczy i podziękowała Bogu za jedzenie i ludzi, którzy dali pieniądze, żebyśmy mogły zaznać zdrowego odpoczynku na łonie natury, za Stany Zjednoczone i Chrystusa, któremu wszystko zawdzięczamy.

Zapytałam Gussie, czy tak jest zawsze.

– Modlitwa przed każdym posiłkiem, tak – przyznała Gussie. – Ale nigdy nie słyszałam tej ostatniej części.

Żydzi nigdy nie wymawiali na głos imion „Jezus” lub „Chrystus”, nie chodzili też do kościoła. Jakby tam panowała zaraza.

Jako dziecko niewiele myślałam o swoim żydowskim pochodzeniu. W mojej dzielnicy mieszkali Żydzi, Włosi, Irlandczycy i inni, ale nikomu to nie przeszkadzało. Czasami chłopcy się bili, niekiedy chodziło o wyznanie, ale głównie, o ile pamiętam, kierowano się zasadą: żyj i pozwól żyć innym.

Poczułam lekkie skrępowanie, gdy Helen i Gussie zdjęły z kanapek szynkę i zjadły tylko chleb z musztardą. Ja jednak byłam bardzo głodna, więc zjadłam mięso, i to bynajmniej nie pierwszy raz. W młodości często dopadał mnie głód, więc nigdy nie wybrzydzałam, chociaż wiedziałam, że nie wszystko, co jem, jest kosherne. Wiele niekoszernych potraw smakowało wspaniale i nigdy nic złego mnie nie spotkało. Dlatego jadłam wszystko, co mi podawano w pensjonacie w Rockport. Oprócz pikli.

Kto to słyszał, żeby ogórki konserwowe były słodkie i miękkie? *Fuj!*

\* \* \*

Po lunchu zostałyśmy odesłane na górę. Miałyśmy włożyć buty i kapelusze, żeby przygotować się na ekskursję. Nie miałam słownika, więc zapytałam Rose, co to jest „ekskursja”.

– To samo, co spacer, tylko o wiele szybszy i dwa razy dłuższy, niżbyś chciała. Jednak zwykle potem cieszysz się, że poszłaś.

Nie miałam kapelusza ani drugiej pary butów, więc postanowiłam poczekać na resztę dziewcząt na werandzie. Stały tutaj krzesła splecione tylko z cienkich witek. Nie wierzyłam, że można na nich wygodnie siedzieć. Jak widzisz, Avo, byłam naprawdę zielona, nie znałam nawet wiklinowych mebli.

Pensjonat w Rockport znajdował się przy drodze do Gloucester, ale tylko raz zobaczyłam przejeżdżający tamtędy samochód. Było tam tak cicho, że słyszałam brzęczenie pszczoł nad różami i ćwierkanie ptaków w oddali. Jakaś dziewczyna na górze zawołała:

– Gdzie moja szczotka do włosów?

Z kuchni dobiegał stukot noży przy krojeniu i siekaniu. Każdy odgłos wydawał się osobny i wyraźny – jak oprawiony w ramę obraz na ścianie. Pomyślałam wtedy: „Ach, to są właśnie *spokój i cisza*”.

\* \* \*

Niedługo potem na werandę wyszła Rose w starym słomkowym kapeluszu i płóciennych butach. Przyproceedziła Irene, która wyraźnie wcale nie chciała iść.

– Przyrzekłam, że jeżeli pójdzie dzisiaj, ten jeden raz, więcej nie będę jej namawiać – wyznała mi Rose.

Panna Holbrooke przyniosła stos starych gazet i zaczęła z nich składać trójkątne czapki. Przymierzyła jedną, a kilka dziewcząt zachichotało na ten widok.

– Wiem, że nie są to najmodniejsze nakrycia głowy sezonu, ale nie chcę, żeby któraś z was już pierwszego dnia dostała udaru od słońca i zemdląła.

Okazało się, że tylko ja i Irene nie mamy kapeluszy. Irene dostała czapeczkę z reklamami damskich gorsetów na każdej stronie. Mnie poszczęściło się trochę bardziej – miałam tylko wyniki rozgrywek bejsbolowych.

Panna Holbrooke dmuchnęła w gwizdek i oznajmiła:

– Ruszamy!

Miała wysoki, donośny głos, który słyhać było równie dobrze jak gwizdek.

Do pensjonatu przyjechało nas ponad dwadzieścia. Panna Holbrooke poprowadziła grupę obok sadu przy domu, a potem na pylistą drogę między polami. Rośliny rosły tutaj w długich rzędach. Pokazała nam, które z nich to kukurydza, a które rzepak, jednak najbardziej interesowała się skałami. Nazwała je relikdami.

– Można powiedzieć, że to amerykańskie Stonehenge.

Później przyjrzałam im się uważniej.

Droga doprowadziła nas prosto na plażę. Jasne promienie słońca odbijały się od morskich fal jak od milionów maleńkich luster.

– Na świętą makrelę – usłyszałam szept Irene.

– Amen – odszepnęłam.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Nigdy w życiu nie widziałam takich ślicznych dołączków.

\* \* \*

Panna Holbrooke poprowadziła nas potem wzdłuż okazałych domów z kilkoma tarasami i balkonami od strony oceanu. Nad jednym wznosiła się wieżyczka jak w pałacu z bajki.

– Nie dałabym się stamtąd nigdy zabrać – westchnęła Rose.

Obeszliśmy Rockport rogatkami i ruszyliśmy wyżej do Dogtown – wielkiego lasu na Cape Ann. Panna Holbrooke powiedziała, że pokaże nam coś wyjątkowego.

Im dalej od wybrzeża, tym bardziej dotkliwy był upał. Byłam w bluzce z długim rękawem, a buty mnie obcierały, więc miałam szczerą nadzieję, że ta atrakcja panny Holbrooke będzie się wiązała z lodami albo lemoniadą.

W lesie zrobiło się trochę chłodniej.

– Niedługo będziemy na miejscu – zapewniła nasza opiekunka.

Przyśpieszyliśmy kroku. Byliśmy ciekawe, co takiego zobaczymy. Wodospad? Borówki?

Kiedy jednak zatrzymała się i oznajmiła: „Oto jesteśmy!”, nie dostrzegłam niczego specjalnego – tylko drzewa, zarośla i skały.

– Ale gdzie jesteśmy? – zdziwiła się Gussie.

Panna Holbrooke podeszła do wielkiego głazu i poklepała go, jakby pieściła szczeniaka.

– Dotarliśmy do naszego pierwszego głazu narzutowego. To mój ulubiony

okaz. Czyż nie jest piękny?

Żadna z dziewcząt nie odezwała się słowem, dopiero Irene przerwała to milczenie.

– Przeszliśmy taki szmat drogi, żeby zobaczyć głupi kamień? – mruknęła.

Byłam spocona i spragniona, nogi mnie bolały i miałam pęcherze na stopach, ale pomyślałam, że w życiu nie słyszałam nic bardziej zabawnego.

Panna Holbrooke odwróciła się i spojrzała na mnie z niechęcią, mimo to nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Zasłoniłam usta i spuściłam głowę, wtedy jednak zawtórowała mi Rose, a jej serdeczny śmiech okazał się zaraźliwy.

Panna Holbrooke była wściekła. A potem się obraziła. Zraniłyśmy ją.

– Jak widać, geologia nie każdemu przypada do smaku – stwierdziła.

– Dzięki Bogu, że panna Holbrooke nie jest kucharką – skomentowała cicho Irene, czym wzbudziła w nas jeszcze większą wesołość.

\* \* \*

Tego wieczoru Irene nie zeszła na kolację. Podobno dostała strasznych oparzeń od słońca, jak powiedziała nam Rose.

– Sama jest sobie winna. Trzeba było nie wyrzucać czapki. Przy tej dziewczynie ręce opadają.

– Nie jest taka zła – zauważyłam. – Ale ciekawe, dlaczego w ogóle tutaj przyjechała.

Akurat to Rose wiedziała. Wyjazd Irene opłacił brat.

– Powiedziałam jej, że w moich oczach czyni go to świętym, a ona zrobiła taką kwaśną minę, jakby się napiła octu.

Po kolacji panna Case otworzyła swoją księgę, aby ogłosić, jaki jest plan zajęć na cały tydzień. Wszystko wydawało się cudowne. Miałyśmy przygotować piknik na świeżym powietrzu, wybrać się na plażę Good Harbor, zbierać jagody, pójść na zakupy do Rockport i Gloucester. Miałyśmy też zaplanowane wyjście do miasta na tańce. Dziewczęta, gdy to usłyszały, zaczęły szeptać i chichotać.

I właśnie wtedy dostrzegłam Irene. Stała przy wyjściu na korytarz. Do czoła przyciskała szmatkę, więc podeszłam, żeby zapytać, czy wszystko w porządku.

Irene zapewniła, że czuje się dobrze.

– Gdyby pani Morse nie posłała do miasta po lód, nos chyba by mi się złuszczył.

– Pewnie cię boli?

Wzruszyła ramionami, ale zaraz ukryła twarz w ręczniku i wybuchła płaczem.

Usiadłam przy niej na schodach, a Irene opowiedziała mi, jak pięć lat temu przyплыnęła do Ameryki z bratem. Troszczyli się o siebie. Ale potem brat się ożenił, a jego żona, „ta krowa Kathleen”, postanowiła jak najszybciej pozbyć się siostry męża z mieszkania. Bez uprzedzenia załatwiła Irene pracę stałej pokojówki w Worcester.

– Wiesz, jak to daleko od Bostonu? – westchnęła Irene.

Brat nie sprzeciwił się żonie, a Irene wysłał do Rockport, żeby jakoś osłodzić siostrze zaplanowaną rozłąkę. Irene określiła to jako „prezent na pożegnanie”.

– Byłam już służącą. Nigdy więcej. Pani domu uważa, że służba to jej własność, a gdy się zje resztki ciasta zostawione na talerzu, państwo uznają to za kradzież. Ale to właśnie tacy ludzie są złodziejami, bo kradną nam młodość. Wolałabym raczej iść na ulicę.

Powiedziałam, że na pewno uda się jej pomóc.

Irene tylko pokręciła głową.

– Dobrze z ciebie dziecko – westchnęła, a potem wróciła na górę.

Poszłam prosto do Rose i opowiedziałam jej, co spotkało Irene. Rose stwierdziła, że ten brat to „nic dobrego”, dodała też kilka innych, bardziej niepoehlebnych określeń.

– Strasznie mi przykro za to, co nawygadywałam na tę dziewczynę.

A potem poszła do pokoju i oznajmiła, że Irene może u niej zamieszkać, dopóki nie stanie na nogach – i to bez dyskusji. Podziękowań też nie przyjęła.

– Od czego są przyjaciółki? – rzuciła tylko.

I tak po prostu Rose zdjęła dziewczynie ciężar z ramion. Wszystkie zazdrościłyśmy Irene dołeczków w policzkach, a gdy przedrzeźniała pannę Holbrooke, tarzaliśmy się ze śmiechu.

– Pozwólcie, że pokażę wam widok, który na pewno przypadnie wszystkim do smaku. – Irene udatnie naśladowała głos panny Holbrooke, dźwięczny i głęboki, trochę jak tej kucharki, która prowadzi programy kulinarne w telewizji, Julii Child. – No to komu kawałek rozgrzanego granitu?

Zawsze się śmieję, gdy to wspominam.

## Masz dobre oko

Podczas tygodnia w Rockport najprzyjemniejsze były chwile, które spędziłam z Filomeną.

Siedziałyśmy do późna w nocy i rozmawiałyśmy, rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy. Filomena wydawała mi się taka dorosła, nie mogłam uwierzyć, że ma dopiero dziewiętnaście lat – tylko o trzy lata więcej ode mnie.

Najpierw mówiłyśmy o swoich rodzinach i do tej pory pamiętam imiona wszystkich sióstr: Maria Immaculata, Maria Teresa, Maria Domenica, Maria Sofia... A ona była Marią Filomeną, najmłodszą i jedyną niezamężną.

Rodzice Filomeny umarli, gdy była dzieckiem. Wychowała ją Mimi, czyli Immaculata. Cała rodzina mieszkała w North End blisko siebie, dzieliło ich najwyżej parę przecznic. Kiedy spotkałam Filomenę, mieszkała u Sophie – Marii Sofii – i sypiała w jednym łóżku z trzema małymi synami siostry. Przyznała, że nie mogła się doczekać wyjazdu do Rockport tylko dlatego, że tutaj może spać sama i nie budzi jej żadne wierzące się dziecko.

Filomena rzuciła szkołę, gdy miała dwanaście lat, i poszła pracować w szwalni. Parę lat później zaczęła przychodzić do świetlicy na Salem Street i na spotkania kółka sobotniego.

– Powiedziałam Mimi, że chcę poprawić swój angielski – wyznała. – Ale tak naprawdę chciałam mieć trochę czasu dla siebie, gdy nie pracuję albo nie zajmuję się cudzym dzieckiem.

Panna Chevalier zauważyła, że w bibliotece Filomena rysuje, zamiast czytać.

– Ale wcale na mnie nie nakrzyczała, tylko zaprowadziła do panny Green. I tak trafiłam tutaj.

Niewiele różniło się to od mojej historii, prawda?

Panna Green posłała podopieczną na lekcje rysunku.

– Zawdzięczam jej wszystko – powiedziała Filomena. – Nauczyła mnie o porcelanie, pokazała wzory i dała mi książki, żebym dowiedziała się więcej. Powtarza mi, że bycie artystką to więcej niż praca i umiejętności, to sposób na przejście przez świat.

Zrozumiałam, co miała na myśli, dopiero kilka dni później, kiedy poszłyśmy



do Headlands. Panna Holbrooke oznajmiła, że to najpiękniejszy krajobraz na Cape Ann.

Irene przewróciła oczami.

– Komu kamiennej zupy?

Ale panna Holbrooke miała rację co do Headlands. To wyjątkowe miejsce – wznosi się wysoko, pewnie ze sto stóp, nad brzegiem morza, z trzech stron otoczone jest falami.

Wiesz, o czym mówię, prawda, Avo? Zabieram tam wszystkich, którzy jeszcze nie znają Cape Ann. Roztacza się stamtąd widok na wiele mil wybrzeża, widać też łodzie na przystani w Rockport i prawie całe miasto. Gdy pierwszy raz ujrzałam domy o ścianach z białych desek i wieżę kościoła, pomyślałam, jak wiele zawdzięczam Paulowi Revere’owi, bo właśnie dzięki niemu się tutaj znalazłam.

Panna Holbrooke określiła ten krajobraz jako malowniczy i bez słownika zrozumiałam, co miała na myśli. Przypominał pejzaż ze starych pocztówek – nieskazitelnie lazurowe niebo z kłębkami białych obłoków, żagłówki na falach, a na plaży kilka dam z parasolkami.

Dziewczęta z pensjonatu rozeszły się, żeby nazbierać kwiatów albo usiąść na głązach i porozmawiać. Rose i Irene zeszły do połowy stromego zbocza. Panna Holbrooke prawie dostała ataku serca, kiedy to zobaczyła. Filomena odeszła, żeby porysować, ale podkrađłam się i zerknęłam jej przez ramię do szkicownika.

Szkicowała głązy, które znajdowały się przed nią. Mogłoby się wydawać, że to raczej nudny widok. Kiedy jednak przyjrzałam się dokładniej, okazało się, że skały na rysunku układają się w ciało leżącej na boku kobiety, całkowicie nagiej. Nigdy wcześniej nie widziałam aktu i chyba się mimowolnie zachłysnęłam, bo Filomena odwróciła się i uniosła szkic, żebym mogła lepiej się przyjrzeć.

– Co myślisz?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, panna Holbrooke przywołała Filomenę, aby poszła razem z nią. Podobno dwie panie rozłożyły sztalugi, żeby namalować akwarelami przystań.

– Musisz je poznać. Malują takie urocze obrazki na tle portu.

Filomena skrzywiła się na te słowa.

– Panna Green mówi, że „urocze” to pułapka, której każda artystka powinna unikać jak ognia.

– Wierz mi, te damy są bardzo zdolne – zapewniła panna Holbrooke.

Filomena popatrzyła jej w oczy.

– Panna Edith Green to nauczycielka w szkole sztuk plastycznych i właśnie ona kazała mi się skupić w tym tygodniu na szkicowaniu. Czyba się pani zgodzi, że jej polecenie powinnam potraktować bardzo poważnie?

Panna Holbrooke nie mogła zaprzeczyć, więc odeszła z podkulonym ogonem.

– Naprawdę panna Green tak ci powiedziała? – zapytałam z ciekawością.

– Mogłaby – roześmiała się Filomena. – Edith Green uważa, że wszystko zależy od szkicu. Widać to w jej wzorach na porcelanie.

– Podoba mi się, jak rysujesz drzewa – przyznałam. – Tylko kilka kresek, a wyglądają jak żywe.

– Właśnie o to chodzi – uśmiechnęła się Filomena. – Masz dobre oko.

Nigdy nie zapomniałam tego komplementu. Jak widać.

Pod koniec tygodnia Filomena zmieniła miejsce i przyłączyła się do Myszmaszu. Gussie zażartowała z niej i zapytała, czy została wyrzucona z włoskiego klubu, bo zadaje się za często z Żydówkami i Irlandkami.

– Musiałam się po prostu oderwać, bo dziewczyny nie mówią o niczym innym, tylko o weselach – westchnęła Filomena. – W tym roku wychodzą za mąż. Wszystkie!

– Na ciebie też przyjdzie pora – stwierdziła Helen.

– Nic z tego – zapewniła Filomena. – Nie zamierzam wychodzić za mąż.

Rose zauważyła, że Filomena jest za ładna na starą pannę. Gussie się to nie spodobało.

– Może Filomena chce od życia czegoś innego? Ja, na przykład, pójdę do college'u.

– A potem chce skończyć szkołę prawniczą – dodała Helen.

– A nie pragniesz mieć rodziny? – zdziwiła się Rose.

– Helen chce mieć dzieci – odparła Gussie. – Pożyczę sobie od niej.

Helen zarumieniła się, a Irene roześmiała.

– Zdaje się, że już wiadomo, kto ma być ojcem.

– Nie zawstydzaj jej – napomniała Rose. – Zresztą na pewno nam powie, gdy kogoś będzie miała. Prawda, Helen?

– Moja siostra może przebierać w kandydatach – zapewniła Gussie. – A co z tobą, Rose? I z tobą, Irene? Jakież plany? Addie?

– Addie jest za młoda, aby myśleć o małżeństwie – zauważyła Filomena.



Byłam za młoda, ale nie mogłam nie myśleć o małżeństwie. Mame nieustannie mówiła o „szansach” Celi, a na sobotnich spotkaniach w świetlicy dziewczęta często rozmawiały o weselach, na których były lub będą. Nawet panny Edith, gdy usłyszały o zaręczynach, zachowywały się tak, jakby dowiedziały się o jakimś zwycięstwie – a przecież opowiadały się za prawami kobiet i powszechną edukacją.

Nie byłam pewna, czy chcę wyjść za mąż. Wiedziałam, że rodzicom niezbyt dobrze się układa, przez szyb wentylacyjny słyszałam też innych małżonków wykrzykujących do siebie naprawdę okropne obelgi. Ale jaka dziewczyna nie chciałaby się zakochać? Która nie marzy, aby mężczyzna spojrzeć na nią jak Owen Moore na Mary Pickford? Gdy wychodziłam z kina po obejrzeniu filmu z tą parą, ogarniał mnie smutek, że mnie się nic podobnego nie przydarzy, a jednak wracałam, aby obejrzeć kolejny film ze szczęśliwym zakończeniem.

Czytając opowiadania w gazetach, wyobrażałam sobie, że jestem mądrą i zadziorną dziewczyną, za którą uganiają się mężczyźni zachwyceni właśnie jej inteligencją. Takie dziewczyny pilotowały samoloty albo brały udział w wyścigach samochodowych, a nawet zostawały lekarkami, jednak w końcowym rozrachunku zawsze poddawały się miłości i brały ślub.

Kiedy zapytałam Filomenę, co zrobi, jeśli się zakocha, wzruszyła ramionami.

– Wiem, że małżeństwo oznacza porzucenie sztuki, a sztuka czyni mnie szczęśliwą. Kiedy mówię, że nie chcę wyjść za mąż, siostry powtarzają, że jestem samolubna. Może mają rację. A może coś ze mną jest nie tak.

Zapewniłam ją, że nie sędzę, żeby coś z nią było nie tak.

– Szkoda, że moje siostry nie myślą choć trochę jak ty, Addie – westchnęła.

– Betty i Celia mają szczęście, że umiesz słuchać.

Właściwie niewiele rozmawiałam z siostrami. Pewnie dlatego, że były ode mnie dużo starsze. Zresztą Celia w ogóle rzadko się odzywała, a Betty pojawiała się raz na ruski rok, gdy mame na pewno nie było w domu, i rozmawiała głównie z ojcem i Celią.

## Wydawał mi się nierzeczywisty

Nie znałam dobrze swojego ojca. Wtedy było inaczej niż dziś, gdy ojcowie zmieniają pieluszki i czytają swoim dzieciom bajki na dobranoc. Kiedy dorastałam, mężczyźni przez cały dzień pracowali, a po powrocie do domu oczekiwali, że dzieci dadzą im spokój.

Tate był przystojny, miał pociągłą, szczupłą twarz, jasnoniebieskie oczy i brązowe włosy. Zupełnie jak Celia. Dbał o swój wygląd, pilnował, aby jego ubranie było zawsze porządnie wyprasowane i czyste. Widząc na ulicy niechlujnie odzianego Żyda, mawiał:

– Przez takich wszyscy pomyślą, że jesteśmy nędzarzami.

O ojcu najwięcej dowiedziałam się od Betty. Dorastał w małym *sztetlu*, który trudno było nazwać nawet miasteczkiem, była to raczej wioska z karczmą, synagogą i placem targowym, gdzie raz w tygodniu ludzie sprzedawali i kupowali wszystko, co mogli. Rodzina ojca miała krowy, więc nie należała do najbiedniejszych, ale nie było dość pieniędzy, aby posłać go do szkoły. Bracia ojca też nie mieli tego szczęścia. Dlatego uczył ich ojciec, mój dziadek, który jako chłopiec pobierał nauki w dużej *jesziwie*. Pamiętam bardzo stary modlitewnik ojca. Może była to pamiątka rodzinna z tamtych czasów.

Kiedy tate skończył osiemnaście czy dziewiętnaście lat, w wiosce wybuchła epidemia cholery. Jego bracia i ojciec zmarli, więc został głową rodziny i musiał się opiekować matką oraz dwiema siostrami. Sprzedał krowy, żeby dziewczęta miały posag i mogły wyjść za mąż, a potem matka zeswatała go z mame – dziewczyną co prawda biedną, ale z koniem jako wianem. Matka sądziła, że papa dzięki koniowi będzie mógł zarobić na życie przewożeniem rzeczy.

Betty i Celia urodziły się właśnie w tamtej okolicy i nazywano je wtedy Bronia i Sima. Mame była po raz trzeci w ciąży, gdy ojca oskarżono, że ukradł srebrny kielich z kościoła. W tamtych czasach dla Żyda stanowiło to wyrok śmierci. Dlatego tate zabrał córki i popłynął do Ameryki. Miały najwyżej dziesięć i dwanaście lat, ale musiały razem z nim pracować, bo nie było komu się nimi zająć. Kiedy dostał list z wieścią, że mame urodziła chłopca, zaczął

zostawiać córki na noc same, ponieważ wziął dodatkową pracę, żeby zarobić szybciej na bilety do Ameryki.

Mame zeszła ze statku sama. Nahum – jak nazwała syna po ojcu papy – umarł podczas podróży. Jego ciało zostało wrzucone do oceanu.

Inni, którzy wtedy przyплыnęli, śmiali się i wiwatowali, ale mame płakała, a tate rozdierał szaty.

Betty i Celia też były w porcie. Co za okropne wspomnienia zostały im z tamtego dnia!

Mame w Ameryce urodziła drugiego chłopca, ale nie przeżył nawet trzech dni. Nigdy nie poznałam jego imienia. Nie wiem, czy rodzice w ogóle mu jakieś nadali. Potem urodziłam się ja i byłam ich ostatnim dzieckiem.

Matka uważała, że rejs do Ameryki był straszną pomyłką – nigdy nie pozwoliła ojcu o tym zapomnieć.

– Powinniśmy byli zostać u siebie – powtarzała. – Twój syn nie umarłby na tym nędznym statku. Nasze córki powychodziłyby za mąż i dawno już bawiłabym wnuki.

Zazwyczaj ojciec nie odpowiadał, ale czasami miał dość.

– Wolałabyś, żeby mnie skazano na śmierć? – pytał, a potem trząskając drzwiami i szedł parę przecznic dalej do *szufla*, gdzie nikt nie robił mu wyrzutów.

Wychodził z domu rano, wracał wieczorem – jak cień. Wydawał mi się nierzeczywisty.

## Mądrała z ciebie

Przez całą drogę powrotną z pensjonatu do Bostonu wymiotowałam za burzę, ale nie przez chorobę morską. Cały tydzień starałam się nie zastanawiać, co mnie czeka w domu, jednak gdy tylko weszłam na prom, nie mogłam już myśleć o niczym innym. Właśnie dlatego było mi niedobrze.

A jeżeli mamie nie pozwoli mi wrócić do rodziny? Nie mogłam zamieszkać u żadnej z przyjaciółek, bo nie miały miejsca. Nie znałam też adresu Betty, a panny Chevalier nawet nie zamierzałam pytać – i tak już bardzo wiele dla mnie zrobiła. Jediną nadzieję pokładałam w Celi. Liczyłam na to, że stanie w mojej obronie i przekona ojca, mimo to spodziewałam się naprawdę strasznej awantury.

Wchodząc po schodach, czułam się jak skazaniec idący na szubienicę. Zza drzwi mieszkania usłyszałam jednak brzęk sztućców i szkła. Oznaczało to tylko jedno – na stole był cukier, czyli ktoś przyszedł w gości, co zdarzało się bardzo rzadko.

Zajrzałam przez dziurkę od klucza. Dostrzegłam tylko plecy mężczyzny i ojca, który pocierał podbródek. Robił tak, gdy był zakłopotany albo rozgniewany. Mamie nalewała herbatę i uśmiechała się do gościa uprzejmie, ale chyba zauważyła, że drzwi drgnęły, albo usłyszała skrzypienie, bo zaraz potem wyszła na korytarz, złapała mnie za ucho i zaczęła mówić tak szybko, że ledwie ją rozumiałam.

– Słuchaj uważnie. Powiesz, że byłaś w Cambridge, żeby pomóc znajomej, która niedawno urodziła. Twoja siostra wychodzi za mąż, Bogu niech będą dzięki, a jej narzeczony nie musi wiedzieć, gdzie się włóczyłaś.

– Betty wychodzi za mąż? – zapytałam ze zdziwieniem.

– Nie waż się wymawiać tego imienia przy panu Levine. Ślub bierze Celia.

Własnym uszom nie wierzyłam. Celia nigdy nie mówiła o swoim pracodawcy ani nic złego, ani dobrego.

– Ale pan Levine jest za stary – stwierdziłam.

– Czterdziestka to nie starość. Jego żona zmarła rok temu, a dwaj synowie potrzebują opieki. Pan Levine wie, że twoja siostra potrafi ciężko pracować,

dba o siebie, jest miła i cicha. To dobry interes. Celia nie przyjdzie z pustymi rękami. Dzisiaj pan Levine podarował ojcu kawę i butelkę whisky. A ty masz powiedzieć *mazel tow* i ani słowa więcej.

Na mój widok Celia zerwała się z krzesła i podbiegła mnie uściskać. Chyba po raz pierwszy widziałam ją w nowej sukience. Kwiatowy wzór podkreślał błękit jej oczu. Moja siostra wyglądała przepięknie.

Pan Levine wstał.

– Miło mi poznać, panno Addie. Celia mówiła o pannie dużo dobrego.

Był niski, wyższy ode mnie najwyżej o cal, z wąską twarzą i rudawą brodą. Wyglądał trochę jak lis.

– Co za szczęście, że wżenię się w rodzinę z tak ślicznymi dziewczętami! A Myron i Jacob bardzo się ucieszą, że będą mieli siostrę.

Powiedziałam, że będę dla nich ciotką, a nie siostrą.

Roześmiał się.

– Mądrała z ciebie.

Celia ujęła mnie za rękę i przyznała, że w szkole dostaję same piątki, a mame szybko wtrąciła, że synowie pana Levine na pewno są jeszcze mądrzejsi.

– Proszę się do mnie zwracać po imieniu. Jestem Herman.

– A jak masz naprawdę na nazwisko? – zapytał tate. – Muszę je wpisać do *ketuby*, umowy ślubnej.

Levine machnął na to ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

– Hirsch, jak mi się zdaje.

Tate skrzywił się kwaśno. Tego rodzaju ludzi nazywał *ganz ganef* – prawdziwy złodziej.

Levine sięgnął po butelkę whisky i zaproponował:

– Wypijmy za dwudziesty drugi sierpnia.

– Wciąż nie rozumiem, po co ten pośpiech – mruknął tate niechętnie.

– A na co mają czekać? – prychnęła mame. – Nie są już najmłodszy.

Matka i Levine zaczęli potem rozmawiać o ślubie. Ceremonia miała się odbyć w *szul* ojca tuż za rogiem. Levine obiecał, że zapłaci za ciasto miodowe i wino.

– Ale ja kupię śledzie – zastrzegł tate. – Nie ma wesela bez śledzia.

Levine uśmiechnął się z pobłażaniem, zupełnie jak panna Holbrooke, gdy któraś z dziewcząt twierdziła, że potrawy jej matki są lepsze niż jedzenie w pensjonacie.

Levine przyznał, że chce się przyłączyć do Świątyni Izraela, a wtedy tate

popatrzył na niego tak samo.

– Chodzi o tę dużą niemiecką synagogę, z której wyrzuca się każdego, kto włoży jarmułkę?

– Tamtejszy rabbi jest bardzo mądry – zapewnił Levine. – Nawiążę tam znajomości, które pomogą mi w interesach, a moi synowie poznają ludzi z lepszego towarzystwa.

A potem mrugnął do mnie.

– Addie też się tam spodoba, bo kobiety traktuje się tam po ludzku i pozwala siedzieć obok mężczyzn.

– Gdy się chce wybrać do kościoła, idzie się do kościoła – stwierdził tate, a jego słowa zawisły w powietrzu jak odór.

Matka drgnęła nerwowo i zaproponowała, żeby narzeczeni wybrali się na spacer.

– Możemy zabrać też Addie – powiedziała od razu Celia.

Widzisz, Avo, jak bardzo się o mnie troszczyła?

Szłam kilka kroków za nimi i przyglądałam się uważnie. Celia chyba nie czuła się skrępowana, gdy trzymała Levine'a pod rękę, a on często poklepywał jej dłoń. Niewiele jednak rozmawiali i nie dostrzegałam między nimi żadnego uczucia.

Dotarliśmy do Hanover Street, która po Rockport wyglądała dla mnie jak jarmark. Było tu mnóstwo ludzi przekrzykujących się w trzech lub czterech różnych językach. Minęliśmy wystawę sklepu i grupkę dziewcząt przyglądających się, jak właściciel zdejmuje strój z manekina.

– O to mi chodziło, powiew świeżości – rzuciła jedna z dziewcząt, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy Celia jest uświadomiona.

Wszystko ją przecież onieśmiało. Matka nigdy nie rozmawiała ze mną o seksie. Kiedy dostałam okres, uderzyła mnie w policzek i pokazała, jak prać szmatki, których wtedy używałyśmy. Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście, że urodziłaś się w późniejszych czasach. O tym, co się dzieje między kobietą a mężczyzną, dowiedziałam się od dziewcząt ze szkolnego podwórka, a ich wersje bardzo się różniły.

\* \* \*

Tej nocy, gdy położyliśmy się do łóżka, Celia szepnęła:

– Kiedy się wyprowadzę, będziesz miała przynajmniej trochę więcej miejsca dla siebie.

– Ale będę za tobą tęsknić.

Zapewniła, że na pewno będziemy się widywać.

– Pan Levine mieszka tylko o kilka przecznic stąd.

– Nie mówisz do niego po imieniu?

Przyznała, że jeszcze do tego nie przywykła. Przez trzy lata zwracała się do niego „panie Levine”.

Nie rozumiałam, jak to się mogło stać tak szybko. Przecież nie było mnie tylko tydzień.

Okazało się, że zaczęło się już w maju, kiedy pani Kępińska, która mieszkała na parterze, powiedziała mamie, że Levine szuka żony, a wtedy mamie spytała, dlaczego nie przyjrzy się temu, co ma pod nosem.

– Po pracy zapytał, czy może mnie odprowadzić do domu – opowiadała Celia. – Parę razy spotkałam potem jego synów. Jacob, ten młodszy, wydaje się taki smutny. Levine spytał, czy chciałabym się nimi zaopiekować, i przyrzekł, że zapewni mi godne życie.

Zapytałam, czy się w nim zakochała.

– Jeszcze nie. Mamie mówi, że miłość przyjdzie, jak wspólnie ułożymy sobie życie. I że mężczyzna kochający swoje dzieci jest dobrym człowiekiem. Myron ma sześć lat, a Jacob prawie cztery, obaj potrzebują matki. I jak powiedziała mamie, stuknęła mi już prawie trzydziestka i kto wie, czy jeszcze kiedyś trafi mi się taka szansa. Pan Levine zatroszczy się i o mnie, i o rodziców, gdy będą już starzy.

Prawie jakbym słyszała matkę, słowo w słowo.

– Nakłaniała cię do tego ślubu? – zapytałam. – Wiesz, że jeszcze możesz zmienić zdanie.

Celia zaprzeczyła. Stwierdziła, że sama zdecydowała.

– Oświadczył mi się miesiąc temu. Odpowiedziałam, że muszę to przemyśleć. A matkę poinformowałam o tym dopiero po twoim wyjeździe. Kiedy się dowiedziała, gdzie jesteś, zaczęła krzyczeć, że te kobiety ze świetlicy sprzedały cię jako białą niewolnicę, a potem kazała ojcu wezwać policję. Ale kiedy powiedziałam, że pan Levine mi się oświadczył, przestała, bo miała ważniejsze sprawy na głowie.

Ogarnęło mnie przerażające uczucie, że Celia zgodziła się na małżeństwo tylko po to, żeby mnie chronić.

– Ale nie dlatego zgodziłaś się na ten ślub, prawda? – zapytałam niepewnie.

Zaprzeczyła.



– Właściwie to bardzo mi przykro, bo gdy tylko się wyprowadzę, będziesz musiała opuścić szkołę, a wiem, jak bardzo lubisz się uczyć.

Miała rację. Rodzice nie zarabiali dość pieniędzy na utrzymanie i inne potrzeby. Żeby wystarczyło nam na życie bez pensji Celi, będę musiała znaleźć sobie prawdziwą pracę.

Poczułam w piersi zimny ciężar.

– Przykro mi, Addie – szepnęła Celia.

Powiedziałam, że to przecież nie jej wina, co było prawdą. I dodałam, że nic nie szkodzi, lecz to wcale nie było prawdą.



## *Mazeł tow!*

Kiedy Levine dowiedział się o mojej siostrze Betty, zaprosił ją na wesele. Mame zaczęła protestować, ale on tylko machnął ręką.

– Niech pani nie będzie taka staroświecka. Chętnie poznam jedną z tych nowoczesnych kobiet. Zresztą Celia chce, żeby jej starsza siostra była na ślubie.

Kiedy Betty przyszła do nas kilka dni później, matka nawet na nią nie spojrzała. Za to Betty uśmiechnęła się do mnie.

– Kto by pomyślał, że nasza mała Addie wyrośnie na takiego raptusa? Ruszyłaś szukać przygody i nikomu nie powiedziałaś? Moja dziewczynka.

Właściwie wtedy prawie nie znałam Betty. Z tego, co pamiętałam, głównie kłóciła się z mame – matka żądała, aby Betty wracała po pracy prosto do domu, i zakazywała jej wychodzenia wieczorem do znajomych. Co zabawne, chociaż była młodsza i krągłjsza, Betty wyglądała zupełnie jak nasza matka – miała takie same brązowe oczy i faliste kasztanowe włosy oraz taki sam szeroki nos. Nawet mówiły tak samo, jakby znały odpowiedź na wszystkie pytania, często też kiwały głową, co sprawiało, że ich rozmówcy odruchowo powtarzali ten ruch, jakby przytakiwali, choć niekoniecznie się z nimi zgadzali.

Betty była gadułą. Opowiedziała nam wszystko o pracy w sklepie Filene’a i o swoim awansie z dziewczyny pakującej zakupy na sprzedawczynię, jedną z najbardziej obrotnych.

– Widzicie tę spódnice? Dostałam ją praktycznie za darmo. Jedna klientka ją zwróciła, bo podobno od początku szew był rozpruty. Myślę, że sama go rozpruła, ale sklep musi udawać, że klient ma zawsze rację, zwłaszcza taki, który dużo kupuje. No i dzięki temu pracownice mogą tanio kupić takie odrzucone ubrania.

Potem zaczęła wypytywać Celię o „tego Levine’a”, nawet otwarcie zapytała, czy siostra naprawdę chce się zajmować jego dziećmi i domem. Mame bardzo się zdenerwowała.

– Oczywiście, że chce. Każda kobieta tego chce.

Celia zapewniła, że nie musimy się martwić, a Levine to dobry człowiek.

Potem Betty zaczęła częściej nas odwiedzać. Przynosiła prezenty – tytoń dla taty, szal dla Celi, pończochy dla mnie i czekoladowe cukierki dla mamy. Jednak nieważne, co przynosiła ani jak bardzo Celia starała się załagodzić sytuację, wizyta zawsze kończyła się kłótnią. Mame zaczynała narzekać na Amerykę – a to, że jabłka tutaj nie mają smaku, a to, że dzieci nie słuchają rodziców... i nawet powietrze jest gorsze.

– Ludzie chorują od wdychania tego samego powietrza. W naszej wiosce mieliśmy przynajmniej dom. A powietrze było czyste.

Wtedy wcześniej czy później Betty zrywała się od stołu.

– Dość tego! Pamiętam, jak tam było! Wszystko cuchnęło krowim gównem. A podłoga w tamtym domu była brudnym klepiskiem. Potrafisz sobie to wyobrazić, Addie? Brud i ohyda! W Ameryce przynajmniej panuje już dwudziesty wiek.

Kiedy zaczynały się kłócić, Celia wędła jak kwiat bez wody. Czasami zastanawiałam się, czy nie zgodziła się wyjść za męża, byle tylko uciec od tych krzyków i napięcia.

Celia powiedziała, że sama chce sobie uszyć suknię ślubną, więc Levine kupił kawałek pięknej satyny. Jednak parę dni przed ślubem, kiedy suknia wciąż jeszcze nie była gotowa, Betty zaproponowała, że jej pomoże, a potem kazała Celi przymierzyć. Suknia była prosta, sięgała do kostek, miała długie rękawy i płytki dekolt. Betty dostała szału.

– Nie możesz tak się ubrać. Ta suknia wygląda jak koszula nocna.

Celia zaproponowała, że wystarczy przewiązać szarfą i będzie ładnie.

– Jasne, będziesz w tym wyglądała jak pielęgniarzka – prychnęła Betty. – Kupię ci najbardziej ozdobny welon, jaki uda mi się znaleźć, i trochę koronki na dekolt i rąbek. Albo będziesz prześliczną panną młodą, albo nie przyjdę na ślub.

Betty uniosła wyzywająco brew, a Celia zachichotała i przez chwilę zobaczyłam je takimi, jakimi były jako dzieci – opiekuńczą, stanowczą dziewczynkę i jej młodszą siostrę, która poszłaby za starszą na koniec świata.

\* \* \*

Dzień ślubu Celi był piękny i słoneczny, więc mamy musiała splunąć trzy razy, aby odstraszyć złe oko.

– To deszcz przynosi szczęście – stwierdziła.

Betty tylko przewróciła oczami i zaczęła poprawiać siostrze welon. Na

welonie naszyte były wszędzie perełki i okrywał prawie całą suknię, a Celia wyglądała w nim jak księżniczka.

Zanim wyszliśmy z mieszkania, Betty odciągnęła mnie na bok i zapytała, czy mam wytłumaczyć Celi, co się stanie w noc poślubną.

– Pewnie nie – przyznałam.

Betty jęknęła boleśnie.

– To niedobrze, mówię ci, Addie. Celia nie jest silną osobą. Musimy się o nią zatroszczyć, ty i ja.

Ale Celia się przecież wyprowadzała, a do mnie dotarło, jak bardzo się o mnie troszczyła, jak często stawiała między mną a matką. Bez niej w domu będzie okropnie.

\* \* \*

Celia ujęła ojca pod ramię, gdy zbliżaliśmy się zza rogu do małej synagogi, przed którą już czekał Levine i jego dwaj synowie. Chłopcy wyglądali żałośnie w nowych butach i wykrochmalonych koszulach, a pan młody mrugał, jakby coś mu wpadło do oka.

– Gdzie pańska rodzina? – zapytała mame.

Levine miał w Ameryce tylko kilku dalekich kuzynów, jednak ich dzieci zachorowały na świnkę, więc na ślubie było nas tylko ośmioro, wliczając jego synów.

*Szuł* mieścił się w składzie, gdzie kiedyś handlowano rybami, a przez upały, jakie wtedy panowały w sierpniu, smród wrócił. W synagodze byłam tylko trzy razy podczas nabożeństw na Dni Trwogi. Zbierał się tam wtedy spory tłum, zwłaszcza z tyłu, gdzie siedziały kobiety. Jednak tego dnia echo odbijało się od ścian, a w środku panował głęboki półmrok. Dopiero po chwili, gdy wzrok mi się przyzwyczaił, dostrzegłam starszych mężczyzn przy stole z jedzeniem.

Tate przywitał się z nimi, wypytał o żony i dzieci. Z tymi ludźmi modlił się co rano przed pracą, pewnie to było takie jego kółko znajomych. Mame nie chciała ich na ślubie, nazywała ich sznorerami-muczerami, żebrakami, ale ja się ucieszyłam z ich obecności, ponieważ dzięki temu zrobiło się trochę radośniej.

Rabbi przybiegł w pośpiechu i przeprosił za spóźnienie. Miał długą, białą brodę, poźótkłą wokół ust od tytoniu, ale młodzieńczo błyszczące oczy. Klepnął tate i Levine'a po plecach i ze szczerym entuzjazmem powiedział *mazel tow*. Wyznaczył czterech mężczyzn do trzymania słupków *chupy*, a potem przywołał Levine'a i Celię i kazał im stanąć pod szalem modlitewnym,

który posłużył za baldachim.

Rabbi zaintonował błogosławieństwo, Levine włożył Celi obrączkę na palec, a potem napili się wina z jednego kieliszka. Kiedy pan młody rozdeptał kieliszek, starsi mężczyźni klasnęli i zawołali:

– *Mazeł tow!*

Ceremonia trwała kilka minut.

Rabin wymienił z każdym uścisk dłoni, nawet z Celią i chłopcami, a później wyszedł równie pośpiesznie, jak wszedł.

– Ma pogrzeb – wyjaśnił tate.

Zjedliśmy chleb, śledzia i ciasto miodowe, a starsi mężczyźni trzy razy wznieśli toast za nowożeńców dużymi szklankami whisky ufundowanej przez Levine'a.

Celia stała obok męża i zjadła trochę ciasta, ale kiedy Jacob zaczął marudzić i trzeć oczy, stwierdziła, że chyba czas wracać.

Odprowadziliśmy młodą parę do końca ulicy i patrzyliśmy, jak znika za rogiem.

Betty się rozpłakała.

– Co jej jest? – zdziwiła się mame.

Papa pogłaskał Betty po policzku.

– Moja babcia mówiła, że nie ma wesela, gdy nikt nie płacze.

\* \* \*

Gdy Celia się wyprowadziła, w mieszkaniu zrobiło się o sto procent smutniej. Nikt się do mnie nie uśmiechał, gdy stawałam w drzwiach, a chociaż miałam całe łóżko dla siebie, wcale mi się lepiej nie spało.

Rodzice nieustannie się kłócili. Mame wróciła do obwiniania ojca o śmierć dziecka na statku.

– Gdybyś zaczekał, aż się urodzi, może wciąż by żył.

Wtedy ojciec zwykle odpowiadał:

– Gdybyśmy zostali, a na mnie wydano by wyrok śmierci, ciebie, nasze dzieci i resztę rodziny zabiłby tyfus albo Kozacy. A gdybyś mi pozwoliła zabrać drugiego syna do szpitala, może wciąż by żył.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o dziecku, które urodziło się już w Ameryce, ale jeszcze przede mną. Chłopiec od początku był mały i słaby, ale matka nie pozwoliła go wziąć z domu.

– Ze szpitala nikt nie wychodzi żywy.

Ojciec nawymyślał jej od głupich.

Matka nazwała go nieudacznikiem.

I tak każdej nocy obwiniali się wzajemnie, wyzywali i zamęczali jedno drugie. Tate zaczął odwiedzać *szuflę* zaraz po kolacji. Mame mamrotała nad szyciem, dopóki nie rozboleła jej głowa. Dlatego starałam się nie zwracać na siebie uwagi – leżałam prawie cały czas w łóżku. Gdy dni stały się krótsze i robiło się za ciemno, żeby czytać, chodziłam spać wcześniej i wstawałam przed wschodem słońca. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo mogłam wyjść z domu, zanim zacznie się kolejna kłótnia.

## Pańska córka jest doskonała

Betty powiedziała, że może mi znaleźć pracę u Filene'a.

– Kierownik sklepu chyba się we mnie trochę podkochuje.

Pomysł mi się spodobał, bo mogłabym wychodzić z dzielnicy i pracować w sklepie odzieżowym. Nie brudziłabym się, nie niszczyłabym sobie rąk ani nie nadwyręzała oczu jak w fabryce – jakbym mogła dostać pracę w jakiegokolwiek fabryce.

Ale okazało się, że sklep odzieżowy nie szuka pracowników. Nie umiałam pisać na maszynie ani obsługiwać centrali telefonicznej, więc odwiedziłam wszystkie herbaciarnie i sklepy z kanapkami, do których mogłam dojść pieszo, żeby sprawdzić, czy szukają kelnerek. Niestety nie. Nie miałam też szczęścia w sklepach i kinach.

W pewną niedzielę, gdy w odwiedziny przyszli Betty i Levine z Celią, mame zaczęła narzekać, jaki to ze mnie leń.

– Uważa, że jest za dobra na brudzenie sobie rąk. Córka Ethel Heilbron nie ma rozumu za grosz, a wcale dobrze zarabia w fabryce butów.

– Przecież to nie wina Addie, mame – wtrąciła Celia łagodnie.

– Na pewno coś znajdzie – dodał Levine. – Czytałem w gazecie, że jedna Żydówka prowadzi dużą bibliotekę we Wschodnim Bostonie.

Levine bardzo lubił historie o sukcesach Żydów.

– Wystarczy spojrzeć na mnie. Nie urodziłem się w tym kraju, a mam własny zakład i dwudziestu pracowników. A wczoraj poszedłem kupić guziki u Gliebermana i co zobaczyłem? Zatrudnił dziewczynę do wypisywania zamówień, więc może siedzieć w fotelu jak jakaś szychka. I coś wam powiem, w porównaniu ze mną Gliebberman ma mały interes.

– Ale chyba źle to wygląda, że Gliebberman zatrudnia sekretarkę, a ty nie? – odezwała się Betty.

Levine wzruszył ramionami.

– Wydaje mnóstwo pieniędzy, żeby się popisać.

– To nie popisywanie się, lecz profesjonalizm. Czytałam w magazynie, że aby zarobić pieniądze, trzeba najpierw trochę wydać.

– Też tak słyszałem – zgodził się Levine.

Betty mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– A tak się wspaniale składa, że masz tutaj idealną kandydatkę na sekretarkę. Addie umie ładnie pisać i miała w szkole najlepsze oceny z matematyki. Opowiedz o swojej pracy w świetlicy, Addie. Byłaś tam tak trochę sekretarką, prawda?

Nieoczekiwanie wszyscy popatrzyli na mnie jak na krowę wystawioną na sprzedaż.

Levine uderzył pięścią w stół z taką siłą, że zabrzęczały naczynia.

– Panie Baum – oświadczył. – Pańska córka jest doskonała.

– Mogłaby zacząć już w tym tygodniu – zaproponowała Betty.

Wszystkie oczy zwróciły się wtedy na Levine'a, a ten pogładził w zamyśleniu brodę i spojrzał na Celię.

– I co pani na to, pani Levine?

Celia pochyliła się nad cerowaniem i nie odpowiedziała, więc Levine zapytał ponownie, tylko głośniej.

– Celio, ucieszysz się, gdy zatrudnię Addie?

Kiedy zorientowała się, że mówił do niej, uniosła głowę i odpowiedziała:

– Tak?

– Oczywiście, że tak – zapewniła Betty, bardzo z siebie dumna, że wpadła na ten pomysł.

Potem zaczęła trajkotać i zanim Levine i ja zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje, już ustaliła, że zacznę pracować od jutra.

Kiedy następnego dnia stawiałam się w jego zakładzie H.L. Shirtwaists punktualnie o siódmej, Levine początkowo nie wiedział, po co przyszłam, dopiero po chwili sobie przypomniał.

Jego „fabryka” znajdowała się w dużym pomieszczeniu na drugim piętrze nad rzeźnią. Stało tam chyba dwanaście maszyn do szycia, kilka prasownic oraz stoły do wycinania wykrojów i wykańczania – zostało bardzo niewiele wolnego miejsca. W tamtych czasach ludzie nie myli się tak często jak dzisiaj, więc możesz sobie wyobrazić, jak tam cuchnęło.

Levine nie miał własnego prawdziwego gabinetu, tylko kącik obok tylnego okna, który oddzielił kilkoma skrzyniami. Za biurko służyły mu drzwi ustawione na paru kolejnych skrzynkach. Na tym prowizorycznym blacie panował straszny bałagan – leżały tu skrawki materiału, rozrzucone dokumenty i koperty.



Przypomniałam sobie sekretarki, które poznałam w Rockport. Opowiadały o swoich szefach jak o małych dzieciach, które nie umieją nawet porządnie wytrzeć sobie nosa.

– Może trochę to panu uporządkuję – zaproponowałam.

Levine zamrugął jak zawsze, gdy się denerwował, ale skinął głową.

– Z ust mi to wyjęłaś.

Do końca dnia posortowałam wszystko i poukładałam na równe sterty, a potem powiedziałam Levine’owi, że potrzebne są pudełka albo regał na dokumenty i księgi rachunkowe, a także parę ołówków.

– Wszystkie już są prawie wypisane.

– Niewiele na tobie zaoszczędzę, co? – zauważył, ale chyba spodobało mu się to, co zrobiłam. – Jutro pójdziesz po zakupy.

Na początku miałam sporo pracy. Pochowałam stare dokumenty, opracowałam system segregowania rachunków. Wpisałam do księgi rachunkowej wszystkie zamówienia, dochody i wydatki z całego roku, dzięki czemu zobaczyłam, jak Levine sobie radzi. Okazało się, że powodzi mu się całkiem dobrze. Pozbył się nawet drzwi i kupił prawdziwe biurko – tak wielkie, że musiał wyrzucić skrzynki, żeby się zmieściło w kącie. Był bardzo dumny z tego biurka. Kiedy je wypolerowałam, wcale nie było widać, że zostało kupione w sklepie ze starzyzną.

W dni, gdy przychodzili kupcy lub dostawcy, stałam za Levine’em z nowym notesem i naostrzonym ołówkiem, żeby zapisywać zamówienia – ile koszul, w jakich rozmiarach, na taki i taki dzień, albo ile materiału i w jakim kolorze za taką a taką cenę.

Interesantom imponowało, że Levine’a stać na sekretarkę, chociaż zdawali sobie sprawę, że jestem jego szwagierką, i zapewne sądzili, że niewiele mi trzeba płacić. Jednak prowadziłam księgi rachunkowe, więc wiedziałam, że Levine płacił mi niemal tak samo jak swoim najlepszym krawcom, a ich wypłaty należały do najwyższych w dzielnicy. Przekonałam się też, że Levine nie zwalniał pracowników, gdy się rozchorowali, a kiedy któremuś urodziło się dziecko, dostawał wolny dzień na ceremonię obrzezania i nawet nie tracił dniówki.

Okazało się, że mąż Celi wcale nie jest takim *ganefem*, za jakiego go uważano.

Jednak po paru tygodniach nie miałam już wiele do zrobienia. Zdarzały się dni, gdy chciało mi się wycić z nudów. Jak to się dzieje, że człowiek bardziej się

męczy, gdy siedzi i nic nie robi, niż gdy jest zabiegany i ma za dużo zajęć?

Lecz nawet w najgorsze dni lepiej się czułam w pracy niż w domu. Najbardziej lubiłam soboty, gdy odbywały się spotkania kółka w świetlicy. Byłam tam osobą, która doskonale wiedziała, jak ugotować jajka na otwartym ogniu, grać w tenisa i tańczyć ragtime.

W sobotnie wieczory matka nigdy nie wypuszczała mnie z domu bez awantury.

– Te kobiety uśmiechają się do ciebie, a za plecami wyśmiewają cię i nazywają brudną Żydówką.

Nie odpowiadałam na te zaczepki. Obie wiedziałyśmy, że wyjdę na spotkanie, choćby się waliło i paliło. Levine płacił mi bardzo dobrze, co znaczyło, że matka może sobie pozwolić na kupno kurczaka co tydzień i nie musi w domu pracować do późna.

Udawało mi się nawet zaoszczędzić na wyjazd do Rockport, a od czasu do czasu mogłam sobie coś kupić. Pierwszym takim zakupem był zielony klosz. Wiesz, o czym mówię? Taki kapelusz w kształcie dzwonu, który ciasno przylega do głowy.

Nigdy w życiu żaden zakup nie sprawił mi tyle radości, co ten kapelusz. Nie był drogi, lecz elegancki, a kiedy go wkładałam, czułam się jak gwiazda filmowa. Uwielbiałam go!

Matka spojrzała raz i powiedziała, że wyglądam w nim *miskajt*, czyli brzydko. Zraniła mnie tymi słowami i bardzo rozzłościła. W gniewie warknęłam, że nie będę z nią rozmawiać, dopóki nie zacznie używać angielskiego. Tak w ogóle znała ten język całkiem dobrze, skoro rozumiała wszystkie plotki zasłyszane w sklepie warzywniczym.

Powiedziałam, że to dla jej własnego dobra.

– A jeżeli coś ci się stanie, a mnie tutaj nie będzie?

– Wtedy umrę, a ty będziesz żałować – odpowiedziała mame, oczywiście w jidysz.

Jednak po tej kłótni, gdy matka chciała, abym koniecznie pobiegła do sklepu lub przyprowadziła ojca z *szul* – zawsze w sobotnie wieczory – wzruszałam tylko ramionami i trzaskałam drzwiami. Dotrzymałam słowa. Bo co mi mogła zrobić? Bez mojej pensji musiałyby wrócić do szycia po dziesięć godzin dziennie i jeść co wieczór ziemniaki.

Pieniądze to władza, prawda?

## Może jednak nie będę podpirać ścian

Nie jestem pewna, ile chcesz wiedzieć o życiu miłosnym swojej babci. Nie żebym miała wielu chłopaków.

Po raz pierwszy całowałam się latem w Rockport, kiedy miałam szesnaście lat. Wybrałam się na tańce. W miasteczku był ośrodek szkoleniowy straży wybrzeża, więc przychodziło zawsze więcej mężczyzn niż kobiet i dziewczęta wiedziały, że znajdą partnera.

Nigdy nie byłam na tańcach, więc Rose nauczyła mnie kroków fokstrota i walca. Twierdziła, że mam wrodzony talent.

– Jeżeli ktoś poprosi cię do jakiegoś wymyślnego tańca, po prostu powiedz, że brakuje ci tchu i wołałabyś usiąść i odpocząć.

W porównaniu z innymi dziewczętami nie miałam za bardzo co na siebie włożyć, ale Filomena pożyczyła od Helen jedną z sukienek i dopasowała na mnie, dzięki temu wyglądałam w niej, jakby była szyta na miarę. Irene uczesała mnie i utrwaliła fryzurę pomadą, a Gussie poszczypała mnie w policzki, żebym miała rumieńce.

Kiedy skończyły, podeszłam do lustra w łazience. To było trochę tak, jak na tych zdjęciach przed i po. Kiedy popatrzyłam w to lustro pierwszego dnia po przyjeździe, zobaczyłam bladą, przerażoną dziewczynę z podkowami pod oczami. Ale teraz w lustrze przeglądała się dorosła kobieta ze stokrotką za uchem i z olśniewającym uśmiechem.

Moje brązowe włosy spłówiały na słońcu, a kiedy zostały upięte, przekonałam się, że nie tylko Celia w rodzinie Baumów ma owalną twarz i wielkie oczy. Pomyślałam wtedy, że może jednak nie będę podpirać ścian.

Tańce odbywały się w pustej stodole, w której unosił się zapach wybielacza i koni. Z patefonu w kącie płynął walc, a nieco dalej zbiły się w gromadkę dziewczyny z miasteczka i szeptały, zerkając na kadetów straży przybrzeżnej w śnieżnobiałych, odprasowanych mundurach, którzy po przeciwnej stronie rozmawiali i palili papierosy.

– Elegancko, co? – rzuciła Irene.

Gdy tylko weszliśmy, kadeci wyprostowali się i zaraz potem Helen, Irene i

Filomena zostały porwane do tańca. Rose podprowadziła mnie do stołu z napojami, gdzie bardzo wysoki kadet stał przy misie z ponczem.

– Pozwolą panie – uśmiechnął się i napełnił dla nas kubki.

Był tak wysoki, że musiałam zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć. Miał włosy równie czarne jak Filomena, ale gładko zaczesane z przedziałkiem, a oczy ciemnoniebieskie, niemal fioletowe, ocienione długimi rzęsami, o jakich niejedna dziewczyna mogłaby tylko pomarzyć. Zmierzył mnie spojrzeniem i powiedział:

– Ładnie panience w zielonym.

Byłam tak zdenerwowana, że prawie odpowiedziałam: „Panu również”.

Zapytał, czy mam ochotę zatańczyć.

– Addie świetnie tańczy – wtrąciła Rose. – A pan?

– Całkiem nieźle, jeżeli mogę się oceniać. Matka mnie nauczyła. A tak przy okazji, nazywam się Harold George Weeks. Pochodzę z Bath w Maine.

Rose uścisnęła mu rękę.

– Ja jestem Rose Reardon, a to Addie Baum. Przyjechałyśmy z Bostonu.

– Miło mi panią poznać, panno Reardon. Pierwszy raz w Rockport, panno Baum?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo właśnie zaczęła się nowa melodia, a Harold George Weeks chwycił mnie za rękę.

– Ragtime to urywany rytm. Cztery kroki w miejscu, potem podskok.

Zanim zrozumiałam, co się dzieje, już byliśmy na parkiecie, a Harold obejmował mnie wpeł. Pochylił się i szepnął:

– O niczym nie myśl.

A potem skakałam, obracałam się i wirowałam, ale wcale nie zakreśliło mi się w głowie.

Brakowało mi tchu, gdy piosenka się skończyła, ale Harold nie puścił mnie, gdy zaczęła się następna. Tym razem był to fokstrot. Powtarzałam w głowie kolejność kroków, ale wciąż się myliłam i potykałam. Harold przyciągnął mnie bliżej – pachniał skórą i cytrynami.

– Myślisz. Po prostu idź za mną i wszystko się uda.

Naprawdę wiedział, co robi, ponieważ gdy prowadził mnie w rytm melodii, wyglądałam, jakbym rzeczywiście umiała tańczyć.

Kiedy i ta piosenka się skończyła, uklonił się i odszedł do innych kadetów, którzy ściskali mu rękę i klepali go po plecach.

Przyjaciółki podeszły do mnie.

– Myślałam, że nie umiesz tańczyć – zauważyła Gussie.

Helen zapytała, jak miał na imię mój tancerz, a Irene orzekła, że to najprzystojniejszy mężczyzna w sali.

Tylko Filomena się skrzywiła.

– I dobrze o tym wie.

– Jak możesz tak mówić? – oburzyłam się. – Nie zamieniłaś z nim nawet jednego słowa.

– Umiem rozpoznać uwodziciela, gdy mam go przed oczami.

Rose uszczypta Filomenę w policzek.

– Och, jesteś po prostu zazdrosna, że poprosił Addie, a nie ciebie.

Zatańczyłam jeszcze z paroma kadetami, ale okazali się niezdarni w porównaniu z Haroldem Weeksem. Liczyłam na to, że może wróci, ale wołał miejscową dziewczynę, która umiała tańczyć tango, nosiła pończochy na podwiązkach i używała mnóstwo różu.

Już straciłam nadzieję, gdy klepnął mnie w ramię.

– Zatańczy pani walca?

Nie chciałam, aby moja odpowiedź zabrzmiała, jakbym nie mogła się doczekać tego zaproszenia, więc mruknęłam:

– A pan chce tańczyć ze mną?

– Zazdrosna, co?

Uśmiechnęłam się tylko i próbowałam dalej flirtować jak inne dziewczęta. Przechyliłam głowę i otworzyłam szeroko oczy. Powiedziano mi kiedyś, że mężczyźni lubią, gdy pozwala się im mówić o sobie, więc zapytałam, dlaczego zaciągnął się do straży przybrzeżnej.

– Miałem odziedziczyć po ojcu zakład szkutniczy, ale nie mogłem znieść myśli, że będę budował statki i nigdy nie wypłynę w morze.

– I jak zareagował, kiedy się zaciągnąłeś?

– Nie powiedziałem mu.

– Mam rozumieć, że uciekłeś z domu? – Byłam podekscytowana odkryciem, że tak wiele nas łączy.

– Powiedziałem matce, żeby się nie martwiła. Jesteśmy do siebie podobni, mamy własne zdanie. Powinnaś widzieć spojrzenia, jakimi obrzucano ją w kościele, gdy przyszła tam z obcięzonymi na krótko włosami. Wyglądała jak ta tancerka tanga argentyńskiego, Irene Castle.

I tyle, jeśli chodziło o to, co mamy wspólnego.

Kiedy walc się skończył, usłyszałam, że woła mnie panna Holbrooke, a inne

dziewczęta już zeszły z parkietu.

– Zdaje się, że muszę cię wypuścić – powiedział Harold. Uniósł moją dłoń do ust. – Spotkajmy się na werandzie pensjonatu o północy. Będę na ciebie czekał.

I tak po prostu... byłam umówiona na *schadzkę*! Nie pamiętam, gdzie usłyszałam to słowo, ale wiedziałam, że oznacza coś romantycznego – może niezbyt przyzwoitego, ale ogromnie podniecającego.

Opowiedziałam o tym Filomenie w drodze do pensjonatu, ale przyjaciółka zamiast się ucieszyć, oznajmiła twardo:

– Ani się waz. Jemu się wydaje, że może cię wykorzystać, bo jesteś jeszcze taka młoda.

– Może podobają mu się moje oczy – zauważyłam. – Może uważa, że lubię go słuchać.

– Wydaje ci się, że ten chłopak przyjdzie w środku nocy, żeby z tobą porozmawiać? Myślałam, że jesteś mądrzejsza.

Powtarzałyśmy swoje jedna po drugiej. Filomena powiedziała, że Harold po prostu ugania się za spódniczkami i powinnam wyzbyć się złudzeń, ale uznałam, że przyjaciółka chce mi dokuczyć albo jest zazdrosna, jak sugerowała Rose.

Wreszcie Filomena ustąpiła.

– Skoro nie zdołam przekonać cię słowami, obiecaj przynajmniej, że nie ruszysz się na krok z werandy, bo inaczej pójdę za tobą.

Gdy przyrzekłam, że zostanę na werandzie, Filomena nie odezwała się już do mnie tej nocy. Po prostu zgasiła światło i ułożyła się w łóżku. Było mi przykro, że się na mnie obraziła, ale Harold wydawał się taki przystojny, na dodatek dotychczas żaden mężczyzna nie okazywał mi tyle zainteresowania... No i kiedy miałabym okazję, żeby znowu umówić się na *schadzkę*?

Położyłam się w ubraniu na narzucie i czekałam, aż zegar zacznie wybijać północ. Zupełnie jak *Kopciuszek*, tyle że nadal miałam oba pantofelki. O północy zbiegłam po schodach do kuchennych drzwi, których nigdy nie zamykano.

Było bardzo ciemno – ani księżyc, ani gwiazd – i nigdzie nie dostrzegłam Harolda. Czekałam i zaczynałam się już martwić, że dał sobie spokój, ale wtedy zobaczyłam biały mundur wśród drzew w sadzie.

Harold uniósł moje ręce i ucałował bardzo powoli – nie tylko grzbiet, ale i wewnątrz dłoni. Drżałam. Kiedy jednak próbował mnie pociągnąć między



drzewa, usiadłam na stopniach werandy i obciągnęłam spódnice.

– Och, więc jesteś porządną dziewczyną. – Usiadł obok mnie. Kolanem dotykał mojej nogi. – Porządne dziewczyny zwykle nie tańczą tak jak ty.

– Czyli jak? – zapytałam obojętnie.

Usiłowałam sprawiać wrażenie, że takie rozmowy odbywałam już miliony razy.

– Jakby były wolne. Gotowe dać się ponieść i porwać. Byliśmy razem wyjątkowi, Addie. Nie czułaś tego? Mógłbym z tobą przetańczyć całą noc.

Jego słowa przypominały tak bardzo bohatera z odcinkowych powieści w tygodniku, że zachichotałam.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic – zapewniłam. – Chyba nie przywykłam do komplementów.

– A powinnaś.

Objął mnie w talii, a ja oparłam mu głowę na ramieniu i wyobraziłam sobie, jak romantycznie musi to wyglądać.

A potem ujął mnie pod brodę i pocałował w usta.

– To twój pierwszy raz? – zapytał.

– Och, nie. Nie jestem już dzieckiem.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnął się. – Dziecku bym tego nie zrobił.

I znowu mnie pocałował. Równie dobrze całował, co tańczył, i pozwoliłam mu się prowadzić jak wcześniej przy fokstrocie – nie myśląc.

Było to bardzo podniecające i cóż, powiedzmy, że nie miałam pojęcia, jak bardzo się to rozwijało, dopóki nie usłyszałam kościelnych dzwonów.

Wtedy wyprostowałam się i oznajmiłam, że muszę wracać.

Jednak Harold mnie nie puścił, tylko zaproponował, żebyśmy usiedli na hamaku w sadzie i popatrzyli w gwiazdy.

– Są takie piękne, Addie – szepnął.

Odmówiłam i powtórzyłam, że muszę wracać. Kiedy nie przestał mnie obejmować, powiedziałam to znowu.

Na górze otworzyło się okno i ktoś zakasłał.

Harold od razu mnie puścił.

– Nie powinienem był przychodzić – w jego głosie zabrzmiała złość.

– Nie gniewaj się – poprosiłam.

– Chodź ze mną, a nie będę.

Ale nie ruszyłam się z werandy, a kasłanie zabrzmiało głośniejsze.

Harold wstał, zapalił papierosa, a potem odwrócił się i odszedł. Bez



pożegnania. Nic. To było okropne.

Filomena udawała, że śpi głęboko, gdy kładłam się do łóżka. I dobrze. Nie chciałam rozmawiać o tym, co się stało, ani jak się czułam, ani – o rany, rany! – co poczułam. Nie wiedziałam, czy to oznacza, że jestem rozwiązła, czy zakochana. I co czuł Harold Weeks? Może był uwodzicielem, a może zrobiłam coś źle.

Nie chciałam usłyszeć od Filomeny: „A nie mówiłam?”, zwłaszcza że zrobiłabym wszystko, żeby znowu go zobaczyć, i czułam się beznadziejnie, bo wiedziałam, że to się nigdy nie stanie.

## Mamy w rodzinie sufrażystkę

Od września Levine nie mówił o niczym innym, tylko o Święcie Dziękczynienia.

– Amerykanie odmawiają modlitwę przed jedzeniem – opowiadał podczas wizyty. – Co pan o tym sądzi, panie Baum?

– Dla nas to nie święto – mruknął tate.

– Dlaczego nie? Mieszkamy w Ameryce, więc powinniśmy świętować jak Amerykanie. W tym tygodniu złożyłem podanie o obywatelstwo dla mnie i Celi. A moi synowie urodzili się tutaj, więc nie muszą się martwić. Podobnie Addie. Jednak reszta nas powinna się tym zająć.

– Po co? – zdziwił się tate. – Żeby łatwiej nas było znaleźć i wyrzucić? Albo zabrać chłopców do wojska?

– Żeby dostać prawo głosu – wyjaśnił Levine.

Betty tylko prychnęła.

– Więc nie muszę sobie zawracać głowy, bo mnie nikt nie da takiego prawa.

– Mamy sufrażystkę w rodzinie. – Levine złożył ręce. – Jak sądzisz, Celio? Czy Betty ma rację? Czy kobiety powinny mieć prawo do głosowania jak mężczyźni? Celio?

Celia jak zwykle cerowała lub szyła i nie zwracała uwagi na rozmowę. Miała cienie pod oczami i schudła tak bardzo, że sukienka wisiała na niej jak na wieszaku.

– Jak sądzisz, Celio? – powtórzył Levine. – Czy kobiety powinny mieć prawo głosu?

Celia wyglądała na tak zagubioną, że pośpieszyłam jej z odsieczą i oznajmiłam:

– Oczywiście, że kobiety powinny mieć prawo głosu. W Australii już tak jest, podobnie w Niemczech.

Po roku sobotnich spotkań w świetlicy wysłuchałam wielu wykładów i pogadanek o sufrażystkach i już miałam wymienić, w których stanach kobiety mogą głosować, ale Levine tylko uniósł ręce.

– Nie kłóć się z wami. Pan Louis Brandeis powiedział, że w Palestynie

kobiety powinny głosować. Mnie to wystarczająco przekonuje.

– Nowoczesny z pana człowiek, panie L. – stwierdziła Betty.

– Mam nadzieję. I chciałbym was wszystkich zaprosić do siebie na Święto Dziękczynienia jak u prawdziwych Amerykanów, z indykiem i szarlotką!

A to Celia usłyszała.

– Nic wcześniej nie mówiłeś. – Wyglądała na przestraszona.

– Może powinieneś przyznać jej prawo głosu – podsunęłam.

– Wszystko będzie dobrze, Celio – uspokoił ją Levine. – Addie ci pomoże. Dam jej dzień wolny. Płatny.

Mame wyraźnie się skrzywiła. Próbowwała nauczyć Celię gotowania, ale moja siostra przypalała wszystko, co wstawiała do piekarnika, a za każdym razem, gdy kroїła warzywa, kaleczyła sobie palce. Przypaliłaby nawet wodę i odcięłaby sobie palec nożem kuchennym. A gdy matka próbowała ją poprawiać, Celia ukrywała tylko twarz w dłoniach.

– Kto by pomyślał, że dziewczyna, która ma złote ręce do szycia, nie potrafi obrać ziemniaków? – narzekała mame.

Mieszkanie Celi wyglądało koszmarnie, w kuchni piętrzyły się naczynia i garnki, w kątach zalegał kurz, a wszędzie unosił się kwaśny odór brudnych ubrań. Mame była tak zdegustowana, że przestała odwiedzać córkę.

Ale mnie brakowało Celi, więc zaglądałam do niej często, chociaż chyba nie zawsze siostra była z tego zadowolona. Zamiast „dzień dobry” przeproszała za bałagan, potem próbowała wytrzeć stół, żeby podać herbatę, ale najpierw musiała umyć filiżanki, a później nie mogła znaleźć herbaty. Wydawało się, że nie potrafi skończyć jednej czynności ani choć na chwilę spokojnie usiąść.

Jednak najgorsze było to, jak traktowali ją synowie Levine’a. Na początku zachowywali się jak prawdziwe małe potwory. Myron, który skończył sześć lat, był po prostu opryskliwy, gdy Celia się do niego zwracała, a trzyletni Jacob naśladował starszego brata. Za każdym razem, gdy Celia próbowała umyć malca, wychodziła z tego z siniakami i zadrapaniami na przedramionach.

Pomimo takiego zachowania moja siostra nigdy nie pozwalała powiedzieć o chłopcach złego słowa.

– Wyobraźcie sobie, jak oni się czują. Przecież stracili prawdziwą matkę. A kim ja dla nich jestem? Obcą osobą.

Sprawy ułożyły się trochę lepiej, gdy Levine dał Myronowi klapsa za pyskowanie do Celi. Jednak „lepiej” oznaczało tylko, że obaj chłopcy po prostu ją ignorowali, co nie było takie trudne, zwłaszcza że z dnia na dzień

stawała się coraz bardziej milcząca.

Następnego dnia po zaproszeniu na Święto Dziękczynienia Levine czekał na mnie w progu, gdy przyszedłam do pracy.

– Twoja siostra nie zgadza się na indyka. Cokolwiek bym powiedział, nie chce tego w domu. A przecież miło będzie spotkać się z całą rodziną przy stole. Przekonaj ją. Chłopcy będą rozczarowani.

Uważałam, że to raczej Levine będzie rozczarowany, ale rozumiałam, co czuje. Co roku w szkole uczyliśmy się o pielgrzymach i Indianach, którzy im pomogli i podarowali indyka. Sama także chciałam przeżyć Święto Dziękczynienia jak na obrazkach w kolorowych czasopismach, ale nie za cenę złego samopoczucia Celi. Nie mogłam stanąć po stronie Levine'a przeciwko własnej siostrze.

Powiedziałam mu, że powinien poprosić o to Betty, która może skłoni Celię do podania indyka na święto. Zakładałam, że najstarszej siostrze uda się raczej namówić Levine'a, żeby dał sobie spokój. Przecież to właśnie Betty przekonywała Celię, żeby walczyła o swoje.

Ale okazało się, że Betty popiera Levine'a.

– To nic wielkiego – uspokoiła mnie. – Przecież o nic nas dotąd nie prosił, a dzięki niemu właśnie wszystkim nam lepiej się powodzi, zwłaszcza tobie. Powinnaś mi pomóc przekonać Celię do Święta Dziękczynienia.

Betty nie była w mieszkaniu siostry od dość dawna i panujący tam bałagan zupełnie ją zaskoczył. Zaraz jednak zdjęła kapelusz i rękawiczki, po czym zabrała się do zmywania naczyń, jakby robiła to zawsze.

– Nie musisz tego robić – zaprotestowała Celia.

– Oczywiście, że nie – prychnęła Betty wesoło. – No, idź, uczesz się.

Gdy zlew był już pusty, a stół czysty, Betty przygotowała herbatę.

– To miłe... – Od wielu miesięcy nie widziałam u Celi takiego uśmiechu.

Betty poklepała ją po ręce.

– Czy dobrze słyszałam, że nie przygotujesz dla męża indyka?

Po tym pytaniu radość i uśmiech zniknęły z twarzy Celi w okamgnieniu.

– Jak ma upiec tutaj indyka? – rzuciłam. – Widzisz tu jakiś odpowiednio duży garnek? Albo piekarnik?

– Ale to jej mąż – zaoponowała Betty. – Płaci rachunki, więc ma prawo wyrażać swoje życzenia. Powiedziałam Hermanowi, że u włoskiego rzeźnika może kupić już upieczonego indyka.

– *Trefne* mięso w moim domu? – Celia wyszeptała to, jakby nie chciała,

żeby Bóg usłyszał. Potarła policzki. – Nie. Jeżeli już ma być posiłek, który zje cała rodzina, to tylko kurczak od koszernego rzeźnika.

Herbata wystygła, podczas gdy Betty wymyślała kolejne argumenty, jednak Celia nie zmieniła zdania. Wreszcie oznajmiła:

– Może powinniście już iść. Muszę przygotować coś do jedzenia dla męża i chłopców.

Gdy tylko znalazłyśmy się na ulicy, zapytałam ostro:

– Od kiedy mówisz Levine’owi po imieniu?

– O co ci chodzi? – zdziwiła się Betty. – Przecież sama mu kazałaś, żeby ze mną porozmawiał. Nie wie, co ma zrobić. Celia cały czas płacze, nawet we śnie. Więc opowiedziałam mu, jak nie odzywała się przez rok po tym, jak tata zabrał nas do Ameryki. Początkowo też płakała tak bardzo, że wymiotowała. I chodziła we śnie. Nasza Celia nie jest silną osobą, wszystkiego się boi.

Betty ściszyła głos.

– Naprawdę wszystkiego. Wiesz, że od nocy poślubnej Celia nie pozwoliła mi się zbliżyć? To znaczy w łóżku. Wyobrazasz sobie? Przez tyle miesięcy? Herman może się z nią rozwieść z tego powodu.

Zacząłam się zastanawiać, gdzie Levine i Betty rozmawiali o tak osobistych sprawach, bo chyba nie w restauracji, gdzie mogliby ich usłyszeć obcy ludzie. W jego zakładzie, gdy wyszłam? W mieszkaniu Betty?

– Jedno muszę mu przyznać – dodała moja najstarsza siostra. – Naprawdę się stara. Powiedziała mi, że jeżeli sprawy potoczą się jeszcze gorzej, przyniosę indyka od Włochów. Celia nie musi go jeść.

Nigdy jednak do tego nie doszło.

Celii udało się wygrać spór o indyka i Levine oznajmił, że na Święto Dziękczynienia będzie kurczak. Mieliśmy przyjść na piątą, czyli o zupełnie bezsensownej porze, ponieważ nikt nie kończył pracy przed szóstą. Levine jednak uparł się, że to właśnie pora, o której jedzą normalni Amerykanie, więc powinniśmy się dostosować.

Tate zażartował z *gojsze simcza*, zabaw pogan, ale na tydzień przed Świętem Dziękczynienia poprosił, żebym mu opowiedziała o pielgrzymach i Indianach. Mame postanowiła przygotować *cymes* z młodej marchewki.

– Przynajmniej będzie coś do jedzenia.

Betty obiecała, że pomoże Celii uprzątnąć mieszkanie, a tata poszedł do fryzjera.

Pomyślałam, że może nie będzie jednak tak źle.

## Myślałam, że jestem zakochana

Pamiętasz mojego kadeta, Harolda Weeksa? No i jednak zobaczyłam go ponownie.

Na spotkaniu kółka w sobotni wieczór podszedł do mnie mężczyzna w ciemnym płaszczu i powiedział:

– Piękna dziewczyna w pięknym kapeluszu.

Gdy go rozpoznałam, zdołałam tylko wydusić:

– Co tu robisz?

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – Uśmiechnął się lekko.

Okazało się, że dostał przydział do Bostonu i „trochę się za mną rozglądał”. Pamiętał, że powiedziałam o spotkaniach w soboty, więc poszukał świetlicy, gdzie mogły się odbywać.

Kto by pomyślał, że można zaniemówić ze szczęścia? Harold zadał sobie sporo trudu, żeby mnie znaleźć, a byłam przekonana, że już o mnie dawno zapomniał. Zdawało mi się, że to sen.

Zaprosił mnie na kolację, a ja się zgodziłam.

Gdy szłam obok niego, a właściwie biegłam, bo ledwie mogłam nadążyć, Harold opowiedział o sobie. Przyznał, że przestało mu się już podobać w straży przybrzeżnej. Nudził się, a jego ludzie okazali się głupi. Na morzu prawie nie sypiał, a bostońskie koszary były ohydne. Mundur na niego nie pasował, na dodatek Harold od tygodni nie miał nic smacznego w ustach.

Zaprowadził mnie do restauracji, która była znana, ale ja o niej nigdy nie słyszałam. Podawane tutaj potrawy nie wyglądały na jedzenie dla mnie – małże, ostrygi, homary. Pomyślałam jednak, że na pewno są smaczne, ponieważ lokal wydawał się bardzo elegancki. Na stołach zobaczyłam błyszczące sztucce i lśniące kieliszki do wina, a kelnerzy nosili długie białe fartuchy i poruszali się po sali jak na wrotkach.

Kobiety miały na sobie piękne suknie i wspaniałe kapelusze z piórami. Pomyślałam, że wyglądam jak chwast wśród róż, ale Haroldowi chyba to nie przeszkadzało. Z przejęciem przeglądał menu, po czym zamówił mnóstwo jedzenia i butelkę wina.

Spróbowałam homara. Smakował całkiem nieźle. Małże okazały się jednak tak oślizgłe, że musiałam je popić połową lampki wina, aby zmyć nieprzyjemne wrażenie w ustach. No i wtedy alkohol uderzył mi do głowy. Znowu pierwszy raz.

Nie mogłam patrzeć, jak Harold je ostrygi.

– Nie wiesz, co tracisz – przekonywał.

Wydawał mi się jeszcze przystojniejszy, niż pamiętałam. Miał piękne białe zęby, czyste paznokcie, a w świetle naftowych lamp jego oczy wyglądały na granatowe. Kiedy mówił, miałam wrażenie, że jego głos wibruje, jakbym stała obok wielkiego, bijącego dzwonu.

Kiedy kelner przyniósł kawę, Harold oznajmił:

– Usta mi się nie zamykały przez cały wieczór, prawda? A co u ciebie? Nadal pracujesz w sklepie?

Nie mogłam sobie przypomnieć, co mu nakłamałam, więc rozpaczliwie próbowałam szybko zmienić temat. Na szczęście dostrzegłam mężczyznę siedzącego po drugiej stronie sali.

– Widzisz tego starszego pana przy fikusie? – powiedziałam. – Tego z białą brodą, który wygląda, jakby zaraz miał zasnąć nad zupą? Kiedyś prowadził w świetlicy wykład na temat Longfellowa.

Harold ujął mnie pod stołem za rękę i przysunął się tak, że jego noga dotykała mojej.

– Longfellow, co? Nie wiedziałem, że taka z ciebie mądrala.

Zapomniałam o upływie czasu. Dopiero po wyjściu zapytałam, która godzina. Gdybym nie wróciła do domu o wpół do dziesiątej, mame zapewne posłałaby ojca, żeby mnie poszukał, a gdyby przyszedł do świetlicy, panna Chevalier pomyślałaby, że wykorzystuję sobotnie spotkania jako wymówkę i tak naprawdę robię coś, czego nie powinnam. Za nic w świecie nie chciałam jej rozczarować, chociaż tym, co groziło mi w domu, prawie się nie przejmowałam.

Harold powiedział, że nie ma jeszcze nawet dziewiątej, a musi wrócić dopiero przed jedenastą.

Kiedy przyznałam, że sama muszę już iść, zatrzymał mnie z uśmiechem.

– Myślałem, że po takim posiłku przejdziemy się jeszcze i trochę zabawimy.

Przeprosiłam, ale nie mogłam się spóźnić.

Wtedy ruszył szybko ulicą, na dodatek zasłonił sobie uszy i naprawdę musiałam biec, żeby go dogonić. Wreszcie zwolnił i objął mnie mocno.



– Nigdy nie przestałem o tobie myśleć, Addie – wyznał, a kiedy pochylił się, żeby mnie pocałować, nie stawiałam oporu.  
– Moja dziewczyna – powiedział.  
Byłam jego dziewczyną!  
Odprowadził mnie pod drzwi domu i znowu pocałował.

\* \* \*

Nie miałam numeru telefonu, by mu dać, więc umówiliśmy się, że spotkamy się pod ratuszem w następną sobotę wieczorem.

Trzymanie randki w tajemnicy sprawiało, że czułam się jak bohaterka romantycznej powieści. Tydzień ciągnął się w nieskończoność. W pracy wszystko leciało mi z rąk, a w domu byłam tak rozdrażniona, że mama chciała mi zrobić lewatywę – według mojej matki: panaceum na wszystkie dolegliwości.

Na naszej drugiej randce Harold zabrał mnie na film z Charlie Chaplinem. Uwielbiałam Chaplina, jednak Harold wydawał się znudzony i po paru minutach zaczął mnie całować, a potem, cóż... zrobił się natarczywy, więc kazałam mu przestać.

Kiedy wyszliśmy z kina, zapytał, czy się go boję.

Próbowałam z tego zażartować.

– A powinnam?

Zaśmiał się i wziął mnie pod brodę.

– A jak uważasz?

Było jeszcze wcześniej, więc ruszyliśmy Washington Street wśród innych par, które również spacerowały ramię przy ramieniu. Harold powiedział, że podczas swoich wędrówek po mieście znalazł drewnianą płaskorzeźbę, która wygląda zupełnie jak statek zbudowany przez jego rodzinę.

– Znajduje się na drzwiach banku, więc nikt go nie zauważa – przyznał. – To jeden z moich ulubionych widoków w Bostonie. Jak myślisz, chyba powinienem pokazać go mojej ulubionej dziewczynie z Bostonu, prawda?

Opuściliśmy tłumy i skręciliśmy w ulicę, przy której znajdowały się duże banki i kancelarie prawnicze. Za dnia na pewno panował tu tłok i harmider, ale wieczorem to miejsce przypominało cmentarz. Ogarnął mnie lekki niepokój.

Harold wiele wiedział o ozdobach na budynkach – co oznaczają i kiedy zostały wykonane. Wreszcie się zatrzymał.

– Oto jesteśmy.

Drzwi, które chciał mi pokazać, znajdowały się na końcu długiego przejścia. Panował tam taki mrok, że wcale nie widziałam płaskorzeźby. Harold ujął mnie za rękę i poprowadził, żebym mogła dotykiem poznać zarys łodzi i wody. I oczywiście potem zaczęliśmy się całować.

Jak wspomniałam, Harold dobrze całował, a ja już się trochę nauczyłam, więc zamknęłam oczy i przestałam myśleć. Ale potem zrobił się bardziej brutalny. Ugryzł mnie w ucho i ścisnął piersi, a kiedy próbowałam go odepchnąć, przyparł mnie do ściany. Potem pamiętam tylko, że wsunął mi nogę między uda i mocno się o mnie ocierał. Całował mnie, więc nie miałam jak mu powiedzieć, żeby przestał. Ledwie mogłam oddychać.

Nie trwało to długo. Kiedy się cofnął, pocałował mnie w policzek i czoło. Bardzo czule. A potem jakby warknął:

– A teraz pewnie chcesz, żebym wyznał, że cię kocham?

Niezbyt miłe, prawda? Wnuczkom raczej nie opowiada się o takich doświadczeniach. Nawet wtedy nikomu o tym nie powiedziałam. Zresztą, niby komu miałabym się zwierzyć? Filomena kazałaby mi zerwać wszelkie kontakty z Haroldem, a właśnie tego nie chciałam słyszeć. Myślałam, że jestem zakochana.

\* \* \*

Musiałam wspomnieć, gdzie pracuję, ponieważ Harold właśnie tam wysłał list do mnie. Zaczynał się od „Kochanie” i był pełen komplementów. Dowiedziałam się, że jestem cudowna, mądra, śliczna i dowcipna, a na dodatek nowoczesna. Twierdził, że nigdy nie spotkał takiej dziewczyny – prawdziwej dziewczyny z miasta, ale nie tak twardej. Włożył nawet do koperty sprasowany kwiatek.

Napisał też, że za parę dni musi wyjechać do Waszyngtonu, ale mam wybrać czas i miejsce następnej randki, a on stawi się albo „umrze, próbując”. Uznałam, że to bardzo szarmanckie.

Odpisałam, żeby czekał na mnie w czwartek o dziewiątej rano na schodach pod ratuszowym zegarem. Ten dzień wypadł w Święto Dziękczynienia. Dostałam wolne, żeby pomóc Celi, ale uznałam, że zostanie mi na to mnóstwo czasu. A ponieważ tym razem randka nie była wieczorem, nie martwiłam się, że Harold się podnieci.

Zjawiłam się parę minut wcześniej, ale on już na mnie czekał. I przyniósł mi różę. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam go w dziennym świetle i omal nie

zemdlałam z zachwytu. Miedziane guziki jego płaszcza błyszcząły w słońcu, a czarne włosy lśniły. Zapuścił niewielki wąsik, dzięki czemu wydawał się jeszcze bardziej atrakcyjny, a zarazem dojrzały.

– Jesteś taki przystojny – westchnęłam.

Roześmiał się.

– Za taki komplement dostaniesz śniadanie w Parker House.

Wiedziałam wszystko o tym miejscu. Zapytałam, czy możemy zamówić te słynne rogaliki.

Harold powiedział, że jestem urocza.

– Nie sądzę, abyś mogła stamtąd wyjść, dopóki nie spróbujesz choć jednego.

W holu leżały perskie dywany, a pod sufitem błyszczał wielki żyrandol. Panowała tam cisza jak w czytelni, ale restauracja okazała się zupełnym przeciwieństwem – głośna, zatłoczona i pełna dymu z cygar, które przy stolikach palili mężczyźni w eleganckich garniturach. Byłam jedyną kobietą w sali oprócz siwowłosej damy, pijącej herbatę i czytającej gazetę.

Chłopak w białej marynarce podał nam kawę i koszyk tych sławnych rogalików, ślicznych i jeszcze ciepłych.

Harold opowiedział mi o ważnych ludziach, których pozna w Waszyngtonie, oraz o pięknych pomnikach.

– Powinnaś je kiedyś zobaczyć.

Skończył zamówioną jajecznicę na bekonie i położył mi dłoń na kolanie.

– Niesamowite... Rozglądasz się i tak szeroko otwierasz te swoje wielkie zielone oczy. Jak tamtego wieczoru, gdy cię spotkałem. Pomyślałem wtedy: oto dziewczyna, która poszukuje. Byłaś wolna jak ptak, Addie. Nowa kobieta.

Próbowałam cofnąć krzesło.

– Skąd miałbyś to wiedzieć po paru tańcach?

– Umiem rozpoznać talent. – Ścisnął mnie za udo. – To był dla mnie bardzo szczęśliwy wieczór. No, ale ja zawsze mam szczęście.

Harold powstrzymał kelnera, który chciał mi nalać więcej kawy, i poprosił o rachunek.

– Zostałem przydzielony do biura komendanta straży przybrzeżnej. Pewnie załatwił to mój ojciec. Ale mało mnie to obchodzi, po prostu chcę się wydostać z tych piekielnych koszar.

Powiedziałam, że to cudownie.

– Oczywiście oznacza to przeniesienie do Waszyngtonu – zgodził się takim tonem, jakby mówił o zmianie pogody. – Jutro odpływam.

– Jutro?

Miałam wrażenie, że spadam gdzieś w dół – jak wtedy, gdy morze wymywało mi piasek spod stóp. Panna Holbrooke powiedziała, że to prąd.

W zeszłym miesiącu morze wciągnęło dziewczynę. Nigdy nie znaleziono jej ciała.

Harold zbliżył się do mnie.

– Nie chciałem ci mówić, dopóki wszystko nie zostanie ustalone. I mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. – Objął mnie w talii i poprowadził do windy. – Wynająłem dla nas pokój, żebyśmy mogli się porządnie pożegnać.

I właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że nie mogę się dłużej oszukiwać. Filomena miała rację, a ja byłam głupia.

– Myślisz, że pójde z tobą do pokoju hotelowego? Za kogo mnie uważasz?

Zadzwonił dzwonek i staruszek w czerwonej czapce odsunął kratę windy.

Harold pochylił się do mnie i wyszeptał:

– Nie rób mi tego. Zafundowałem ci wykwintne posiłki. Nie piszczałaś, kiedy obmacywałem cię od góry do dołu. Musisz przyznać, że byłem cierpliwy, więc teraz zamknij się i rób, co mówię.

Próbowałam się wyrwać, ale tylko mocniej zacisnął palce na moim ramieniu.

– To boli! – oburzyłam się i to wcale nie szeptem.

Harold rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt nie usłyszał.

– Och, kochanie – odezwał się ciepło, żeby nasza szarpanina wyglądała tylko na kłótnię kochanków. – No, bądź grzeczna.

Pchnął mnie do windy, ale szarpnęłam się mocno.

– Puść mnie! – zażądałam na tyle głośno, że usłyszał mnie windziarz.

– Co się dzieje? – zapytał.

Harold miał mord w oczach.

– Wiesz, ile mnie kosztował ten pokój, ty mała dziwko?

Kiedy znalazł się przy kracie, ugryzłam go. Naprawdę mocno go ugryzłam, zaciskając zęby na jego rękę.

Harold zawył i zamachnął się pięścią, a ja zaczęłam krzyczeć:

– Nie bij mnie, nie bij!

Widząc, że w naszą stronę idą jacyś dobrze ubrani mężczyźni, cofnął się szybko, a potem podniósł kołnierz płaszcza i ruszył przez hol – bez pośpiechu – jakby wybierał się na spacer po parku. Patrzyłam za nim jak dziewczyna wciągana na dno przez morski prąd.

Kiedy odźwierny otworzył mu drzwi i Harold zniknął, uświadomiłam sobie,

że wszyscy na mnie patrzą, więc czym prędzej ruszyłam w przeciwną stronę – jak najdalej od drzwi. Uciekałam na oślep, chyba szukałam innego wyjścia, ale wokół były tylko schody w dół i nie mogłam nic zrobić, po prostu zeszałam. Znalazłam się w podziemiu, gdzie omal nie oberwałam w twarz wielką tacą z filiżankami i spodkami.

Taca zatrzymała się dosłownie o cal przed moim nosem.

– Jezu Chryste! – usłyszałam tylko.

Okazało się, że to chłopak, który nalewał mi kawę. Odstawił tacę i zapytał, co robię w piwnicy i co się stało z moim marynarzem.

Rozpłakałam się.

Chłopak był miły.

– Wszystko w porządku – pocieszył mnie cicho. – I tak nie uważałem cię za tego rodzaju dziewczynę.

Chyba wszyscy w restauracji pomyśleli, że jestem kobietą lekkich obyczajów, delikatnie to ujmując.

\* \* \*

Wróciłam do swojej dzielnicy North End najszybciej, jak zdołałam. Skulona, robiłam sobie wyrzuty, że byłam taka głupia.

Uważałam się za mądrzejszą od innych dziewcząt, a jednak dałam sobie wmówić, że zakochałam się w mężczyźnie, który uważał mnie za łatwą, obraził i był gotów mnie zgwałcić. Byłam taka głupia!

No cóż, powinnam była się domyślić, jaki to mężczyzna, gdy tylko znaleźliśmy się na parkiecie. Kiedy Harold pochylił się i wyszeptał mi do ucha, żebyśmy spotkali się na werandzie w pensjonacie... Nie wierzę, że ci to mówię... Wsunął mi język do ucha. Poczułam obrzydzenie, że w ogóle można coś takiego zrobić, ale też dreszczyk podniecenia – nowe doznanie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Jednak nawet po tamtej nocy, po której miałam posiniaczone plecy... Nawet wtedy się oszukiwałam.

Wciąż czuję wstyd i skrępowanie. Ale po siedemdziesięciu latach mam też współczucie dla tamtej dziewczyny. Za młodu byłam dla siebie strasznie surowa.

## To moja вина

Dochodziła zaledwie jedenasta, gdy dotarłam do mieszkania Celi, ale w kuchni już wydarzyła się katastrofa. Wszędzie leżały garnki i talerze, a na stole piętrzyła się sarta nieobronnych ziemniaków. Celia stała nad gęstym, kleistym syropem, który kapał na podłogę. Przybiegł Jacob z rękami i buzią usmarowanymi rozlaną mazią, a siostra popatrzyła na mnie, jakby nie rozumiała, skąd się tutaj wzięłam.

A potem zaczęła się osuwać, kolana ugięły się pod nią w zwolnionym tempie. Usiadła na podłodze między stołem a kuchnią. Chyba dopiero wtedy zrozumiałam, że kałuża na podłodze to nie syrop, lecz krew. Zaczęłam krzyczeć, czym przstraszyłam Jacoba. Chłopiec się rozplakał.

Ręce Celi krwawiły od skaleczeń na palcach i dłoniach, ciągnących się po nadgarstki.

– Co się stało? – zapytałam. – Czy to boli?

Nie wyglądała, jakby czuła ból. Uśmiechała się, gdy próbowałam owinąć jej ręce ręcznikami, jakby to nie miało z nią nic wspólnego.

Cały czas błagałam, żeby mi powiedziała, co się stało, ale ona tylko kręciła głową.

Chciałam ją podnieść, posadzić na krześle, ale chociaż z siostry została tylko skóra i kości, nie mogłam jej ruszyć. Powtarzałam tylko:

– Celio, wstań, proszę, wstań. Celio, odezwij się, Celio.

Potem zamknęła oczy i nie byłam pewna, czy w ogóle mnie słyszy.

Wreszcie udało mi się unieść ją trochę i oprzeć o kuchnię. Wzięłam za rękę zapłakanego Jacoba i oznajmiłam, że idę po pomoc.

Wtedy Celia otworzyła oczy i wyszeptała:

– Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam. – Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Sąsiedzi stali w korytarzu, żeby zobaczyć, co się stało. Krzyk Jacoba i mój przyciągnęły ich uwagę. Kiedy zobaczyli mnie z chłopcem całym we krwi, ktoś wrzasnął:

– Morderstwo!



Próbowałam powiedzieć im o Celi, ale wciąż krzyczeli, żeby wezwać policję i zabrać ode mnie dziecko.

Policjant przepchnął się przez tłum.

– Oddaj mi chłopca! – rozkazał.

Wyjaśniłam mu, że Jacob nie jest ranny.

– To moja siostra. Skaleczyła się, ale nie mogę jej podnieść. Potrzebuje lekarza. Szybko.

Policjant podbiegł, w progu minął Jacoba, który szlochał i drżał w moich ramionach. Czułam, jak krew tężeje na jego koszuli i między moimi palcami.

I wtedy policjant wrócił z Celią w ramionach. Jej głowa opadała mu na pierś. Moja siostra wyglądała trochę jak mała śpiąca dziewczynka.

– Z drogi! – warknął funkcjonariusz i pobiegł do knajpy po drugiej stronie ulicy. Kopnięciem otworzył drzwi, a potem krzyknął: – Riley, potrzebny mi wózek do piwa!

Policjant owinał Celię derką i ułożył na siedzeniu, a kiedy próbowałam wdrapać się na wóz, powstrzymał mnie stanowczo.

– Znajdź opiekę dla chłopca i sprowadź męża.

Głos funkcjonariusza brzmiał spokojnie, ale dostrzegłam drżenie jego rąk. Nie był wiele starszy ode mnie.

Kiedy ruszał, zawołałam jeszcze:

– Dokąd ją pan zabiera?

Odpowiedział mi ktoś z gapiów:

– Pojedzie z nią do Mass General przy Fruit Street.

Zaraz jednak ktoś inny zaprzeczył.

– Nie, Mount Sinai jest bliżej.

– Nie wydaje się, żeby to w ogóle miało znaczenie. Widzieliście, jaka była blada? – Kobieta, która to powiedziała, zmarszczyła brwi. – Biedaczka.

Pognałam do domu i zostawiłam Jacoba pod opieką mamy, której wyjaśniłam, że Celia miała wypadek i muszę sprowadzić Levine'a.

W ubraniu zbryzganym krwią weszłam do zakładu.

Zanim Levine otworzył usta, oznajmiłam:

– Z Jacobem wszystko dobrze. Celia się zraniła.

– O czym ty mówisz? Gdzie ona jest?

– Chyba w Mount Sinai. Nie wiem na pewno. Zabrał ją policjant.

Levine polecił mi odebrać Myrona ze szkoły i poczekać w mieszkaniu rodziców. Najpierw jednak poszłam po ojca. Mogłabym przysiąc, że kiedy



usłyszał, co się stało, bruzdy na jego twarzy jeszcze się pogłębiły.

Kiedy wróciłam z Myronem, Jacob był owinięty w ręcznik, a włosy miał mokre po kąpeli. Mame karmiła go marchewką. Papa siedział pod przeciwległą ścianą z modlitewnikiem w dłoniach i kołysał się w powolnym rytmie.

Stałam przy oknie, aby wypatrywać Celi. Wyobraziłam sobie, jak policjant wnosi ją do mieszkania, ale tym razem oczy miała otwarte, a ręce owinięte czystymi, białymi bandażami. Mame będzie wyrzucała mojej siostrze niezdarność, papa pochylił się, ujmie jej twarz w dłonie i pocałuje w czoło. A ja... ja będę siostrą, na jaką Celia zasługuje.

Celia nie pozwoliłaby mi przeproszać za spóźnienie. Powiedziałyby, że „wypadki się zdarzają”. Nikt nie umiał tak wybaczać jak Celia. Była jedyną osobą w rodzinie, która mnie całowała.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić.

– Wróć do domu. Jak najszybciej, już.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Jacob zasnął na moim łóżku, Myron wyszedł na podwórze, ale nikt go nie zatrzymał. Kiedy zrobiło się ciemno, tata zapalił światło i stanął w kącie pokoju z modlitewnikiem, a mama wbiła spojrzenie w drzwi, zagryzła wargi i załamała ręce. Słyszałam sąsiadów szepczących na korytarzu, ale chociaż bardzo chciałam ich przepędzić, bałam się opuścić swój posterunek przy oknie. Wmówiłam sobie, że muszę tam pozostać, bo inaczej Celia nie wróci do domu.

Rozmowy za drzwiami ucichły, a do mieszkania wszedł Levine – zgarbiony, z zaczerwienionymi oczami. Za nim pojawiła się Betty, która wyglądała na przerażoną i zagubioną. Wciąż trzymała pudełko z ciastem na Święto Dziękczynienia. A potem za nimi stanął policjant, ten sam, który zabrał Celię do szpitala. Mundur miał ciemny od zaschniętej krwi, ale ręce puste.

Zdjął czapkę i podszedł do ojca.

– Proszę pana, bardzo mi przykro, że przynoszę tak straszną wiadomość. Lekarz powiedział, że pana córka straciła zbyt dużo krwi i nic nie można było zrobić.

– Sima! – Mama opadła na kolana. – Mój skarb! Dziewczyna jak złoto, ta moja córka. Czyste złoto...

– Przykro mi – powtórzył cicho policjant. – Może gdybym dotarł wcześniej...

– To nie była pana wina – zapewnił tata. – Młodsza córka powiedziała mi,

jak szybko pośpieszył pan z pomocą. Chciałbym panu podziękować.

Levine oparł czoło o ścianę i rozplakał się bezdźwięcznie. Betty objęła ojca.

Odprowadziłam policjanta, Michaela Culkeena – nigdy nie zapomnę, jak się nazywał – do drzwi.

– Możemy porozmawiać na osobności, panienko? – zapytał w progu.

Poszliśmy w głąb ulicy, na tyle daleko, żeby nikt nas nie usłyszał. Policjant znowu zdjął czapkę i westchnął.

– Nie czuję się z tym dobrze, ale muszę zapytać, czy panienka widziała na własne oczy, co się stało? Doktor mówił, że muszę napisać raport z powodu tych skaleczeń na nadgarstkach, które siostra panienki sobie zrobiła. Powiedział, że musiała długo krwawić.

Przyznałam, że nic by się nie stało, gdybym przyszła wcześniej. Powiedziałam, że Celia umiałaby zszyć skrzydła motyla w locie, ale w kuchni zawsze się kaleczyła. Nie mogłam przestać mówić.

– Była najmilszą osobą na świecie. To moja wina. – I poprosiłam, żeby mnie aresztował.

Funkcjonariusz Culkeen znowu westchnął.

– Proszę się nie obwiniać. – Miał życzliwe, niebieskie oczy i irlandzki akcent, podobny do tego, z jakim mówiła Rose. – Dzięki pani siostra dostała szansę, żeby walczyć.

Następne westchnienie zabrzmiało bardziej jak jęk.

– Służę dopiero rok, a już zaczynam myśleć, że ksiądz miał rację, gdy mówił, że dobrych ludzi Bóg wcześniej powołuje do siebie. Siostra panienki była taka drobna. Przypominała mi moją kuzynkę. – Potrząsnął głową. – Chyba pora wracać do domu. Trzęsie się panienka jak liść.

\* \* \*

Celia została pochowana na cmentarzu w miejscu nazywanym Woburn, daleko za miastem. Levine wszystko zorganizował – i trumnę, i karawan. Zapłacił także za samochód, który zawiózł rodzinę na cmentarz, ale ja wolałam zostać z Myronem i Jacobem.

Nie potrafiłam się zdecydować, co było gorsze: patrzeć, jak Celia składana jest do grobu, czy nieobecność na pogrzebie. Tak czy inaczej byłam pewna, że zasłużyłam na każdą karę.

Nic by się nie stało, gdybym przyszła na czas.

Tylko o tym myślałam, gdy się budziłam, i z tą myślą kładłam się spać. Celia

by żyła, gdybym nie poszła na spotkanie z tym okropnym mężczyzną. Żyłaby, gdybym nie była taka głupia...

To moja wina.

Przez cały tydzień sąsiedzi i obcy przychodzili do mieszkania i wychodzili z niego. Mężczyźni w milczeniu zjawiali się przed pracą na modlitwę, a potem wracali wieczorem. Tymczasem kobiety przynosiły jedzenie, zostawały na herbacie, zmywały naczynia i rozmawiały.

Brednie i głupoty, które padały z ich ust, wydawały się nigdy nie kończyć. Każda z przybyłych miała siostrę lub kuzynkę, która straciła dziecko i nie mogła się z tym pogodzić. Pani Kępińska słyszała o kobiecie, która padła martwa dokładnie w chwili, gdy jej syna przejechał samochód.

Mame co chwila powtarzała opowieść o wypadku Celi – plany na wspaniały posiłek, nóż, który się ześlizgnął, policjant, szpital i pogrzeb w miejscu tak strasznie odległym, że nie da się nigdy tam dotrzeć. A potem zaczynała krzyczeć:

– *Aj, aj, aj!*

Kobiety przytrzymywały ją wtedy za ręce, żeby nie rwała włosów z głowy, i powtarzały, jak bardzo im przykro, ale za plecami matki unosiły brwi. Za każdym razem, gdy słyszałam wersję wydarzeń według mamy, robiło mi się niedobrze.

W ostatnim dniu szczy w mieszkaniu zebrali się mężczyźni. Jedli, pili, rozmawiali o płacach, cenie węgla, pogodzie... jakby śmierć Celi nie miała żadnego znaczenia.

Nienawidziłam ich.

Betty i Levine zabrali chłopców na spacer, a mamy, choć było dopiero wczesne popołudnie, położyła się, gdy tylko ostatnie naczynia zostały umyte. Tate zasnął, siedząc na sofie.

Stałam przy oknie. Nie widziałam koloru nieba ani ludzi na ulicy. Celia umarła i nie miałam prawa myśleć o niczym innym. Nigdy jej nie zapomnę. Postanowiłam przestać chodzić do świetlicy na spotkania w sobotnie wieczory i znaleźć drugą pracę. Zamierzałam oddawać rodzicom każdego zarobionego centa – jak Celia... Zmienić się, być lepszą córką.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Papa się obudził.

– To na pewno Gilman – stwierdził. – Powiedz mu, Addie, że zapłacę czynsz w przyszłym tygodniu.

Ale to nie był właściciel domu.

Rose podała mi bukietek fiołków.

– Od dziewcząt z kółka – powiedziała.

Twarz miała osmaganą wiatrem i zaczerwienioną. Gussie owinęła się wytartym szalikiem po czubek nosa. Helen miała nową, czerwoną czapkę. Irene ujęła mnie za rękę i nie puściła. A Filomena ucałowała mnie w policzki.

Miałam wrażenie, że widzę je po raz pierwszy, i zdumiałam się, że są piękne.

– Wkładaj płaszcz – poleciła Filomena. – Zabieramy cię na spacer. Potrzebujesz trochę świeżego powietrza.

1917-1918

## Było to jak przebudzenie się z koszmaru

Gdyby nie Filomena, tej zimy chyba wychodziłabym z domu tylko do pracy. Przyjaciółka parę razy wyciągnęła mnie na kółko w sobotę, ale nie byłam gotowa na spotkanie z tłumem radosnych dziewcząt, więc zamiast do świetlicy zaczęła mnie zabierać w niedziele do kina. Upierałam się przy smutnych filmach, więc obejrzałyśmy mnóstwo bohaterek i bohaterów, którzy zakasłali się na śmierć. Filomena wołała komedie.

– Życie jest wystarczająco trudne – mawiała.

Zabrała mnie też do muzeum sztuki użytkowej. W tamtych czasach wstęp był tam wolny. Nigdy wcześniej nie byłam w muzeum, ale Filomena wiedziała, gdzie co jest. Umiała opowiedzieć coś ciekawego o każdym obrazie, a kiedy nikogo nie było w pobliżu, przesuwała palcami po rzeźbach. Twierdziła, że dzięki temu lepiej je widzi.

Kiedy nadeszła wiosna, oznajmiła, że powinniśmy wybrać tydzień, w którym pojedziemy do pensjonatu w Rockport. Powiedziałam, że się tam nie wybieram.

– Jeżeli brakuje ci pieniędzy, chętnie pomogę – zaproponowała.

A kiedy odparłam, że mam pieniądze, domyśliła się od razu.

– Chodzi o Celię?

Przygarbiłam się na dźwięk imienia siostry. Od miesięcy go nie słyszałam. Wydaje mi się, że moi rodzice kłócili się o błahostki – właściwie o nic – ponieważ bali się wymówić imię Celi. A z Levine'em rozmawiałam tylko o pracy.

– Celia chciałaby, żebyś ze mną pojechała – powiedziała Filomena.

Usłyszeć ponownie imię siostry wcale nie było łatwiej niż za pierwszym razem, więc tylko warknęłam:

– Nie masz pojęcia, czego chciałaby Celia. Nawet ja tego nie wiem. Nigdy jej nie zapytałam, jak się czuje ani jak jej minął dzień. Traktowałam ją, jakby była... krzesłem.

Filomena wiedziała, że czuję się odpowiedzialna za śmierć Celi, i chyba się domyślała, że tamtego dnia się spóźniłam. Może nawet podejrzewała, że

spotkałam się z mężczyzną, ponieważ gdy mnie pytała, dlaczego nie przyszedłam w dwa sobotnie wieczory z rzędu, płątałam się i mamrotałam, a na pewno nie patrzyłam jej w oczy. Możliwe, że Filomena odgadła także, że tym mężczyzną był Harold.

Przyjaciółka położyła mi rękę na ramieniu.

– Wiesz, że Celia cię kochała i chciała, żebyś była szczęśliwa, prawda? Nieważne, co ci się wydaje, że zrobiłaś.

Nie mogłam temu zaprzeczyć, więc milczałam.

– Addie, skoro ty nie jedziesz, to ja też nie, chociaż złamie mi to serce. A tego byś nie chciała, prawda? – W wywołaniu poczucia winy Włoszki są równie dobre jak Żydówki.

Wreszcie uległam, a panna Chevalier zapisała nas obie na czerwiec.

Levine oczywiście zgodził się dać mi tydzień wolnego, a potem po raz pierwszy od sziwy Celi przyszedł do naszego mieszkania i oznajmił moim rodzicom, że wysyła mnie na wakacje w nagrodę za świetnie wykonywaną pracę. Nieważne, za kogo go uważano, mój szwagier zachował się jak *mensz*.

Nie mogę powiedzieć, że cieszyłam się tak na sto procent z wyjazdu do Rockport, ze względu na Harolda Weeksa i to, co się przez niego stało. Jednak dobrze było odpocząć choć na chwilę od rozczarowania, które widziałam na twarzach rodziców, gdy to ja pojawiałam się w drzwiach, a nie Celia.

Tym razem pojechałyśmy pociągiem, bo kosztowało to mniej niż rejs. A kiedy tylko wysiadłam na peronie w Rockport i owiało mnie morskie powietrze, poczułam się lepiej. Było to jak przebudzenie się z koszmaru.

Poszłyśmy z Filomeną do pensjonatu. Podobało mi się, że nic się tutaj nie zmieniło – niebieskie talerze, kurz na krzesłach na werandzie, białe firanki w każdym oknie. Pani Morse była tak samo gruba, jak pamiętałam, a do każdego posiłku nadal podawała masło.

Ponownie dostałyśmy z Filomeną pokój tylko dla siebie, z czego bardzo się ucieszyłyśmy. Kiedy zajęłyśmy się rozpakowaniem – tym razem to ja miałam trochę nowych rzeczy i nawet walizkę – przyjaciółka poprosiła mnie o przysługę.

– Zastanowię się – odpowiedziałam, chociaż bez wahania skoczyłabym dla niej w ogień.

Okazało się, że panna Green dała Filomenie list polecający do artystki, która miała niedaleko dom letniskowy.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy się tam wybrać jutro, gdy reszta pójdzie do



kościół. To na Old Garden Road.

Była to ulica, przy której stały eleganckie rezydencje.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Przeszliśmy ulicę wzdłuż i wszerz, szukając podanego na kopercie numeru, ale wreszcie Filomena straciła odwagę.

– Może to zły adres? – zastanawiała się. – I chyba jest za wcześnie na odwiedzin. Zresztą ta pani na pewno skończyła jakąś znaną szkołę artystyczną w Nowym Jorku i myśli, że ja tylko maluję kwiatki na porcelanie jak jakieś beztalencie, które nie ma nic lepszego do roboty.

Mnie jednak udało się znaleźć dom. Trudno go było dostrzec z ulicy, ponieważ znajdował się niżej na zboczu klifu od strony morza i musieliśmy zejść po granitowych stopniach, żeby tam się dostać. Nie przypominał bajkowych zamków z drugiej strony drogi. Był to niewielki dom obity szarymi, niemalowanymi deskami, jakie w tamtych czasach widywało się tylko w chatach rybackich. Ale drzwi pomalowano na czerwono – Filomena nazwała ten odcień chińską purpurą. Były otwarte na oścież.

Z progu ujrzaliśmy pokój z oknami na morze zamiast jednej ściany oraz szklane drzwi prowadzące na niewielki balkon, który wydawał się unosić nad falami. Pozostałe ściany były jasnożółte, a dość nisko zawieszony sufit – sięgnąłby tam nawet mężczyzna średniego wzrostu – wzmacniały drewniane belki. Wyglądało to bardzo *artystycznie*.

Filomena zapukała parę razy, ale nie doczekała się odpowiedzi, więc już chciała się wycofać.

– Chodźmy stąd.

Ja jednak umierałam z ciekawości, kto mieszka w takim domu, więc wrzasnęłam:

– Jest tu ktoś?!

I zaraz odpowiedział mi kobiecy głos:

– Proszę wejść! Zapraszam! – Słowa zabrzmiały prawie jak wyśpiewane.

Omam nie parsknęłam śmiechem na widok gospodyni, bo wyglądała jak żywcem wyjęta z komedii. Oczy miała podkreślone grubą, czarną kreską, a włosy krótkie i wilgotne, przez co przypominała fokę. Na dodatek paznokcie u nóg pomalowała na jaskrawy odcień pomarańczowego, do tego nosiła męski podkoszulek bez rękawów i spodnie podwinięte do kolan. Uznałam, że jest rówieśniczką Filomeny.

– Wybaczcie, jestem w rozsypce – uśmiechnęła się. – Ale z kim mam

właściwie przyjemność?

– Ja nazywam się Addie Baum, a to Filomena Gallinelli.

– Filomena? – powtórzyła dziewczyna. – Co za niesamowite imię. Ja jestem Leslie Parker, ale próbuję namówić znajomych, żeby mówili mi Lulu.

Filomena podała jej list.

– Spotkałaś się z moją nauczycielką, Edith Green. Zeszłego lata w Nowym Jorku. Kazałaś jej obiecać, że cię odwiedzę, gdy będę w Rockport.

Leslie zmarszczyła brwi.

– Edith Green? Nie przypominam sobie.

– Rozmawiałyście o glazurnictwie.

– Och, panna *garncarka*! – przypomniała sobie. – Ale nie stójmy tutaj jak stado koni. Siadajcie, siadajcie.

Machnięciem ręki wskazała sofę, a potem wbiła w nas oczy w czarnych obwódkach jak u szopa. Wreszcie zapytała, czy ja też zajmuję się garncarstwem.

Filomena odpowiedziała, że nie, tylko mieszkamy razem w pensjonacie.

– I przyprowadziłaś ją dla ochrony, gdyby się okazało, że jestem jakaś zboczona? No i chyba jestem. Ale lepiej opowiedz mi o sobie – o pracy i życiu towarzyskim.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Filomena zachowywała się tak sztywno i oficjalnie.

– Pracuję z panną Green w warsztacie na Salem Street. Panna Green jest nauczycielką w szkole przy Muzeum Sztuki Użytkowej i ilustratorką książek dla dzieci.

– Pamiętam ją! – powiedziała Leslie. – Wykonuje prace w stylu Williama Morrisa, *n'est-ce pas?* Arts and Crafts. Bardzo ładne, ale mnie fascynuje ceramika afrykańska. A jeszcze te maski i figury... Wstrząsające, nie sądzisz?

Mogłam niemal dostrzec, jak Filomenie dym bucha uszami. Na szczęście Leslie niczego nie zauważyła. Grzebała w stercie czasopism i kartek na stoliku do kawy.

– Dzięki Bogu... – mruknęła, gdy wyciągnęła paczkę papierosów. – Addie, kochana, widzisz gdzieś moją zapalniczkę?

W tamtych czasach kobiety palące należały jeszcze do rzadkości, przynajmniej wśród tych, które znałam, więc zapytałam, czy jej rodzinie nie przeszkadza dym.

Leslie odparła, że jest sierotą, ale powiedziała to takim tonem, jakby mało ją

to obchodziło.

– Rodzice zginęli, gdy byłam dzieckiem. Zajął się mną wuj, cudowny człowiek, bardzo mi oddany. Przyjedzie tutaj w przyszłym tygodniu.

A zaraz potem skupiła się znowu na Filomenie.

– Wspaniale jednak, że już tu jesteś. Wujek Martin parę miesięcy temu kupił koło garncarskie i piec do wypalania gliny. Jak zwykle przestało go to interesować po dziesięciu minutach, ale cały sprzęt i glina zostały. Nie miałabyś nic przeciwko temu, Filomeno, żeby rozejrzeć się po pracowni? Po południu wpadnie mój znajomy. Może o nim słyszałaś? Robert Morelli? Pracuje głównie w brązie, ale para się też gliną.

Filomena zerwała się na równe nogi.

– Z przyjemnością.

– Boczne drzwi za kuchnią, po lewej – wyjaśniła Leslie. – Zaprowadzić cię?

– Znajdziemy. – Filomena machnęła ręką. – Chodź, Addie.

– Co za osobka – powiedziałam, gdy znalazłyśmy się na zewnątrz.

Filomena była wściekła.

– Jest okropna. Słyszałaś, jakim tonem mówiła o panie Green? A niby kto słyszał o Leslie Parker? I co za gaduła. Myślałam, że nigdy się nie zamknie.

„Pracownia” okazała się zwykłą szopą, drewnianym klokiem długim i szerokim na dziesięć stóp, zapchanym i zakurzonym tak bardzo, że obie kichnęłyśmy już w progu. Filomena przyjrzała się beczułkom z gliną, narzędziom i suchym ściereczkom.

– Większość nie była używana.

Kiedy zdjęła pokrowiec z koła garncarskiego, zatchnęła się zaskoczona.

– Zupełnie nowe. – Pchnęła kamienny dysk i zaczęła nim kręcić. – Panna Green zatrudnia mężczyzn do pracy przy kole i piecu. Nigdy nawet nie dotknęłam koła...

Leslie wsunęła głowę w drzwi.

– I jaka ocena?

– Zabiłabym za szansę, żeby tu popracować – przyznała Filomena.

– A kogo byś zabiła? – uśmiechnęła się Leslie. – Nie odpowiadaj. Myślisz, że to miejsce się nadaje?

– Wygląda nieźle, ale należy pamiętać, żeby pokrywki baryłek były szczelnie zamknięte. Szkoda, żeby glina się zmarnowała.

Leslie podziękowała Filomenie i zapewniła, że moja przyjaciółka może korzystać z pracowni, ile dusza zapragnie.

– Do mnie też zajrzyj od czasu do czasu.

Kiedy wracałyśmy do pensjonatu, zauważyłam:

– Leslie potrafi cię rozzłościć, co?

– Nie mów, że ją polubiłaś.

Udałam, że palę papierosa.

– Ale musisz przyznać, że jest widowiskowa – starałam się naśladować głos Leslie.

– Jest strasznie zarozumiała. I ma dla siebie cały dom, a moja siostra wychowuje pięcioro dzieci w dwóch pokojach. A ten sprzęt? Marnuje się tam. To po prostu niesprawiedliwe!

Przypomniałam jej, że dostała pozwolenie na korzystanie z pracowni, kiedy tylko zechce.

– „Do mnie też zajrzyj od czasu do czasu”.

– Jasne, jasne – prychnęła Filomena. – Nie wierzę w ani jedno jej słowo.

\* \* \*

Następnego dnia było zimno i padało, więc utknęłyśmy w pensjonacie.

– Obyśmy tylko nie musiały cały dzień grać w szarady. – Skrzywiła się Filomena, bo nie znosiła szarad.

Przy śniadaniu panna Case podeszła do naszego stolika i wręczyła Filomenie grubą kopertę.

– Właśnie to dostarczono – oznajmiła cicho. – Mam nadzieję, że to nie są złe wieści.

Pobiegłyśmy na górę, żeby przeczytać list w pokoju, ale okazało się, że w kopercie jest tylko szkic ptaka wykonany ołówkiem.

– Co to ma być? – zdziwiłam się.

– To rysunek tego, co wczoraj ulepiłam z kawałka gliny, gdy oglądałam pracownię. Miałam to wrzucić do beczki.

– Może Leslie to narysowała?

Filomena wskazała na inicjały „RM.” w rogu kartki.

– Poznajmy go – zaproponowałam. – I tak nic ciekawego tutaj się nie dzieje w taką pogodę. No i obiecuję, że będę cię chronić przed Leslie.

Tym razem drzwi były zamknięte, ale otworzyły się, gdy tylko zapukałam, jakby ktoś na nas czekał.

Powinien się ogolić i przebrać, bo ubranie miał przyprószone białym pyłem. Włosy zaczynały mu siwieć, ale był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w

życiu widziałam.

Uścisnął dłoń mojej przyjaciółki.

– Ty musisz być Filomena, córka światłości, dziewicza męczennica, obrończyni niewinnych. – Uśmiechnął się jak gwiazdor filmowy. – Nie bądź taka zaskoczona. Moja babka nosiła to imię.

A potem wyciągnął rękę do mnie.

– A ty to Addie Baum. Leslie powiedziała, że skrywasz w sobie głębię, co znaczy, że nie dała ci ani razu dojść do słowa i nie ma pojęcia, kim jesteś.

Przedstawił się jako Bob Morelli i wyjaśnił, że Leslie poszła do miasteczka po sjenę paloną i chleb, ale niedługo wróci.

– Chodźcie do pracowni. Chcę wam coś pokazać.

Szopa została przewietrzona, kurz zniknął, a wszystko zostało dokładnie umyte. Czyste narzędzia spoczywały w równym rzędzie, a mała figurka ptaka – ta z rysunku – stała na parapecie w gnieździe z pasków gliny.

Filomena uniosła rzeźbę.

– Żadnych jajek?

– Nie ulepiłaś taty ptaka – odpowiedział Morelli. – Więc ona na niego czeka.

Filomena tylko popatrzyła na niego, a potem odstawiła figurkę na miejsce.

– Co w tym jest? – Wskazała na sakwę przy kole garncarskim.

Morelli pochylił się i podniósł pakunek.

– Tylko nie mów, że sześciolatek umiałby to zrobić.

Właśnie to mogłabym powiedzieć, gdy wyjął, jak mi się wydawało, misę. Była gładka i okrągła na dnie, ale kanciasta i nierówna u góry. Morelli przesunął palcem po krawędzi.

– Ma wyglądać na rustykalną. Japończycy nie zawsze trzymają się symetrii. Czasami palą wyroby, żeby wyglądały na osmalone.

Filomena wyglądała na obrażoną.

– Nie znam się na sztuce japońskiej.

– Ależ tak! Niektóre ze wzorów Edith Green są bardzo *japonais*. I myślę, że kryją podobną równowagę.

– Uważam, że to, co robimy, jest piękne.

– Oczywiście, że tak – zapewnił Morelli. – Leslie nie zna się ani trochę na ceramice. Ale kiedyś może się okazać niezłą malarką, nie wybitną, ale dobrą. Dziewczyna ma przecież dopiero dwadzieścia lat. A ile ty masz lat, jeśli wolno spytać?

– Nie powinieneś pytać. – Filomena się skrzywiła, ale zaraz dodała, że

skończyła dwadzieścia jeden.

– Panna Gallinelli. Dwadzieścia jeden lat, niezamężna, utrzymująca się samodzielnie i podążająca własnymi ścieżkami, hm... – Morelli przechylił głowę. – To oznacza, że twoi rodzice nie żyją i nie masz braci.

Filomena parsknęła śmiechem.

– Chyba naprawdę jesteś rodowitym Włochem.

– Co mam zrobić, żebyś mnie polubiła?

– Nie wiem... A ile ty masz lat?

– Prawie trzydzieści pięć. Starzec.

– I wciąż kawaler?

– Żona i ja nie żyjemy już razem.

Filomena, która podczas rozmowy znowu bawiła się figurką ptaka, zacisnęła na niej palce i zupełnie ją zgmiotła.

– Auć. – Skrzywił się Morelli.

Nie wiedziałam, co się dzieje, i próbowałam wymyślić, co powiedzieć. Na szczęście pojawiła się Leslie z wypchanymi torbami na zakupy.

– Cały gang tutaj – przywitała się. – Bob był podniecony twoją figurką, Filomeno. Jak to ujął? „Przetrwa próbę czasu”. Moich żalonych wysiłków w ogóle nie chwali, ale i tak wiem, co myśli.

Na podłogę spadł bochenek chleba, a gdy pochyliła się, aby go podnieść, z drugiej torby wysypały się brzoskwinie.

– Przygotuję lunch – oznajmiła. – Ale nie oczekujcie żadnych smakołyków. Jak zwykle po prostu otworzę jakąś konserwę.

– Pomogę – zaoferowała się Filomena, ale Morelli dotknął jej przedramienia.

– Nie wolałabyś wypróbować koła?

– Chodź, Addie – roześmiała się Leslie. – Zostawmy ich. Niech się bawią w błocie. My też się zabawimy, tylko inaczej.

I rzeczywiście się bawiłyśmy. Gdy tylko znalazłyśmy się w domu, Leslie namówiła mnie na włożenie spodni. Chyba w ogóle nie nosiła spódnic. Okazało się, że to nie tylko przebieranka. Gdy włożyłam spodnie, poczułam się zupełnie inaczej. I chciałam sprawdzić, co mogę zrobić z tą swobodą ruchów. Przemaszerowałam krokiem defiladowym dookoła pokoju, usiadłam po turecku na podłodze, zrobiłam fikołka. Zatrzymałam się przed lustrem.

Pomyślałam, że nigdy nie zdejmę tych spodni. Nie chodziło tylko o fizyczną swobodę.



– W spodniach mam ochotę spróbować jazdy na rowerze i na łyżwach. I w ogóle wszystkiego – wyznałam Leslie.

Zapytała, co rozumiem przez „wszystko”. I wiesz, co mi się wyrwało?

– Chciałabym pójść do college’u.

Wtedy zapytała, czy chcę zostać nauczycielką, pielęgniarką albo kimś takim.

– Nie wiem, co chciałabym robić.

– Nic nie szkodzi. Odkryjesz to, gdy już tam będziesz – stwierdziła Leslie lekko, jakby pójście do college’u było równie łatwe jak wycieczka do miasta.

Kiedy wyznałam, że nie skończyłam nawet szkoły średniej, wzruszyła ramionami.

– Znasz Szkołę Ayera? Wujek Martin może szepnąć słówko, jeśli go poproszę.

Ayer było bostońską szkołą przygotowawczą dla dziewcząt.

– Wątpię, aby byli tam zainteresowani Żydówką.

– O, rany. Myślałam, że Baum to nazwisko niemieckie. Nie żeby to miało dla mnie znaczenie. Mam wielu znajomych... No i połowa nauczycieli w Instytucie Sztuki w Nowym Jorku to... – Leslie urwała. W tamtych czasach nazywanie kogoś „Żydem” było niegrzeczne. Dlatego dokończyła: – Muszą być inne szkoły.

– Jest. College Simmonsa – odpowiedziałam. – Wyobraź sobie, że uczą się tam nawet Irlandki.

Leslie od razu odzyskała pewność siebie.

– Nie myśl, że jestem snobką. Kobiety nie studiują z wielu powodów – nieważne, czy to Irlandki, Hotentotki, czy inne. Nikogo nie obchodzi, jaką szkołę skończyła dziewczyna, najlepiej pewnie, żeby żadnej. Ale to nie powinno powstrzymywać kogoś, kto paraduje w spodniach i wyznaje najskrytsze marzenia zupełnie obcej osobie.

\* \* \*

Kiedy Morelli i Filomena wrócili z pracowni, żeby się umyć, przyjaciółka roześmiała się na mój widok. Wciąż nie chciałam zdjąć spodni.

– Leslie uważa, że pewnego dnia wszystkie kobiety będą się tak ubierać – oznajmiłam.

– Te, które na serio zajmują się garncarstwem, już to robią – zgodził się Morelli.

Leslie przyniosła brzoskwinie, krakersy i jajka na twardo, ale Filomena była



zbyt podniecona, żeby jeść.

– Na początku było ciężko – przyznała. – Narobiłam bałaganu, bo kawałek gliny wypadł mi z koła i przeleciał przez całą pracownię. Chciałam zrezygnować, ale Bob mi nie pozwolił. A potem tak po prostu zaczęło mi wychodzić. Powiedział, że wypali ostatnią miseczkę, którą zrobiłam.

– Filomena to zdolna uczennica – zapewnił Morelli.

– Bob to dobry nauczyciel – powiedziała moja przyjaciółka.

Zachowywali się teraz wobec siebie dużo swobodniej. Morelli nie patrzył już na Filomenę, a ona nie potrafiła się powstrzymać od mówienia, jak się czuła, gdy formowała glinę na kole. Może się myliłam i wcale ze sobą nie flirtowali. Zresztą Filomena była za mądra, żeby się zakochać w żonatym mężczyźnie.

Morelli wstał i wyszedł na balkon.

– Zapalę.

Filomena przerwała zachwyty, otrzepała spódnicę, odchrząknęła i wyszła za nim.

– Czuć miłość w powietrzu – zauważyła Leslie.

– Ale przecież on jest żonaty – zaoponowałam.

Wzruszyła ramionami.

– Jego żona to wariatka, prawdziwy koszmar. Żyją od lat w separacji. Nie rozwiedli się tylko ze względu na małego syna. Bob to przedstawiciel wymierającego gatunku, ostatni z prawdziwych dżentelmenów.

Nie mogłam uwierzyć, że Leslie mówi o zdradzie małżeńskiej, jakby to było zwyczajne i mało istotne. A przecież Filomenie złamałoby to serce. Albo gorzej.

Kiedy znowu weszli do salonu, powiedziałam, że czas wracać do pensjonatu. Zamiast jednak mi odpowiedzieć, Filomena popatrzyła na Morellego, a ten zerknął na zegarek.

– Muszę iść do miasta. Mówiłem ci, żeby zadzwonić – oznajmił.

Dopiero wtedy skinęła głową.

– Dobrze, Addie, wracajmy.

Przez całą drogę się nie odzywała, więc paplałam, jakby to było nosić spodnie, oraz powtórzyłam rozmowę z Leslie o college'u.

– Wiem, że jej nie lubisz, ale wcale nie jest taka nadęta.

Kiedy znalazłyśmy się na ganku, Filomena zatrzymała się i powiedziała, że wróci później.

– Jutro też. Nie mam ochoty na kolejną wycieczkę do Dogtown.

Jednak następnego dnia nie planowano wycieczki. Miałyśmy żeglować wokół Cape Ann i dziewczęta już nie mogły się doczekać.

Filomena wzruszyła ramionami.

– On jest żonaty – przypomniałam jej.

– A co to ma do rzeczy? Przecież tylko się od niego uczę.

Chciałam nią potrząsnąć, powiedzieć, że jest głupia i to się źle skończy. Chciałam zapytać, czy naprawdę myśli, że Morellego obchodzi jej talent garncarski. Dlaczego nie rozpoznała uwodziciela takiego samego jak Harold Weeks?

Lecz wszystko to zachowałam dla siebie. Zapytałam tylko – i pewnie zabrzmiało to pruderyjnie i gniewnie – o jedno:

– Co powiesz panie Case?

Odpowiedź Filomeny była równie chłodna:

– Nie zamierzam zmarnować szansy uczenia się od mistrza.

To było okropne. Nigdy tak ze sobą nie rozmawiałyśmy, dlatego próbowałam nieco rozładować napięcie.

– I pewnie miło, gdy nauczyciel wygląda jak Rudolf Valentino.

Filomena nie uznała tego za zabawne.

– Wiem, co robię.

\* \* \*

Przez resztę tygodnia prawie jej nie widywałam. Filomena wychodziła przed śniadaniem i wracała tuż przed zamknięciem drzwi. A jednej nocy wcale się nie pojawiła. Martwiłam się o nią, ale przede wszystkim byłam zła.

Cieszyłam się na nasze rozmowy do późna w nocy. Filomena też. Nigdy nie miałyśmy dość i nawet gdy wspominałyśmy inne osoby, nie były to plotki. Uważałam, że po tych wspólnych nocnych pogaduszkach rozumiem lepiej siebie. A gdy przyjaciółka śmiała się z moich żartów i dziękowała mi za opinię, zaczynałam wierzyć, że naprawdę jestem mądra i zabawna – przecież Filomena tak powiedziała.

Lecz wołała być z Morellim, nie ze mną.

Zapewne czułam się przede wszystkim zraniona, nie tylko rozgniewana. Byłam w tak podłym nastroju, że Irene dała mi miksturę leczniczą Lydii Pinkham.

– Domyślam się, że albo masz bóle miesięczne, albo zaparcie – stwierdziła.

– Chyba nie sądzisz, że to działa, co? – zdziwiłam się.

– Nieważne, co cię dręczy, w tej miksturze jest dość spirytusu, żeby cię rozweselić.

Postanowiłam, że nie będę dłużej marnować wakacji na oburzanie się na Filomenę, i rzuciłam się w wir rozrywek – grałam w tenisa, krykieta, w karty i szarady... Różnie. Nie poszłam tylko na tańce. Powiedziałam dziewczętom, że potwornie boli mnie głowa.

Po zniknięciu Filomeny sporo było szeptów i zerkania na nasz stół. Gussie odstawiała puste krzesło – Filomeny – abyśmy siedziały bliżej siebie. Udawałyśmy, że nic się nie zmieniło. Jedna z dziewczyn zauważyła Filomenę z Morellim podczas wizyty w miasteczku, a panna Case przestała się odzywać do Myszmaszu, jakby to była nasza wina.

Nie rozmawiałyśmy między sobą o Filomenie do piątkowego ranka. Wtedy Rose zapytała:

- Myślicie, że pojawi się na wieczornym bankiecie?
- Nie sądzę, żeby miała dość odwagi – mruknęła Gussie.
- Założę się, że przyszłaby, gdyby Addie ją poprosiła.
- Zrobisz to? – dodała Helen.

Wszystkie spojrzały na mnie wyczekująco, a potem Rose wyjaśniła:

– Bo wiesz, Helen w tym roku wychodzi za mąż, więc ostatni raz spędzamy wspólnie wakacje w pensjonacie.

Nie mogłam zignorować takiej prośby i szczerze mówiąc, szukałam pretekstu, żeby spotkać się z Filomeną.

Drzwi do domu Leslie były otwarte, więc weszłam. Filomena i Morelli siedzieli na sofie. Dziewczyna opierała głowę na jego ramieniu, a on ją głaskał po włosach.

– Cześć, Addie – powiedział na mój widok.

Nigdy nie widziałam Filomeny z rozpuszczonymi włosami. Wydała mi się niemal naga. Przywykłam, że zawsze nosiła warkocz. Wbijając oczy w ścianę za jej plecami, zapytałam, czy przyjdzie wieczorem na bankiet.

– Dziewczyny prosiły, żebym cię namówiła, zwłaszcza Rose. – Spojrzałam na Morellego. – Będzie konkurs śpiewu i żarty.

– Wygląda na niezłą zabawę – stwierdził.

– To dziecinne, ale dobrze się bawimy – zapewniłam. – Lepiej już pójść, trzeba sporo przygotować na wieczór.

Filomena zwinęła włosy i wstała.

– Pójść z tobą.

Podąa Morellemu rękę.

– Do widzenia, Bob. Nie wiem, jak ci dziękować.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował nieśpiesznie każdy z palców. Nigdy nie widziałam niczego bardziej seksownego i zarazem smutnego.

A potem Filomena wybiegła stamtąd, jakby śpieszyła się na pociąg.

\* \* \*

Nie tknęła kolacji i poszła do pokoju, zanim przeczytałam swój wiersz. Wróciłam na górę późno. Filomena już spała.

A o świcie znalazłam karteczkę na jej poduszce. Pamiętam każde słowo, ponieważ je policzyłam – było ich jednaście.

*Droga Addie,*

*wyjechałam wcześniejszym pociągiem. Do zobaczenia wkrótce.*

*Twoja przyjaciółka*

*Filomena*

## Zwinny rudy lis przeskoczył nad leniwym psem

Levine zmienił specjalizację swojego zakładu – zamiast damskich bluzek szył teraz męskie koszule. Większość sprzedawał miejscowym, ale jego klientami byli również żydowscy właściciele sklepów na Południu. W dniu, gdy dostał wypisane na maszynie zamówienie z małego miasteczka w Alabamie, Levine uznał, że wysyłanie rachunków i zamówień pisanych ręcznie źle wpłynie na jego wizerunek w interesach. Dlatego kupił używaną maszynę do pisania, a mnie kazał pójść na kurs, żebym mogła używać jej „profesjonalnie”.

Nie takie miałam plany, gdy postanowiłam uczęszczać do szkoły wieczorowej, ale uznałam, że pisanie na maszynie to przydatna umiejętność. No i przynajmniej raz w tygodniu mogłam wyjść wieczorem bez wywoływania awantury. A co więcej, zaraz po lekcji maszynopisania odbywały się zajęcia z literatury angielskiej, na które też się zapisałam.

Nauka pisania na maszynie odbywała się w wilgotnym pokoiku w piwnicach szkoły średniej, którą powinnam była skończyć. Na kurs zgłosiło się dwadzieścia osób, czyli komplet – poza dwiema Amerykankami resztę stanowiły córki emigrantów, jak ja.

Uczyła nas panna Powder, wysoka i chuda dama. Nie umiałabym powiedzieć, czy ma dwadzieścia pięć, czy czterdzieści pięć lat. Trzymała się prosto, jakby połknęła kij, a włosy czesała w nienaganny, ciasny koczek.

Zanim w ogóle dotknęłyśmy maszyn, panna Powder oznajmiła, że nie oczekuje po nas cudów.

– Żadna z was nie potraktuje tej rady poważnie, ale w pisaniu na maszynie nie ma nic ważniejszego niż postawa i ułożenie rąk – powiedziała. – Proste plecy pozwalają czysto pisać. Garbienie się to niechlujstwo. Na dodatek mężczyźni mogą snuć różne *domysły* o dziewczynie, która się garbi.

Panna Powder spacerowała po pokoju. Gdy ćwiczyłyśmy, biła nas po rękach, jeżeli nie znajdowały się w stosownym ułożeniu, i szczypała nas w łopatki. Gdy tylko poznałyśmy podstawy, przyniosła do klasy stoper i dzwonek, aby odliczać dwie minuty – w tym czasie miałyśmy zapisać jak najwięcej razy „Zwinny rudy lis przeskoczył nad leniwym psem”.

Dzwonek sprawił, że dziewczęta zrobiły się nerwowe, wszystkie oprócz Maureen Blair, ciemnowłosej irlandzkiej piękności, która najlepiej radziła sobie na kursie. Byłam zaraz po niej i panna Powder stawiała nas za przykład. Uważała też, że błędy w pisaniu są skutkiem nieodpowiedniej postawy, ale nie miała racji. Już wtedy uważałam, że wynika to raczej z tego, że większość dziewcząt ledwie umie czytać.

Pewnego wieczoru panna Powder wkroczyła do klasy z włosami tak ciasno spiętymi, że chyba naciągały jej kąciki oczu, bo wyglądała trochę jak filigranowa Chinka. Była też bardzo rozgniewana.

– Zauważyłyście zapewne puste krzesło – oznajmiła. – Panna Blair powiadomiła mnie, że właśnie się zaręczyła, więc *nie musi* się dalej uczyć. – Zaciśnęła usta. – Ufam, że żadna z was nie planuje czegoś tak... tak... – Nie umiała znaleźć odpowiednio mocnego słowa. – Kiedy pomyślę o tych biednych dziewczętach, które zostały odprawione, ponieważ przyjęto już *tę osobę*.

Panna Powder chyba nie byłaby tak święcie oburzona, gdyby Maureen Blair zabiła jej matkę.

Po lekcji pisania na maszynie biegłam na drugie piętro, żeby poznawać Szekspira. Nie zapisałam się na zajęcia, które dotyczyły tylko jednego pisarza, ale nie miałam wyboru. Okazało się jednak, że lekcje są ciekawe. Dziwne, ale ciekawe.

Uczył nas pan Boyer, niski, pulchny mężczyzna z jasnoniebieskimi oczami i białym wąsem. Miał głęboki głos i wydawało się, że niektóre słowa wymawia wielką literą.

– Mam zaszczyt przedstawić Największego Pisarza w Dziejach Języka Angielskiego – powiedział na pierwszych zajęciach. – Czy ktoś z was miał Przyjemność oglądać Dzieło Wielkiego Barda na Scenie?

Nikt nie miał.

– Wstyd. Na tych lekcjach będziecie mogli przynajmniej usłyszeć Wersy jednego z Najwspanialszych Dzieł Barda, z tragedii *Romeo i Julia*.

A potem otworzył książkę i zaczął czytać sztukę. Nie przestał, dopóki nie zabrzmiał dzwonek na koniec lekcji. Na kolejnych zajęciach zaczął tam, gdzie przerwał wcześniej.

Na początku nie rozumiałam połowy z tego, co słyszałam – pojawiało się zbyt wiele słów, których nie znałam, na dodatek spore kłopoty sprawiało mi rozróżnienie i zapamiętanie obcych nazwisk. Jednak przypominało to trochę słuchanie muzyki – pan Boyer czytał naprawdę z uczuciem – i po jakimś czasie

zaczął do mnie docierać sens.

Kiedy nauczyciel doszedł do końca sztuki, na zajęciach z dwudziestu pięciu osób zostało już tylko dziesięcioro uczniów. I ledwie wybrzmiały ostatnie słowa tragedii, Sally Blaustein zaczęła lamentować.

– Oboje umarli? Po tym wszystkim?

Czułam dokładnie to samo.

Pan Boyer się rozpromienił.

– Nasze pierwsze Pytanie – oznajmił, a potem bez żadnego wyjaśnienia zaczął czytać sztukę od początku.

Jednak tym razem przerywał po każdej scenie i zachęcał nas do zadawania pytań na temat tego, czego właśnie wysłuchaliśmy.

Wiele się nauczyłam z tych pytań. Nie tylko o dramacie, lecz także o innych uczniach z klasy. Iris Olshinsky pytała o znaczenie wielu słów, czasami nawet najprostszych, i to po kilka razy. Pan Boyer nigdy nie okazywał ani jej, ani nikomu z nas irytacji czy też zniecierpliwienia. W zasadzie wyglądał na uradowanego, że klasa w ogóle zadaje mu pytania.

Mario Romano chyba nie lubił żadnej postaci ze sztuki, może oprócz Piastunki. Sally Blaustein współczuła wszystkim bohaterom, zwłaszcza Parysowi, który również zginął w imię miłości. Ernie Goldman chciał dokładnych wyjaśnień, kto należał do Kapuletich, a kto do Montekich. I czy faktycznie istnieje trucizna, po której człowiek wydaje się martwy, choć tak naprawdę żyje?

Sama zapytałam o Julię – w paru scenach wydała mi się wspaniała, ale w innych sprawiała wrażenie głupiej.

Pan Boyer rozplanował lekcje tak, aby na zakończenie semestru przeczytać nam ostatnią scenę. A chociaż wiedzieliśmy, co się wydarzy, rozległy się westchnienia, gdy Romeo podnosił sztylet, i szlochy, gdy Julia przebudziła się i odkryła, że ukochany nie żyje. Kiedy pan Boyer odczytał ostatnie słowa dramatu, czułam się jak po długim biegu.

A potem nauczyciel skinął na Erniego i wręczył mu plik kartek.

– Panie Goldman, proszę rozdać kartki. Napiszemy Egzamin Końcowy.

Nigdy nawet nie wspomniał o egzaminie. Pewnie wyglądaliśmy na śmiertelnie przerażonych.

– Nie ma się czym martwić, moi drodzy – zapewnił nauczyciel. – Proszę tylko, żebyście zapisali Jedno Pytanie, które najbardziej was Zaintrygowało lub Zmieszało podczas słuchania Sztuki.



Wydawało się to dość łatwe, więc skończyliśmy w parę minut. Kiedy jednak Ernie wstał, aby zebrać kartki, pan Boyer go powstrzymał i powiedział... Właściwie pan Boyer, gdy nie czytał sztuki, nigdy nie mówił, raczej *oznajmiał* albo *wygłaszał*, jednak tym razem ściszył głos, jakby chciał powierzyć nam sekret.

– Jeszcze tylko jedno, moi drodzy. Zechciejcie, proszę, odpowiedzieć na swoje pytanie.

Wszyscy zabrali się od razu do pracy, ale ja zamarłam. „Czy Julia była wielką bohaterką, czy głupią młodą dziewczyną?” – nie potrafiłam się zdecydować, a nie wyobrażałam sobie, żebym miała napisać, że i jednym, i drugim, trochę jak kiedyś przy omawianiu ballady o Paulu Reverze.

Inni uczniowie oddawali swoje prace, a ja wciąż nie napisałam ani słowa. Ogarnęła mnie panika, ale wtedy doznałam olśnienia – przypomniałam sobie, że Żydzi często odpowiadają na pytania, zadając jeszcze więcej pytań. I właśnie to zrobiłam.

„Czy Julia była lepszą poetką niż Romeo? A gdyby dowiedziała się o Rozalinie, czy wciąż by go kochała? Czy Julia powinna była dać szansę Parysowi? Dlaczego miłość okazała się dla niej tak niebezpieczna? I czy Piastunka była dla Julii wrogiem, czy przyjacielem? Czy Julia popełniłaby samobójstwo z miłości, gdyby miała nie trzynaście, lecz dwadzieścia pięć lat?”.

Siedzieliśmy potem i obserwowaliśmy, jak pan Boyer czyta nasze wypracowania. Kiwał głową, uśmiechał się, unosił brwi, marszczył je, śmiał się cicho i często wzdychał.

Kiedy skończył, oznajmił:

– Gratuluję wszystkim i każdemu z osobna Zaliczenia Semestru. Każdy otrzymał Najwyższą Ocenę, jaką mogę postawić. A teraz, panie i panowie, pragnę was pożegnać. Dobrej Nocy.

Odczekałam, aby wyjść ostatnia. Chciałam mu podziękować i zapytać, czego będzie uczył w następnym semestrze i czy mogę się zapisać.

– Bardzo mi to pochlebia – przyznał. Okazało się jednak, że idzie na emeryturę. Trafiłam na ostatni kurs, jaki prowadził. – Dlatego mogłem sobie pozwolić na tak nieortodoksyjne metody nauczania. Nie można mnie było już za to ukarać. Chciałbym jednak, jeśli można, dać ci zadanie domowe.

Oczywiście się zgodziłam.

Pan Boyer kazał mi zobaczyć *Romea i Julię* na własne oczy, czyli na scenie. Powiedział, że na pewno zrozumie Julię, jeżeli ujrzę ją jako osobę z krwi i

kości i usłyszę jej kwestie.

– Może nawet ją pokochasz.

Widziałam potem *Romea i Julię* ze dwadzieścia razy – w adaptacjach filmowych, na Broadwayu, nawet na szkolnych przedstawieniach. Pamiętasz, jak zabrałam cię do Berkshires, żeby zobaczyć tę sztukę wystawianą pod gołym niebem? Naprawdę uwielbiam Julię i za każdym razem dostrzegam w niej coś nowego. Chyba właśnie dlatego Szekspir jest geniuszem, prawda?

Trafienie do klasy pana Boyera okazało się dla mnie naprawdę szczęśliwym przypadkiem. Kiedy sama zaczęłam uczyć, przypomniałam sobie, jak z nami rozmawiał. I wiesz co? Jeżeli nauczyciel traktuje każde pytanie, jakby nigdy wcześniej go nie słyszał, uczniowie czują, że ich szanuje. Wtedy wszyscy mogą nauczyć się o wiele więcej. Łącznie z nauczycielem.

## Zakładam, że Bóg stworzył też Margaret Sanger

Spotkania w sobotnie wieczory trochę się zmieniły. Zaczęły przychodzić na nie młodsze dziewczęta, a starsze wychodziły za mąż i znikwały. Właśnie tak stało się z Helen, która przeprowadziła się do Fall River. W tamtych czasach był to prawdziwy *szlepek*. Filomena nadal pracowała dla panny Green, ale nie pojawiała się w świetlicy. Gussie wyjawiała mi, że Morelli uczy sztuki w Bostonie. Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziała.

Irene i Rose regularnie przychodziły na spotkania. Po Rockport były najlepszymi przyjaciółkami. Dzieliły pokój w South End, a Rose załatwiła nawet Irene pracę w centrali firmy telefonicznej, gdzie sama pracowała. Od tamtej pory Irene często dzieliła się pikantnymi opowieściami o rozmowach, które udało się jej podsłuchać.

– Rose nigdy tego nie robi, bo jest za dobra i zbyt uczciwa – powtarzała. – Ale gdybym nie podsłuchiwała, umarłabym z nudów.

Irene zawsze umiała mnie rozśmieszyć.

Jednak pewnej soboty, gdy szłam na spotkanie – chyba wiosną, bo było jeszcze jasno – zobaczyłam nadbiegającą Irene i od razu poznałam, że coś się stało. Najpierw pomyślałam, że Rose zachorowała. Chociaż była dziewczyną postawną i silną, ciągle cierpiała na migreny lub przeziębienia. Jednak nie chodziło o Rose.

Irene bez tchu oznajmiła, że w progu ich mieszkania zjawiała się Filomena. Była blada jak śmierć i zapytała, czy może odpocząć przez parę godzin. A potem dostała strasznych bólów w brzuchu.

– Dlaczego nie zabrałaś jej do Mimi? – zdziwiłam się. – Na pewno zajęłaby się siostrą.

Irene pochyliła się i szepnęła mi do ucha:

– Filomena odmówiła, gdy chciałyśmy ją zabrać do lekarza. Coś sobie zrobiła, żeby nie mieć dziecka.

Nie sądzę, żeby w tamtych czasach używano słowa „aborcja”, ale wiedziałam doskonale, o czym mówi Irene.

Kiedy kobieta „traciła” dziecko, mówiło się o tym na dwa różne sposoby. W

pierwszym przypadku – ze smutkiem. Ludzie wzdychali: „Biedactwo” i opowiadali, że to samo przydarzyło się jakiejś krewnej lub dobrej znajomej, która od lat starała się zejść w ciążę. W drugim przypadku „strata” sprawiała, że inne kobiety marszczyły czoło, przygryzały usta i pytały cicho: „Jak ona się czuje?”, niekiedy z troską, a niekiedy jakby chodziło o najgorszą szmatę na świecie. Kiedy pani Tepperman umarła po „stracie” dziecka, krążyły plotki, że za karę nie zostanie pochowana na cmentarzu żydowskim. Do niczego takiego nie doszło, ale to pokazywało, jak ludzie wtedy myśleli.

– Może trzeba ją zabrać do szpitala? – podsunęłam.

– Wiesz, co tam się robi dziewczynom, które przychodzą w takim stanie? – prychnęła Irene.

Miała rację. Słyszałam, że dziewczyny przywiązywano do łóżek, a ksiądz albo policjant próbowali wydobyć z nich zeznanie. Powtarzała się też plotka o dziewczynie, która uciekła ze szpitala i skoczyła z mostu, bo lekarz zagroził, że powie wszystko jej rodzicom.

– Rose mówi, żebyśmy poradziły się Gussie, ale boję się, że ona wszystko wygada – westchnęła Irene. – Pomyślałam, że może ty na coś wpadniesz... Chcemy jej pomóc.

Nie wiedziałam, co robić, ale przyznałam, że może moja siostra znajdzie jakieś rozwiązanie.

Nigdy nie pojawiałam się bez zapowiedzi w mieszkaniu Betty, więc kiedy mnie zobaczyła – a zapewne miałam bardzo ponurą minę – od razu zapytała:

– Które z nich nie żyje?

Wyjaśniłam jej sprawę Filomeny.

– Biedactwo. – Betty nie ukrywała łez.

Miałam ochotę ją ucałować. Na dodatek doskonale wiedziała, co zrobić.

– Wiesz, gdzie jest Florence Crittenton Home? Pracuje tam pielęgniarka, Cécile albo Céline, jakaś Francuzka. Słyszałam, że pomaga dziewczynom w kłopotach. Tylko trzymaj się z daleka od kobiet, które prowadzą ośrodek, bo nie rozumieją tych spraw. – Zaraz jednak zmieniła plan. – Właściwie sama mogę przyprowadzić pielęgniarkę. Tylko podaj mi adres, gdzie mamy przyjść.

Za to naprawdę ją ucałowałam.

Filomena spała, gdy dotarłam do mieszkania Irene i Rose. Drżała i pociła się, a twarz miała tak samo poszarzałą jak Celia, gdy policjant znosił ją po schodach. Byłam pewna, że moja przyjaciółka umiera.

Rose siedziała na drugim łóżku z różańcem na kolanach. Bez uśmiechu

wyglądała zupełnie inaczej, obco.

Irene przyniosła niewielkie zawiniątko i powiedziała, że widziała się z Mimi.

– Skłamałam, że panna Green skręciła kostkę i poprosiła Filomenę, żeby z nią została przez kilka dni. Mimi dała dla niej trochę ubrań.

Niewiele więcej mogłyśmy zrobić, pozostało tylko czekać na Betty. Rose chłodziła czoło chorej wilgotnym ręcznikiem, Irene po kropelce podawała Filomenie wodę do ust, a ja trzymałam ją za rękę. Zwykle wszystkie trzy gadałyśmy jak najęte, ale wtedy nie miałyśmy nic do powiedzenia.

Filomena ocknęła się, a na mój widok krzyknęła. Uspokoiałam ją, że wszystko będzie dobrze i pielęgniarka już idzie, żeby jej pomóc, więc o nic nie musi się martwić. Nie wierzyłam w ani jedno słowo, które powiedziałam, ale Filomenę chyba to uspokoiło.

Spała, gdy przyszła Christiane. Była Kanadyjką francuskiego pochodzenia i wyglądała jak anioł w białym uniformie, ale okazała się bardzo rzeczowa. Zmierzyła Filomenie puls, potem kazała nam przenieść ją do łazienki i położyć w wannie.

Christiane podała mi bawełniane szmatki i kazała zwinąć je najciaśniej, jak zdołam. Wymieszała coś w butli z rurką. A potem popatrzyła Filomenie w oczy i powiedziała:

– Spróbuj się rozluźnić, kochana. To nie potrwa długo. Oddychaj głęboko. Licz do stu.

Twarz Filomeny była jak maska. Patrzyła w sufit, gdy pielęgniarka zaaplikowała miksturę, a zaraz potem buchnęła krew. Christiane pochwaliła Filomenę i zapewniła, że wszystko idzie dobrze. Nie trwało to długo, jak obiecała, jednak wszystkie byłyśmy wykończone. A Filomena? Chyba zaciskała zęby, dopóki nie zasnęła.

Potem położyłyśmy ją do łóżka, a Christiane wyprowadziła nas na korytarz i oznajmiła, że musimy zająć się przyjaciółką – musi mieć spokój, trzeba ją karmić zupą, pić herbatą i nie pozwolić wstać z posłania przez dwa dni.

– Chyba użyła wybielacza – wyjaśniła nam pielęgniarka. – Ale przynajmniej nie próbowała się przebić szpikulcem do lodu. Och, tak, widziałam takie przypadki. Wtedy jest naprawdę strasznie. Ale myślę, że wasza przyjaciółka dojdzie do siebie. Dobrze, że tak szybko mnie wezwaliście.

Do domu wróciłam bardzo późno. Tate już spał, więc mamie nie mogła zrobić mi głośnej awantury, a rano wymknęłam się przed świtem, żeby sprawdzić, jak się czuje Filomena. Wszystkie spały – Rose i Irene na jednym łóżku, a

Filomena na drugim.

Była blada, ale oddychała normalnie. Obudziła się i wzięła mnie za rękę.

– Pielęgniarka była tutaj niedawno – wyszeptwała. – Powiedziała, że miałam szczęście. Wyjaśniłam, że moje szczęście to ty, Irene i Rose oraz twoja siostra. Nie spotkałam wcześniej Betty. Bez jej pomocy bym nie przeżyła. Albo bez ciebie. Zwłaszcza bez ciebie, Addie.

Spędziłam z nią cały dzień. Filomena miała bóle o poranku, ale po południu poczuła się lepiej. Nawet się zdrzemnęła.

– Wiecie, że są sposoby, żeby tego uniknąć? – odezwała się wtedy Irene. – Mam na ten temat ulotki.

– Niech ci Bóg wybaczy – burknęła Rose nieprzyjaźnie.

– Zakładam, że Bóg stworzył też Margaret Sanger<sup>2</sup> Moja matka w ciągu sześciu lat wydała na świat pięcioro dzieci i umarła przy narodzinach kolejnego, które również nie przeżyło. Nie zamierzam urodzić więcej niż dwoje. I pożyczę Filomenie te ulotki, gdy tylko poczuje się lepiej. Ty też powinnaś je przeczytać, Addie.

– O mnie się nie martw. – Pokręciłam głową.

Po tym, co zobaczyłam wczoraj, i po swoich *randkach* z Haroldem Weeksem wątpiłam, żebym kiedykolwiek chciała uprawiać seks.

\* \* \*

Filomena postanowiła przeprowadzić się do Taos w Nowym Meksyku i zamieszkać tam z Bobem Morellim. Próbowałam ją namówić, żeby jednak została, ale się uparła.

– Mimi na pewno się domyśliła, co się ze mną stało, a to znaczy, że wszystkie moje siostry już wiedzą. Ulży im, gdy wyjadę.

Nie wierzyłam w to, ale powiedziała, że nie chce zostać, bo wtedy byłaby niewidzialną starą panną, ciotką, która musi ukrywać się w kuchni, gdy przychodzą goście.

– To, co się stało, zawsze wychodzi na jaw – dodała. – Lepiej będzie, gdy wyjadę.

Dla mnie wcale nie było lepiej.

Zmusiłam Filomenę, żeby do mnie pisała, ale wiadomo, jacy są artyści. Przysyłała mi pocztówki, nawet całkiem sporo, czasami nawet cztery w ciągu miesiąca. Przechowuję je w dwóch pudełkach po butach – fotografie gór i rzek, Indian na koniach i kobiet owiniętych pledami. Filomena pisała te pocztówki

jak telegramy, na przykład: „Przeprowadziłam się do małego domu” albo „Sprzedałam ceramikę. Kupiłam srebrną bransoletkę”.

Zawsze kończyła w ten sam sposób: „Tęsknię. Przyjedź w odwiedziny”.



## Możesz pocałować pannę młodą

Mój ojciec wierzył, że Celia nadal by żyła, gdyby nie poślubiła „tego *ganefa*”. Kiedy więc Betty oznajmiła, że zamierza wyjść za Hermana Levine’a, papa wyzwał go od najgorszych na wszystkie możliwe sposoby. A w jidysz jest tego naprawdę mnóstwo.

– Pogrzebał mi jedną córkę, a teraz chce następną? Ciało twojej siostry jeszcze nie ostygło.

– Minął rok – zauważyła Betty.

– Zabraniam.

Betty spuściła głowę jak szarżujący byk, co robiła tylko wtedy, gdy była naprawdę wściekła.

– Możesz mi zabraniać, ile dusza zapragnie, ale i tak poślubię Hermana w czwartek o trzeciej po południu. Chciałabym, abyś przy tym był, ale jeżeli nie przyjdiesz, to trudno.

A potem wstała, przyłożyła dłonie do brzucha i uniosła brwi.

Zachowanie mamy zaskoczyło mnie chyba bardziej niż myśl, że Betty i Levine, no wiesz, *sztupali się*... Spodziewałam się raczej, że mama nawymyśla Betty od dziwek, a potem powie do ojca: „A nie mówiłam?”, ale ona mruknęła tylko:

– Przyjdziemy.

Sama nie miałam problemów z Levine’em, pod wieloma względami był dla mnie jak brat. Jednak wiadomość o ślubie zaskoczyła mnie zupełnie; ani on, ani siostra z niczym się nie zdradzili. Co prawda Betty mi mówiła, że wychodzi na kolację z jakimś znajomym, tym czy innym, ale jak się zastanowić, od dawna o tym nie wspominała. Betty opowiedziała, że to wyszło „naturalnie”. Wpadła na Levine’a przypadkiem na ulicy i podczas pogawędki okazało się, że Jacob, młodszy syn, wciąż ma koszmary po śmierci Celi.

– Ale Herman bardziej się martwił o Myrona – dodała. – Chłopak nie radził sobie w szkole i często odsyłano go do domu za bójki. Współczułam im.

Parę razy zabrała chłopców na lody i ugotowała im kilka obiadów.

– Jedno prowadziło do drugiego i w końcu stałam się praktycznie członkiem

rodziny – zakończyła moja siostra, jakby nie widziała różnicy między ugotowaniem zupy a zajściem w ciążę.

– Ale ty chyba nie zamierzasz mnie potępiać, prawda? – zaniepokoiła się. – Dzięki Hermanowi czuję się szczęśliwa.

Kiedy zobaczyłam ją następnym razem z Levine’em, stało się jasne, że on też ją kocha.

Ślub Betty wyglądał zupełnie inaczej niż Celi. Przede wszystkim odbył się w Świątyni Izraela na Commonwealth Avenue, czyli daleko – musieliśmy pojechać tam tramwajem. Levine czekał na nas w foyer tak przestronnym, że zmieściłaby się w nim cała synagoga tate. Przyjechaliśmy trochę wcześniej, więc Levine oprowadził nas po przybytku.

Sanktuarium było ogromne. Wieńczyła je kopuła, a nad pulpitem wisiał łuk ze złotych trąb. Levine powiedział, że tak samo wyglądała Świątynia Salomona. Mame zgodziła się, że jest tutaj bardzo pięknie. Tate nic nie mówił, ale nie musiał – wystarczyło, że cmokał i prychał.

Ślub nie odbył się, Bogu dzięki, w sanktuarium. I dobrze, bo czulibyśmy się tam jak mrówki. Poszliśmy do gabinetu, który – wierz mi – też do małych nie należał. Pamiętam wielki wazon z kwiatami i książki po sam sufit.

Rabbi był młodszy od pana młodego i nie nosił ani brody, ani jarmułki. Uścisnął nam ręce i zapytał o coś ojca po hebrajsku. Niechętne spojrzenie tate zmieniło się w zaskoczone. Chyba nigdy nie należy osądzać żydowskiej książki po okładce.

Betty weszła przez boczne drzwi. Miała na sobie ciemnobeżową garsonkę i kapelusz z woalką, która zasłaniała jej tylko oczy. Wyglądała przepięknie. Myron i Jacob pojawili się w identycznych garniturach kupionych specjalnie na tę okazję. Młodszy syn Levine’a niósł obrączki.

Ceremonia okazała się krótka i w połowie po angielsku, na dodatek absolutnie nie było mowy, żeby rozbić kieliszek na perskim dywanie gabinetu, więc rabbi zakończył po prostu:

– Możesz teraz pocałować pannę młodą.

Potem sekretarz przyniósł tacę z winem i ciastem, rabbi poprosił ojca o wygłoszenie błogosławieństwa, a siedem miesięcy później urodził się Leonard Levine.

Był słodkim, miłym bobaskiem, ale prawie nie miałam okazji, żeby go chociaż potrzymać, bo moi rodzice chyba nigdy nie wypuszczali go z objęć. Był dla nich cudem. Mame rozpromieniała się na jego widok i od razu wzięła

go na ręce. Całowała malucha i udawała, że zjada mu paluszki.

– No, proszę, jakie pyszne – gruchała. – A jaki z ciebie przystojniak! Czy jest na świecie drugi taki śliczny chłopiec?

Tate także nigdy nie miał dość wnuka i przestał nawet chodzić wieczorami do synagogi, na wypadek gdyby Betty wpadła w odwiedziny. Lenny dostał imię po bracie ojca, Laibelu, a papa nazywał go „swoim kadiszem” – nie miał syna, który odmówiłby modlitwę za zmarłych po jego śmierci, a wtedy jeszcze nie było wolno tego robić kobietom.

Kadisz jednak nie miał nic wspólnego z tym, jak tate bawił się z Lennym i śmiał z każdego ziewnięcia lub kichnięcia dziecka. Stawał się przy nim zupełnie inny. Tylko wtedy słyszałam, jak śpiewał.

Ale nawet Lenny nie powstrzymał mojej matki i siostry od kłótni. Wystarczyło, żeby mame zaczęła narzekać – właściwie na cokolwiek – zawsze kończyło się na lamentach, jak to źle jest w Ameryce.

Najczęściej chodziło o jedzenie. Wszystko tutaj smakowało obrzydliwie – chleb, jajka, cukinie.

– Kapusta, którą uprawiałam, była słodka jak cukierki – mówiła mame. – W tym nędznym kraju nigdzie się takiej nie kupi.

I tak to szło, aż Betty nie mogła wytrzymać i zabierała matce Lenny’ego.

– Nie zamieniłabym żadnej kapusty na bieżącą wodę i ubikację. To ja musiałam nosić wodę w brudnych wiadrach. A pamiętasz, jak przyprowadziłaś do izby kozę, żeby nie umarła z zimna?

A potem spoglądała na ojca.

– Co myślisz, tate? Lepiej, żeby twój wnuk grzebał się w brudzie na klepisku czy dorastał w kraju, gdzie może chodzić do szkoły jak człowiek?

Ojciec uśmiechał się do Lenny’ego.

– Według tego twojego męża wasz syn może zostać w tym kraju lekarzem albo nawet profesorem. Kto wie? – Było to najmiłsze, co mówił o Levinie, ale i tak nie mógł mu odpuścić. – Nawet zepsuty zegar dwa razy dziennie pokazuje właściwy czas.

## No, wiesz – żyć

Kiedy wybuchła, nie nazywaliśmy jej pierwszą wojną światową. Początkowo wiedzieliśmy o niej tyle, co z kronik filmowych. Pokazywały angielskich żołnierzy maszerujących w równych szeregach i wybuchy, ale zaraz potem żołnierze czyścili broń albo siedzieli na szpitalnych łóżkach, a śliczne pielęgniarki przynosiły im tace z jedzeniem.

Niektórzy mieszkańcy dzielnicy martwili się o bliskich w starym kraju, ale z naszej rodziny nikt tam nie został. Jedyni krewni matki wyemigrowali do Australii i Afryki Południowej, a ojciec miał stryja, który wyjechał do Palestyny, ale od dawna nie było o nim żadnych wieści – pewnie tam umarł.

Przez trzy lata większości ludzi nie interesowała wojna. Po prostu pracowali, starali się coś odłożyć i miło spędzić czas. No, wiesz – żyć.

Ale nie mój szwagier. Levine czytał codziennie dwa dzienniki i wiedział, gdzie toczą się bitwy i co mówią politycy. Był pewien, że Ameryka wcześniej czy później przyłączy się do wojny.

– A kiedy to nastąpi, potrzeba będzie wielu koszul.

Levine wbił sobie do głowy, że dowódca floty jest Żydem, więc postanowił pojechać do Waszyngtonu i porozmawiać z nim „jak mężczyzna z mężczyzną”. Okazało się, że Josephus Daniels to chrześcijanin, a Levine’owi nie udało się dostać nawet w pobliże tego człowieka, ale i tak twierdził, że podróż była sukcesem, bo poznał „ludzi z koneksjami” w hotelu, gdzie się zatrzymał. Był tak pewny siebie, że wynajął o wiele większe lokum na West End i pożyczył pieniądze na maszyny do szycia, żeby być gotowym, gdy nadejdą wielkie zamówienia.

– *Meszugene* – mruczał mój ojciec. – Szaleństwo.

Jednak w 1917 roku, gdy flota i armia zaczęły zamawiać mundury, Levine nie wydawał się już wcale szaleńcem. Musiał utrzymywać produkcję w fabryce przez osiemnaście godzin na dobę i brakowało mu pracowników. Zwykle, kiedy kończyłam pracę w biurze, pomagałam do późna przy pakowaniu.

Wszędzie mówiło się wtedy o wojnie. Kiedy młodzieńcy z dzielnicy trafili do poboru, starzy Żydzi przerazili się i coraz częściej opowiadali, jak rosyjska

armia porywała młodych chłopców i większość z nich nigdy nie wróciła do domu. Jednak chłopcy, których znałam, wcale się nie martwili. Chcieli wykazać się patriotyzmem i zgłaszali się do wojska na ochotnika. Początkowo wyglądało to na wspaniałą przygodę, a piosenka *Over There* stała się niezwykle popularna. Zresztą wojna miała się skończyć za parę miesięcy.

Oczywiście wcale się nie skończyła. Zaczęło brakować węgla, a ceny żywności skoczyły w górę. Na ulicach przybywało żebraków, a co tydzień upadała jakaś firma. Pewnej nocy na drzwiach do Frankfurter's Delicatessen wymalowano napis „WON!” i wybito okna. Sklep został zamknięty na dobre, a co najsmutniejsze, otworzyli go polscy Żydzi, którzy wybrali taką nazwę, bo wydawało im się, że brzmi po amerykańsku.

Dziwnie się czułam, wiedząc, że mojej rodzinie powodzi się właśnie dzięki wojnie. Levine'a chyba też trochę to niepokoiło. Tylko ja wiedziałam, że ma szufladę pełną medali i pochwał za to, że kupił tyle obligacji wojennych.

Przeprowadziliśmy się. Był to pomysł Betty. Wyszukała dwa mieszkania, na parterze i na pierwszym piętrze, w dzielnicy West End. Znajdowały się dość blisko fabryki, żeby Levine zdążył wrócić na kolację z dziećmi, a Betty mogła skorzystać z paru godzin wolnego, gdy mama zajmowała się Lennym.

Wierz mi, ani trochę nie żałowałam, że opuszczam nędzną kamienicę, w której mieszkałam do tej pory. W nowym lokum była kanalizacja i elektryczność, na dodatek dostałam własny pokój z drzwiami, które mogłam za sobą zamknąć. Wcale mi nie przeszkadzało, że mam trochę dalej do świetlicy i droga na sobotnie kółko z przyjaciółkami jest dłuższa.

Wciąż przychodziłam na spotkania, ale już nie były tak radosne. Zwijałyśmy na nich bandaże i dziergałyśmy skarpety, a prelekcje dotyczyły takich spraw, jak używanie mąki kukurydzianej zamiast zbożowej albo cykorii zamiast kawy. Nie było też pieniędzy na poncz i ciasteczka, a w świetlicy panowało takie zimno, że nie zdejmowałyśmy płaszczy, ale mnie to nie przeszkadzało – przychodziłam tam ze względu na Rose, Irene i Gussie.

Pewnego wieczoru panna Chevalier powiedziała, że budynek przy Salem Street został sprzedany, więc będziemy się spotykać w bibliotece. Starła się, żeby zabrzmiało to jak dobra nowina, ale wiedziałam, że ją to załamało.

Biblioteka była zatłoczona i duszna, ale dziewczęta i ja zwijałyśmy bandaże i robiłyśmy na drutach skarpety, aby przynajmniej trochę wspomóc wysiłek wojenny, choć wiedziałyśmy, że to niewiele. Spotkania były nudne, oprócz jednego, na które panna Chevalier przyprowadziła znajomą.

Miała na imię Olive, była kierowcą ambulansu we Francji i chyba była równie stara jak panna Chevalier, ale w uniformie sprawiała wrażenie młodszej, bliższej wiekiem nam, zwłaszcza że używała takich słów jak „jasne” i „załatwione”. Zgłosiła się do angielskich oddziałów sanitarnych, gdy się dowiedziała, że pozwala się tam kobietom prowadzić karetki.

– Nauczyłam się, jak wymienić koło w okopach, a wszystkie chłopaki musiały przyznać, że jestem równie dobra jak oni.

Gdy opowiedziała nam o prowadzeniu podczas koszmarnej pogody oraz kilka anegdotek o innych kobietach kierowcach, jedna z dziewcząt podniosła rękę i zapytała, czy wciąż można się zgłosić na ochotnika.

– Zrobię wszystko, żeby usiąść za kierownicą.

– Doprawdy? – zapytała Olive z taką goryczą, że – przysięgam – temperatura w sali spadła o dwadzieścia stopni. Kobieta zmierzyła dziewczynę groźnym spojrzeniem. – Będiesz trzymać osiemnastolatka w ramionach i czekać, aż umrze? Chłopaka z dziurą w brzuchu, który narobił w spodnie i wzywa swoją matkę? Zrobiłabyś to?

A potem mówiła dalej w podobnym tonie, dopóki panna Chevalier jej nie przerwała. Jednak powstrzymała Olive dopiero wtedy, gdy dziewczyna, która zadała tamto nieszczęsne pytanie, wybiegła z płaczem.

Po tamtym wieczorze przyłapałam się, że liczę flagi ze złotą gwiazdą, które powiewają przy oknach – jedna za każdego syna utraconego podczas wojny. Gdy zobaczyłam kiedyś zdjęcie Mary Pickford sprzedającej obligacje wojenne, zaczęłam się zastanawiać, ilu z otaczających ją przystojnych żołnierzy już zginęło. A kiedy mijałam mężczyznę z pustym rękawem, z drżeniem myślałam, że mógł nosić jedną z naszych koszul, gdy w wybuchu stracił ramię.



## Jak można po takiej tragedii żyć dalej?

Dzisiaj nikomu nawet nie drgnie powieka na wieść o tym, że ktoś ze znajomych złapał grypę. Ta choroba wciąż jest niebezpieczna dla starszych ludzi, ale większość z nich zdrowieje. W 1918 roku kończyła się prawie zawsze fatalnie, szczególnie dla młodych. Więcej żołnierzy i marynarzy zmarło podczas wojny na grypę niż od ran.

Choroba postępowała szybko. Początkowo chorowała garstka marynarzy, ale pięć dni później było ich już dwustu, a po paru tygodniach umierały tysiące. Kiedy grypa wybuchła w mieście, brakowało lekarzy i pielęgniarek do opieki nad chorymi, częściowo dlatego, że lekarze też umierali. Zresztą i tak niewiele mogli zrobić. Na grypę nie było lekarstwa. Jeżeli się wyzdrowiało, po prostu miało się szczęście. Albo była to wola boska, o ile wierzyło się w Boga, który uśmierca dzieci i niemowlęta.

Grypa szerzyła się bardzo szybko. Ktoś wychodził z fabryki trochę wcześniej, bo bolała go głowa, a dwa dni później Levine widział nazwisko swojego pracownika w gazecie na liście zmarłych na grypę. Były tygodnie, gdy na takiej liście znajdowało się pięćset nazwisk.

Miasto wysyłało ciężarówki, żeby zabierały ciała, ale kierowcy bali się zbliżyć do miejsc, gdzie znajdowało się wielu chorych, więc zwłoki zostawiano na gankach, a nawet na chodnikach. Wielu zmarłych pochowano w nieoznakowanych grobach. Grypa była prawdziwą plagą i to wcale nie tak dawno temu.

Departament zdrowia zamknął kina i sale koncertowe, nakazał też wszystkim unikać tłumów. Nikt nie powinien był też chodzić na tańce, ale większość lekceważyła ostrzeżenia. W tym również moja przyjaciółka, Rose.

Betty zabrała Myrona i Jacoba ze szkoły jeszcze przed zamknięciem placówek oświatowych przez departament zdrowia. Trzymała chłopców w domu. A moja matka zawiązała na kłamce czerwony sznurek, żeby odstraszyć złe oko.

Nie pomogło. Pewnego ranka Myron dostał strasznej migreny i nie mógł podnieść się z łóżka. Levine postanowił, że się nim zajmie, po czym kazał



Betty zabrać Lenny'ego i Jacoba do rodziców piętro niżej i zostać tam z nimi. Jednak Betty zostawiła syna i pasierba pod opieką matki, po czym wróciła do Myrona.

Nie wolno nam było do niego zaglądać, ale poszłam na górę i postawiłam jedzenie w kuchni. Próbowałam podsłuchać, co się dzieje w sypialni na tyłach mieszkania. Kiedy wróciłam później, okazało się, że nikt nawet nie tknął potraw, a z łazienki dochodził chłopot wody i ciche rozmowy, gdy Levine i Betty próbowali ochłodzić Myrona w zimnej kąpieli. Nocą usłyszałam, jak Myron kaszle i jęczy, a Levine błaga go, aby wytrzymał.

Na dole Jacob szalał z niepokoju i nie przestawał pytać, gdzie jest mamusia i tatuś i co się stało Myronowi. Lenny był cichy. Miał ledwie rok, ale wiedział, że dzieje się coś niedobrego. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nawet mój ojciec, ale Lenny nie marudził, przyglądał się tylko i wodził za nami wielkimi, niebieskimi oczami.

Tate nie mógł biernie siedzieć, więc poszedł po doktora, chociaż zdawał sobie sprawę, że żadnego nie znajdzie. Nie było go tylko godzinę, a kiedy wrócił, dowiedział się, że Myron zmarł. Chłopak miał dopiero dziewięć lat.

Kilka godzin po śmierci Myrona Betty zeszła do nas. Chciała tylko zobaczyć chłopców. Jacob podbiegł, objął ją i nie chciał wypuścić z uścisku. Moja siostra podniosła go i wyszeptwała:

– Jak tam mój Jake? Jak się czuje mój mały Jake?

– Obaj zjedli porządny obiad, ale Lenny trochę marudził, więc położyłam go spać w naszym łóżku.

Betty zostawiła Jacoba i pobiegła do sypialni rodziców.

– Jest siny! – krzyknęła.

Zabrała Lenny'ego na górę. Jacob chciał iść za nią, ale złapałam go w porę i przytrzymałam, chociaż krzyczał i szlochał. Płakał tak długo, że wreszcie zasnął ze zmęczenia.

Przez prawie całą noc papa, mama i ja siedzieliśmy przy stole. Nie rozmawialiśmy ani nawet na siebie nie patrzyliśmy, nasłuchiwałam tylko odgłosów z góry. Kiedy zaniósł tam herbatę, Levine zajrzał do kuchni i powiedział:

– Lenny chyba czuje się trochę lepiej. Napił się odrobinę wody i uśmiechnął.

Zasnąłam w ubraniu. Obudziłam się przed świtem. Leżałam na posłaniu i słuchałam kroków na górze, w tę i z powrotem, z jednego końca mieszkania na drugi. Wymieniali się. Betty chodziła szybciej niż Levine, ale oboje poruszali

się po tej samej trasie – w przód i w tył, regularnie jak bicie serca. Trwało to do późnego popołudnia.

Kiedy kroki ucichły, wszyscy spojrzeliśmy w sufit. Tate wyszeptał modlitwę. Mame zarzuciła ścierkę do naczyń na głowę i zaczęła płakać. Jacob oparł mi głowę na kolanach.

Po chwili podeszłam cicho na górę do mieszkania Betty. W jej domu zawsze panował nienaganny porządek, wszystko stało na swoim miejscu. Ale gdy zawalił się naturalny ład – dzieci umierały przed rodzicami – wszystkie jej starania wydały mi się żałosne i niepotrzebne.

Zatrzymałam się w progu pokoju chłopców. Wiatr z za otwartego okna poruszył prześcieradłem okrywającym ciało Myrona. W drugiej sypialni Betty kuliła się na łóżku i patrzyła w ścianę. Levine siedział odwrócony do żony plecami i wpatrywał się w kołyskę przykrytą kocem. Potem podniósł na mnie martwe oczy. Czułam bijący od niego smutek jak powiew zimnego wiatru na policzkach.

Levine i Betty stracili dwoje dzieci w dwa dni. Jak można po takiej tragedii żyć dalej?

\* \* \*

Znalezienie karawanu i trumien wydawało się niemożliwe podczas epidemii, ale mojemu ojcu jakoś się to udało. Następnego dnia pojechaliśmy na cmentarz – ja, tate i Levine. Miasto umykało szybko za oknami samochodu, ale zwolniliśmy na rogatkach, gdzie ludzie pchali dziecinne wózki pod drzewami o żółtych i czerwonych liściach, jakby to był zwykły, ciepły październikowy dzień.

Wydawało się, że jedziemy od wielu godzin, gdy wreszcie kierowca skręcił na pylistą drogę między ugorami, a potem zatrzymał się pod młodymi drzewami, które otaczały cmentarz – najsmutniejsze, najbardziej osamotnione miejsce, jakie w życiu widziałam. Czekają na nas dwóch mężczyzn z łopatami i dwie duże sterty ziemi.

\* \* \*

Myron wyrósł na miłego dzieciaka. Betty nie szczędziła mu kar, gdy postąpił źle, ale też nigdy nie żałowała czułych uścisków. Nazywała go Mike, a Myron zwracał się do niej „Ma” i chętnie wypełniał domowe obowiązki. Dobrze sobie

radził z matematyką, przedni ząb miał trochę krzywy, ładnie śpiewał. Taki był Myron.

Przeszliśmy od karawanu do mogiły, gdzie mężczyźni opuścili do dołu trumnę o połowę mniejszą niż zwykła, a potem czekali, aż Levine weźmie łopatę i zrzuci pierwszą grudkę ziemi do dołu. Ale Levine ani drgnął. Nie mógł. Dopiero tate podszedł i przysypał grób, ale zrobił to ostrożnie – wydawało się, że na wieko pada deszcz. Potem Levine i mój ojciec odmówili kadisz.

Kierowca przyniósł następnie coś, co z daleka wyglądało jak pudło na kapelusz. Kiedy Levine to zobaczył, jęknął jak zwierzę w pułapce.

Lenny urodził się z jedwabistymi, brązowymi włoskami. Uśmiechał się do wszystkich i Betty żartowała, że syn, gdy dorośnie, na pewno zostanie politykiem. Leonard lubił groszek, a jego pierwszym wypowiedzianym słowem było „bum”. Taki był Lenny.

On i Myron wydali mi się jak postaci wycięte z czarnego papieru – niczym cienie ludzi, którymi mogliby się stać, gdyby dorośli.

Tate próbował wcisnąć Levine’owi łopatę w ręce, żeby pochował dziecko. Nie mogłam na to patrzeć, więc odeszłam do grobu Celi.

W kieszeni miałam dla niej kamień. Znalazłam go na plaży w Rockport i od tamtej pory nosiłam wszędzie. Był biały i gładki, niemal okrągły jak perła. Położyłam go na mogile i powiedziałam:

– Przepraszam.

Tate podszedł i położył zwykły brązowy kamień obok mojego. Przesunął palcem po imieniu Celi na nagrobku.

– Twoja matka powiedziała, że Celia nie powinna była płynąć ze mną do Ameryki. Uważała, że córka jest zbyt delikatna. Ale mamie wkrótce miała urodzić kolejne dziecko, a jej matka zachorowała. Pomyślałem, że łatwiej będzie, jeżeli zabiorę obie córki. – Otarł łzy z oczu. – Nadal by żyła, gdybym ją tam zostawił.

Potem podszedł do nas Levine. Tate uściskał go i ruszył do samochodu.

Levine nie golił się ani nie czesał przez cztery dni, a twarz napuchła mu od płaczu. Położył trzeci kamień na mogile Celi i wyszeptał:

– Żyłaby, gdybym jej nie poślubił.

– To nie była twoja wina – zapewniłam.

Podobnie jak nie była to wina mojego ojca. I po raz pierwszy od śmierci Celi pomyślałam, że może to nie była także moja wina.

1919-1920

## W stosunku do mężczyzn wciąż byłam bardzo nieśmiała

Nikt nie wspominał o epidemii, gdy wreszcie się skończyła, jednak wszyscy nosili w sercach rany, choć zachowywali się, jakby nikt nie umarł. Sama miałam wrażenie, że stąkam po cienkim lodzie, który pęknie, jeżeli ktoś mnie zapyta o rodzinę.

Ludzie powtarzali „Życie toczy się dalej”. Czasami brzmiało to jak pobożne życzenie, a czasami jak rozkaz. Chciało mi się krzyknąć: „Życie toczy się dalej? Ale przecież nie dla wszystkich”.

Kiedy jednak Betty oznajmiła, że znowu jest w ciąży, „życie toczy się dalej” stało się faktem i zaczęłam z nadzieją wyczekiwać tego nowego członka rodziny. Znowu urodził się chłopiec, Eddy, błękitnooki i jasnowłosy. Mogłabym przysiąc, że śmiał się od przyjścia na świat, i nareszcie zrozumiałam, dlaczego ludzie tak głupiej przy niemowlętach.

I chyba Eddy też mnie polubił od pierwszego wejrzenia, bo tylko ja umiałam go uspokoić, gdy marudził. Betty wymyśliła nawet dla mnie przezwisko: „ratunkowa ciocia Addie”. Moja matka była uradowana z narodzin kolejnego dziecka, ale ojciec prawie się do niego nie zbliżał. Nigdy nie był już tym samym człowiekiem po śmierci Lenny’ego.

Coraz więcej czasu spędzałam u Betty. Nie mam pojęcia, gdzie się nauczyła, jak być tak dobrą matką. Bardzo surowo pilnowała manier chłopców i ich ocen w szkole, ale umiała też usiąść z nimi na podłodze, żeby się pobawić – mogli się wtedy na nią wdrapywać i przewracać. A Levine uważał ją za ósmy cud świata.

Wreszcie zdołałam wybaczyć mojej najstarszej siostrze, że jest szczęśliwa i wie, jak żyć, które dla Celi skończyło się nieszczęściem. Dawno już przestałam nienawidzić Levine’a, ale z nieznanых powodów nie potrafiłam zwracać się do niego po imieniu.

Kiedy wojna się skończyła i przestały przychodzić duże zamówienia, Levine musiał zwolnić połowę pracowników. Każdemu wręczył ukradkiem czek na dwadzieścia dolarów, co było wtedy dość pokaźną sumą, ale czuł się źle, że tylu ludzi musi odprawić. Zaczął nawet przez to chudnąć. Betty nie zamierzała

na to pozwolić. Kazała mu rzucić ten szmaciany interes i zająć się nieruchomościami.

Levine postanowił spróbować, ale pierwszy budynek, który kupił, wyglądał jak ruina i nawet mój szwagier zaczął uważać, że popełnił błąd. Stary, walący się dom był jednak tani i znajdował się blisko centrum. Lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja, tak? Levine sprzedał ten dom parę miesięcy później trzy razy drożej, niż zapłacił.

Potem powtarzał ludziom, że „zarobił krocie i nikogo nie skrzywdził”. A trochę później sprzedał szwalnię i wynajął pokój na biuro w centrum.

W tym interesie było nas tylko dwoje, Levine i ja, na dodatek szwagier prawie cały czas przebywał poza biurem – chodził po mieście, rozmawiał z ludźmi, poznawał różne dzielnice i zastanawiał się, gdzie kupić nieruchomość, którą potem mógłby sprzedać po wyższej cenie. Moim zadaniem było odbieranie telefonu i czytanie w gazetach artykułów o pożarach lub eksmisjach, bo to mogło oznaczać, że jakiś budynek jest na sprzedaż. Oczywiście przeglądałam również nekrologi, ale tak naprawdę czytałam po prostu wszystko – nawet strony sportowe, bo przecież jakiś zawodnik też mógł sprzedawać swój dom.

Dzięki czytaniu dzienników stałam się ekspertem od bostońskiej polityki, śmietanki towarzyskiej oraz drużyny Red Sox. Potrafiłam opowiadać o problemach z pićciem, jakie miał Fatty Arbuckle, wiesz, ten sławny komik kina niemego, wiedziałam wszystko o Lidze Narodów i walce z prohibicją. Nabrałam nawyku, żeby czytać gazety, nawet gdy nie byłam w pracy, bo czułam się wtedy tak, jakbym żyła w większym świecie. Nigdy nie przestałam, nawet podczas Wielkiego Kryzysu, chociaż wtedy po prostu czytałam je dzień później.

Pewnego razu natrafiłam na artykuł o trzech braciach procesujących się o rodzinny skład rybny w Roxbury, w miejscu, dokąd zaczęło się przeprowadzać coraz więcej Żydów. Na ile mogłam ocenić, żaden z braci nie zamierzał przejąć interesu, więc powiedziałam Levine’owi, żeby sprawdził, czy może chcieliby sprzedać budynek i podzielić się pieniędzmi. Szwagier skorzystał z mojej rady, kupił, a potem sprzedał skład z dużym zyskiem. Dał mi po tym sporą podwyżkę i „awans” na starszą sekretarkę.

Pojawiałam się na spotkaniach w soboty, ale dziewczęta, które tam poznałam, wychodziły za mąż i rodziły dzieci. Nawet te młodsze „padały jak muchy” – jak to określiła Gussie.

Gussie już wtedy udało się zrobić karierę. Po paru latach w Simmons poszła na studia prawnicze w Portia School of Law. Była to uczelnia tylko dla kobiet. Gussie świetnie zdała egzaminy, ale kiedy nikt nie chciał zatrudnić kobiety prawnika, założyła własną kancelarię. Jej pierwszą klientką została kobieta, która chciała otworzyć sklep z kapeluszami, ale nie znała się ani na pożyczkach, ani na bankowości. Wkrótce Gussie „wyspecjalizowała się” w doradztwie prawnym dla kobiet, które chciały otworzyć własne firmy, i przez długi czas nie musiała się martwić o zakupy ciastek, sukienek czy kwiatów.

Irene, Gussie i ja lubiliśmy naszą pracę i nie rozmawialiśmy wyłącznie o mężczyznach, więc Gussie zaczęła nas nazywać Trzema Muszkieterkami. Jednak ani dla mnie, ani dla Irene praca nie była tak ważna jak dla Gussie. Gussie była prawnikiem do szpiku kości.

Irene pracowała jako kierowniczką w firmie telefonicznej i nadzorowała trzydzieści dziewcząt, ale wciąż była to dla niej tylko praca, której wcale nie chciała wykonywać do końca życia. A chociaż przy Gussie Irene nie wspominała o mężczyznach, jednak umawiała się na randki. Odkąd obcięła włosy na modnego wówczas boba – tylko ja wtedy jeszcze tego nie zrobiłam – zielone oczy Irene wydawały się jeszcze większe i piękniejsze. Jednak gdy tylko jakiś mężczyzna, z którym się umawiała, zaczynał jej mówić, co wypada, a co nie, znajomość się kończyła. Jeśli chodzi o mnie, wolałabym nie pracować u Levine’a, ale jak mogłam narzekać, skoro płacono mi głównie za czytanie?

W stosunku do mężczyzn wciąż byłam bardzo nieśmiała – z powodu tego *szmoka*, kadeta straży przybrzeżnej, jednak nadal miałam romantyczne marzenia, jak każda dwudziestolatka, która ogląda filmy. No i przecież wiedziałam już wtedy, że nie wszystkie małżeństwa są tak nieudane jak moich rodziców! Betty i Levine byli szczęśliwi, lubiłam też męża Helen, Charliego, który świata nie widział poza ich małą córeczką Rosie. Nazwali tak dziecko na cześć naszej przyjaciółki Rose, która zmarła na gripę. I wiesz, co było najdziwniejsze? Dziewczynka urodziła się z rudymi włosami. Ani w rodzinie Helen, ani u Charliego nigdy nie było rudzielców, na dodatek oboje wybrali imię dla dziecka przed narodzinami. No i Rosie urodziła się ruda.

Od czasu do czasu Betty próbowała mnie wysłać na randkę.

– Nie ma nic złego w książkach, ale czasami warto wyjść ze znajomym i zjeść coś dobrego, prawda?

Raz popełniłam błąd i odpowiedziałam:

– Przypuszczam, że masz kogoś na myśli?



Ale Betty była przygotowana i dwa dni później jadłam stek w towarzystwie mężczyzny, który sprzedawał obuwie dziecięce. Następnego ranka, ledwie się obudziłam, Betty przysłała do mojego pokoju i zaczęła wypytywać o *rendez-vous*.

Zapewniłam, że było to bardzo edukacyjne spotkanie, podczas którego dowiedziałam się, że Boston to centrum biznesu obuwia dziecięcego i można tu sprzedać więcej par butów dla dziewczynek, ale chłopięce są droższe, a szewcy z Massachusetts wypadną z rynku, jeżeli nie przestaną podnosić cen.

– No dobrze, rozumiem, że spotkanie nie zważyło cię z nóg, ale co z tego? Wyszłaś z domu, jedzenie było smaczne, czyli nie zmarnowałaś tak całkiem czasu. – Moja siostra się skrzywiła.

Dodała, że będę musiała pocałować jeszcze wiele żab, zanim znajdę księcia, a potem umówiła mnie z nauczycielem ze szkoły średniej. Wydawał mi się interesujący, ale okazało się, że to też straszny *nudnik*. Niemal na początku naszego spotkania powiedział, że odsunięto go od awansu na dyrektora „tylko z jednego powodu – bo jest Żydem”. W trakcie posiłku krzychał na kelnera, bo ten zapomniał przynieść keczup i podał kawę bez mleka. Pieklił się też, że tak długo trwało wystawianie rachunku. Powiedziałam Betty, że pewnie ten typek nie dostał awansu, bo to zwyczajny dupek.

Następnym mężczyzną, z którym umówiła mnie Betty, był przystojny student stomatologii. Zabrał mnie do ślicznej restauracji z białymi obrusami, ale zanim skończyłam jeść pyszną pieczeń jagnięcą, wiedziałam, że znalazłam się tam tylko z powodu przysługi wyświadczonej jednemu z biznesowych znajomych Levine’a.

Dentysta przynajmniej okazał się szczery. Przyznał, że szuka żony z koneksjami.

– Wiem, że to wydaje się okropne, ale to jedyny sposób, żeby udało mi się otworzyć własną praktykę. I nie chodzi mi tylko o pieniądze.

– Domyślam się, że potrzebna ci też ładna buzia.

W odwecie zamówiłam najdroższy deser, jaki znajdował się w menu, taki z wiśniami, które podpalano. Znasz to powiedzenie, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, prawda? Wierz mi, równie dobrze smakuje na gorąco.

Betty była już gotowa umówić mnie z miłym, cichym antykwariuszem, ale powiedziałam stanowczo, że nie chcę już spotkać ani jednej żaby.

– To co zamierzasz? – zdziwiła się moja siostra. – Siedzieć w domu i słuchać, jak matka nazywa cię starą panną i powtarza „a nie mówiłam” albo że

„jesteś za mądra i wcale ci to nie służy”?

Betty namawiała mnie na wychodzenie z domu, dopóki nie wytrzymałam i nie zapytałam:

– A jeśli wrócę do szkoły wieczorowej, dasz mi wreszcie spokój?

Siostra przyznała, że to dobry pomysł, ale i tak zapowiedziała, że będzie mnie nękać, dopóki się nie zapiszę i nie zacznę chodzić na zajęcia. Denerwowałam się, że nie traktuje mnie jak dorosłej kobiety, lecz jak jeszcze jedno ze swoich dzieci. Ale to też wyszło mi na dobre.

## Uznałam, że jest słodki, i za to najbardziej go polubiłam

Wpadłam na Erniego Goldmana w tramwaju, ale nie rozpoznałabym go, gdyby się nie przedstawił. Wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat, odkąd widziałam go ostatnim razem, a przecież od zajęć o Szekspirze nie minęło aż tyle czasu. Ernie był blady i chudy. Pomyślałam, że choruje, ale potem dostrzegłam laskę, co znaczyło, że najpewniej został ranny na wojnie za granicą.

Zapytałam, co robi, a Ernie odpowiedział, że pracuje w sklepie metalowym swojego ojca. Kiedy wyznałam, że właśnie jadę do Simmonsa na lekcje, uśmiechnął się lekko.

– Tak myślałam, że pójdziesz do college’u. Zawsze zadawałaś najlepsze pytania.

Przyznałam, że to najmilszy komplement, jaki słyszałam, a wtedy bruzdy wokół jego ust się wygładziły i cała twarz rozpromieniła się w uśmiechu, który sięgnął oczu. Gdy osoba nieśmiała się uśmiecha, to jakby wschodziło słońce.

Tramwaj dojechał na mój przystanek i pożegnaliśmy się szybko. Szczerze mówiąc, od razu zapomniałam o tym spotkaniu. Jednak następnego ranka w biurze czekał na mnie bukiet róż oraz bilecik: „Mogę zaprosić Cię na kolację w sobotę? Ernie Goldman”.

Pięć minut później zadzwoniła Betty.

– Herman mówi, że dostałaś róże od jakiegoś Erniego Goldmana. Kto to jest? Znam go?

Ernie poprosił, żebym wybrała restaurację. Betty podsunęła Marliave, bo podobno było tam miło, ale kiedy tam weszliśmy, zamarłam – salę rozświetlały świece, a przy stolikach siedziały trzymające się za ręce i szepczące pary. Był tam nawet skrzypek, który chodził między stolikami i grał „szmalcowne” melodie. Bałam się, co pomyśli o mnie Ernie – pewnie uzna, że jestem natrętna, ale on wcale tak tego nie odebrał. Odsunął mi krzesło i powiedział, że podoba mu się panująca tutaj cisza.

Wiedziałam, że Ernie jest nieśmiały, więc starałam się zachęcić go do mówienia, ale zawsze udawało mu się wykręcić od odpowiedzi, więc właściwie

cały czas to ja mówiłam, a on przyglądał mi się, jakby nie chciał uronić ani słowa. Bardzo mi to pochlebiało, a kiedy skłoniłam go do uśmiechu, poczułam się, jakbym wygrała los na loterii. Pod koniec wieczoru uznałam, że jest słodki, i za to najbardziej go polubiłam.

Od tamtej pory widywaliśmy się raz w tygodniu, a kiedy się dowiedział, że w soboty zwykle chodzę na kółko towarzyskie z przyjaciółkami, zapytał, czy może chcę przenieść nasze spotkania na niedzielę. Okazał się troskliwy, zupełnie niepodobny do zarozumiałców, z którymi umawiała mnie siostra, i na dodatek całkowicie się różnił od wiesz kogo.

Ernie zachowywał się uprzejmie, nawet trochę sztywno, ale nie miałam nic przeciwko temu. Przypuszczałam, że ma to coś wspólnego z wojną, na której został ranny. Kiedy jednak zapytałam, gdzie walczył, pokręcił głową.

– Lekarze powiedzieli, że powinienem zostawić to za sobą.

Nie zapytałam po raz drugi.

Kiedy patrzę wstecz, budzi się we mnie złość, że nikt nie pomógł temu biednemu człowiekowi. Ernie miał zapewne PTSD, syndrom stresu pourazowego – wtedy nazywano to nerwicą wojenną – a lekarze kazali mu zdusić w sobie wspomnienia i nigdy do nich nie wracać. Wtedy nie wiedzieli, co robią, ale było to równie skuteczne jak leczenie kiły lizakami.

Po kilku randkach wreszcie zdobyłam się na odwagę i obcięłam włosy. Fryzjer powiedział, że mam szczęście, bo moje włosy są grube i tak faliste, że wyglądają jak ułożone w loki. Oczywiście tak naprawdę wolałabym mieć proste włosy i zakręcać sobie tylko pasma po obu stronach, ale to wymagałoby użycia brylantyny albo mnóstwa innych specyfików. Chyba żadna dziewczyna nie jest zadowolona ze swoich włosów, co?

W nowej fryzurze wyglądałam jednak naprawdę dobrze, o ile mogę się pochwalić. Po drodze do domu nieznajomi oglądali się za mną na ulicy i pytali, czy jestem wolna.

Tylko Ernie nie zauważył, że obcięłam włosy. Bardzo mnie to uraziło, ale Betty wzruszyła ramionami i kazała mi się nie przejmować.

– Typowy mężczyzna.

Zacząłam się jednak zastanawiać nad nami. Nie chodziło o to, żeby Ernie mnie po prostu przeleciał, ale po trzech miesiącach nawet mnie nie pocałował w policzek. Kiedyś w kinie położył rękę na oparciu fotela, więc przykryłam ją swoją dłonią. Ernie nie odsunął się, ale też nie wziął mnie za rękę. Poczułam się głupio.

A potem poszliśmy do muzeum sztuki. Dostałam tego dnia dwie pocztówki od Filomeny, więc powiedziałam Erniemu, że wolałabym pooglądać malarstwo niż film. Zgodził się, jak na wszystko, co proponowałam, ale kiedy wysiedliśmy z tramwaju, dostrzegłam, że kuleje bardziej niż zwykle. Zapytałam, czy chce usiąść i odpocząć, a wtedy się obruszył – ale tak jak te żółwie, które potrafią ukąsić.

– Nie traktuj mnie w taki sposób.

Poprowadziłam go do kilku obrazów, które pokazała mi kiedyś Filomena, ale Ernie nie wydawał się zainteresowany. Po niedługim czasie powiedziałam, że powinniśmy już iść.

Byliśmy w drodze do wyjścia, kiedy zatrzymał się i popatrzył na wielki obraz przedstawiający młodzieńca unoszonego przez fale. Tuż obok wynurzał się rekin z otwartą paszczą, jakby zaraz miał pożreć nieszczęśnika, a kilku mężczyzn w łodzi próbowało go ratować, ale wyglądało na to, że nie zdążą. Młodzieniec miał szarą twarz i szkliste oczy. Obraz był makabryczny.

Zerknęłam tylko, ale Ernie nie mógł oderwać oczu od tego malowidła.

– Ukazuje prawdziwe zdarzenie – wyjaśnił. – Widzisz krew w wodzie? Widzisz, że nie ma stopy?

– Co za okropna śmierć.

– Ale ten chłopak nie umarł. – Ernie pokuśtykał przez galerię do ławki ustawionej przed obrazem. Usiadłam obok niego. Wciąż patrzył w obraz. – Właśnie tutaj zabrała mnie pielęgniarka, gdy wstałem wreszcie z wózka inwalidzkiego. Powiedziała, że skoro Watson mógł zostać burmistrzem Londynu, chociaż stracił nogę, to nie ma powodu, żebym ja też się nie podniósł i nie wyszedł ze szpitala.

– I wyszedłeś – przyznałam.

Ernie oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie pod brodą. Siedział tak bardzo długo. Kiedy nawet nie drgnął, gdy powiedziałam, że powinniśmy już iść, podszedł do nas strażnik, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ernie nie odezwał się potem przez cały dzień.

Tamtego wieczoru postanowiłam z nim zerwać. Miałam poczucie winy – jakbym porzucała szczeniaka, którego wcześniej przygarnęłam. Uważałam nawet, że to trochę niepatriotyczne rzucać weterana wojennego. Ernie jednak robił się coraz bardziej cichy i ponury, a do tego dochodził element fizyczności czy raczej jej brak.

Następnego ranka zadzwonił do mnie, gdy byłam w pracy. Mówił, że bardzo

podobała mu się wycieczka do muzeum, jakby nic się nie stało. Zaprosił mnie do kina w niedzielę, ale powiedziałam, że nie mogę, bo idę z Betty i jej rodziną na plażę. Ernie wyznał, że nie lubi chodzić na wybrzeże, więc sądziłam, że mam go z głowy.

Jednak później tego samego dnia dostałam bukietik stokrotek i liścik: „Może uda Ci się nauczyć mnie, jak polubić plażę”. To było takie słodkie, że pomyślałam: „No dobrze, jeszcze jedna szansa”. Ale już przed weekendem modliłam się, żeby w niedzielę padało, bo wtedy nie musiałabym spotkać się z Erniem.

Nic z tego. Niedziela była słoneczna i upalna, a Ernie czekał na mnie ze stokrotką w dłoni.

– Wyglądasz ślicznie – powiedział i wiedziałam, że bardzo się stara. – I masz ładną fryzurę.

W samochodzie Levine’a nie starczyłoby dla nas miejsca, zresztą i tak wolałam pojechać tramwajem. Mnóstwo ludzi wybierało się na plażę, więc panował nastrój zabawy jak na przyjęciu. W przejściu stały kosze piknikowe, dzieci biegały po wagonie, a dorośli, choć się nie znali, dyskutowali, gdzie można kupić najlepsze lody. Sądziłam, że jest miło, ale Ernie zsunął kapelusz niżej na czoło, żeby się od tego odciąć.

Zapewniłam go, że będzie lepiej, gdy już dotrzemy na miejsce, ale bardzo się myliłam. Na promenadzie zebrały się tłumy jak na rynku w Boże Narodzenie, z tą tylko różnicą, że nad głowami ryczała nam kolejka z wesołego miasteczka. Na plaży było jeszcze gorzej – musieliśmy omijać przeszkody z rozłożonych koców i kręcących się wszędzie ludzi. Piasek nie ułatwiał Erniemu chodzenia, laska również.

Kiedy nareszcie znaleźliśmy Betty i Levine’a, od razu podbiegł do nas z piskiem Eddy i wyciągnął do mnie rączki, żebym go podniosła. A Jake podskakiwał i jęczał:

– Ciociu Addie, ciociu Addie, powiedz tacie, żeby pozwolił mi iść na strzelnicę. Wygram zabawkę dla Eddy’ego. Powiedz, że jestem już duży i mogę iść sam!

– Zabierz go na strzelnicę, Herman – powiedziała Betty. – Mam już towarzystwo, więc nie musisz się o mnie martwić.

Była w zaawansowanej ciąży i próbowała się ochłodzić dużym słomianym wachlarzem.

– Przez ciążę gorzej znoszę upały, ale przynajmniej nie puchną mi kostki,



jak wtedy, gdy nosiłam poprzednie dzieci. Zdaniem Hermana to dlatego, że tym razem urodzi się dziewczynka. Bardzo chce mieć córkę. – Betty poklepała się po brzuchu. – Ale ten malec wierci się jak moi synowie. Zresztą, nieważne, co się urodzi, to moje ostatnie dziecko.

Widziałam, że Ernie zatchnął się z oburzenia, gdy słuchał, jak moja siostra mówi ze swobodą o swoim ciele. Nie wiedział, gdzie podziąć oczy, i bardzo się spocił. Zapytałam Betty, czy możemy ją na parę minut zostawić, bo chcemy podejść bliżej wody.

– Może tam choć trochę wieje.

Przy samym brzegu nie było wcale chłodniej niż w głębi plaży. Znaleźliśmy się blisko grupki chłopców, którzy przygotowywali się do wystrzelenia fajerwerków. Pewnie zostały im z Czwartego Lipca. Trzaski zdenerwowały Erniego, więc ruszyliśmy z powrotem. I właśnie wtedy nad naszymi głowami wybuchła pierwsza rakietka. Ernie podskoczył i próbował iść szybciej.

Kolejny huk sztucznych ogni był tak głośny, że poczułam go w piersi, a dzieci wokół wybuchły płaczem. Ernie padł i wcisnął twarz w piasek, osłaniając głowę rękami. Przykucnęłam przy nim i zapewniłam, że to tylko dzieci i fajerwerki, wtedy jednak rozległa się długa seria eksplozji odbijająca się echem po plaży.

Ernie zerwał się i zaczął biec, niezdarnie powłócząc okaleczoną nogą. Uciekał na oślep, z opuszczoną głową i rękoma przyciśniętymi do uszu. Nawet nie zauważył, że przewrócił małego chłopca, a jego ojciec rzucił się w pościg. Mężczyzna był krępy i umięśniony, bez trudu dogonił nieszczęśnika w butach pełnych piasku. Pchnął Erniego, a ten zwinął się w kłębek ze strasznym, zdławionym jękiem, jaki wydają mężczyźni, gdy płaczą.

Nieznajomy stanął nad Erniem, ale zaraz ukląkł i zaczął go klepać po plecach.

– Już dobrze, żołnierzu – powtarzał uspokajająco. – Wiem, też walczyłem, ale teraz już wszystko dobrze. Wróciłeś do domu.

Zauważył mnie, gdy podeszłam z kapeluszem Erniego i laską.

– Jest pani żoną? – zapytał.

– Przyjaciółką rodziny – odpowiedziałam szybko, bardzo zawstydzona, bo nie chciałam uchodzić za żonę nieszczęsnego wariata. – Co mam robić?

– Musimy go stąd zabrać.

Mężczyzna ujął Erniego pod pachy i zaczął wlec na promenadę.

Zaraz potem zbliżył się do nas starszy pan z pustym rękawem i powiedział:



– Przy karuzeli stoi samochód policyjny.

Zaproponowałam, że sprowadzę funkcjonariuszy, a potem pobiegłam przez ulicę ile sił w nogach. Kiedy policjanci dowiedzieli się, że Ernie jest weteranem, włączyli syrenę. Byli dla niego bardzo mili, gdy pomagali mu wsiąść na tylne siedzenie – pewnie też walczyli na wojnie.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Erniego. Rodzice wysłali go do sanatorium w Kolorado. Słyszałam, że sprzedali wszystko, co mieli, i przeprowadzili się tam, żeby być blisko syna.

– Mam nadzieję, że nie przeżywasz ciężko tego rozstania. Nigdy nie uważałam, że on będzie dla ciebie odpowiedni.

– Powinnam była już dawno z nim zerwać – przyznałam. – Umawiałam się z Erniem, bo nie miałam nic lepszego do roboty. Boże, to zabrzmiało okropnie.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa. On też się w tobie nie zakochał.

Nie sprawiło to jednak, że poczułam się lepiej. Minęło dużo czasu, zanim znowu zaczęłam myśleć o umawianiu się na randki. Najpierw Harold, potem Ernie. Było jasne, że nie mam szczęścia do mężczyzn.

1922-1924

## Gdybym nie była tak zajęta, pewnie zaczęłabym się nad sobą użalać

Levine wszedł w spółkę z Morrisem Silvermanem, wielką szycią na rynku nieruchomości w Bostonie, a poza tym bardzo miłym człowiekiem. Wszyscy lubili Mo Silvermana. Pojawił się jednak problem, ponieważ Mo miał już w biurze trzy dziewczyny i nie było dość pracy dla czwartej sekretarki. Betty chciała, żeby zwolnił jedną ze swoich pracownic.

– Na pewno lepiej piszesz na maszynie.

Tyle że dla mnie to nie był problem. Od dawna chciałam zmienić pracę. Nic z tym nie robiłam, ponieważ nikt nie płaciłby mi tak dobrze jak Levine, na dodatek w rodzinie wybuchłaby z tego powodu ogromna awantura.

Dlatego uznałam, że dobrze się składa. Gussie zawsze mi powtarzała, że wystarczy słowo, a znajdzie mi pracę w sądzie albo u jednej ze swoich klientek prowadzących własne firmy. A panna Chevalier pracowała w Bostońskiej Bibliotece Publicznej, więc mogłam poprosić, żeby tam mnie zarekomendowała. Dlatego kiedy Silverman poprosił o rozmowę na temat „sytuacji”, byłam gotowa mu powiedzieć, że nie mam żalu.

Jednak Mo wcale nie chciał pozwolić mi odejść. Zapytał, czy mogę poczekać parę miesięcy. Jedna z jego dziewczyn wychodziła za mąż i zamierzała wyjechać we wrześniu, a Mo nie chciał jej zwalniać wcześniej, ponieważ sama płaciła za wesele.

– Jest sierotą – wyjaśnił, a potem zaproponował mi drobną pensję na boku, żebym mogła dotrwać do jesieni.

To było *mensz*, nawet jeżeli Silverman tak naprawdę zepsuł mi plan ucieczki.

Betty uznała, że idealnie się składa. Przecież mogłabym spędzić lato w domu z nią i chłopcami.

– Przyda ci się praktyka, gdy wreszcie doczekasz się własnych dzieci.

Potrzebowała pomocy przy bliźniakach, którzy mieli wtedy po dwa lata. Zdaje się, że to twoi kuzyni w drugiej linii, Richie i Carl. Eddy też jeszcze był dzieciakiem, a Jake kończył dziesięć lat. Betty chyba właśnie jego kochała najbardziej i założę się, że nikt w sąsiedztwie nawet nie wiedział, że to nie jej

rodzony syn.

Jednak trzy miesiące z siostrą i dziećmi – oraz w towarzystwie matki – doprowadziłyby mnie do załamania nerwowego. Mame nigdy nie odpuszczała, jej zdaniem czytałam za dużo książek, miałam zbyt wielu znajomych, ubierałam się niestosownie, chodziłam do kina, co było z mojej strony samolubne i rozrzutne, na dodatek byłam niegodna, ponieważ nie odpowiadałam jej w jidysz jak Betty. Mame nie nazywała już mojej siostry „dziwką”, choć za plecami mamrotała o niej „karierowiczka” i „Betty, która uważa, że jest lepsza niż ty czy ja”.

Kiedyś próbowałam załagodzić napięcie między nami i zapytałam matkę w jidysz, czy potrzebuje czegoś ze sklepu. W odpowiedzi zaczęła wyśmiewać moją wymowę. Po Betty tego rodzaju sytuacje sływały jak po kacze, ale u mnie wywoływały przyspieszone bicie serca, a nawet nie dawały mi spać, jeżeli zdarzyły się wieczorem.

Nie mogłam nic zrobić, żeby zadowolić matkę. Chociaż pokrywałam większość opłat, nie miało to żadnego znaczenia.

Kiedy opowiedziałam Gussie, że mogę utknąć w domu i przez całe lato opiekować się siostrzeńcami, od razu znalazła rozwiązanie.

– Możesz spędzić lato w Rockport.

Myślałam, że żartuje. Nie byłam w Rockport od tamtego lata, gdy Filomena zakochała się w swoim rzeźbiarzu. Okazało się, że Gussie nie tylko jeździła tam co roku, ale znała połowę pań w zarządzie pensjonatu. I właśnie dzięki temu wiedziała, że dziewczyna zatrudniona do ścielenia łóżek i sprzątnięcia korytarzy zrezygnowała w ostatniej chwili.

– Praca nie jest jakaś wspaniała, płaca marna, ale pewnie lepsze to niż siedzenie w domu i zmienianie pieluch. A do czasu, gdy wrócisz, znajdę ci bardziej interesującą posadę.

Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe – pokój z wyżywieniem, mieszkanie latem z dala od domu i to w najpiękniejszym miejscu, jakie znałam? Gussie zatelefonowała i dostałam pracę.

Powiedziałam rodzicom, że znalazłam zatrudnienie jako asystentka kierownika pensjonatu w Rockport, co w pewnym sensie było prawdą i brzmiało lepiej niż „sprzątaczką”. Ojciec nie miał zdania, ale matka oczywiście uznała, że to straszne. Dlaczego wyjeżdżam, przecież siostra mnie potrzebuje? Kto się mną zajmie? Nazwała mnie nawet dwoma słowami z jidysz oznaczającymi „włóczęgę”, których wcześniej nigdy nie słyszałam.

Betty natomiast kazała mi jechać.

– Raz się jest młodym. Nie przejmuj się tym, co powiedziałam. Nie potrzebujesz praktyki. Moje dzieci już kochają cię bezwarunkowo. – Ale ponieważ to była Betty, nie powstrzymała się od dodatkowych uwag. – Oczywiście chciałyby mieć wreszcie kuzynów.

Zacząłam wykreślać dni w kalendarzu. Walizkę przepakowałam chyba ze sto razy. A kiedy kupiłam bilet na pociąg, czułam się, jakbym wyruszała w podróż dookoła świata.

\* \* \*

Kierowniczką pensjonatu w Rockport tego lata była panna Gloria Lettis. Niemłoda, o małych oczkach i największym biuście, jaki w życiu widziałam. Była także bardzo pewna siebie i zadzierała nosa. Zanim zdążyłam postawić walizkę, rozkazała, abym poszła za nią. Pokazała mi schowek z wiadrami i mopami – jedno tylko do sprzątania łazienek, inne do korytarzy i schodów. Wciąż z walizką musiałam zobaczyć bieliźniarkę, w której miałam zachować określony porządek układania pościeli. Zaraz potem panna Lettis pokazała mi też kubły z tyłu budynku – każdego ranka miałam wyrzucać tam śmieci. Nigdy nie widziałam aneksu, jednopiętrowego domu za głównym budynkiem. Przypominał długą stodołę i znajdowały się tam pokoje z jeszcze niepomalowanymi ścianami dla dwudziestu lub nawet trzydziestu dziewcząt. Dopiero wtedy zaczęłam sobie uświadamiać, jak wiele czeka mnie pracy.

W kuchni panna Lettis przekazała mnie pod opiekę pani Morse, która wcale się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem i westchnęła:

– Silna to ty nie jesteś, co? Mam tylko nadzieję, że nie uciekniesz po tygodniu jak poprzednia dziewczyna.

Obiecałam, że zostanę na całe lato, ale widać było, że pani Morse mi nie uwierzyła. Zaprowadziła mnie do „pokoju”, który okazał się dawną spiżarnią. Zmieściły się tutaj tylko wąskie posłanie, stołek i parę wieszaków na ubrania. Na dodatek pomieszczenie znajdowało się tuż przy kuchni, więc gdy piekarnik był włączony, lepiej, żeby mnie tam nie było, bo też bym się upiekła.

Po tygodniu uznałam, że lepiej bym wyszła na siedzeniu z czterema chłopcami niż sześćdziesięcioma dziewczynami, które wszędzie rozrzucały swoje kolorowe czasopisma i gubiły pończochy lub chusteczki. Nie mogłam pojąć, jak można tak upaprać łazienki albo nanosić worki piachu... Nie

przesadzam, naprawdę. Zamiatanie nigdy się nie kończyło. Gdybym nie była tak zajęta, pewnie zaczęłabym się nad sobą uzalać.

Jednak dopiero w sobotę, po zakończeniu turnusu, zrozumiałam, dlaczego poprzednia sprzątaczką uciekła. Gdy tylko dziewczęta zniosły swoje walizki i zaczęły opuszczać pensjonat, ruszyłam do zmieniania pościeli, ślania łóżek, zamiatania i zmywania podłóg, a potem wynoszenia wiader śmieci. Kolejne kosze ze stertami brudnych prześcieradeł i poszew zostawiałam w pralni, w której pracowała wysoka Afroamerykanka z białymi włosami. Podczas gdy ja zbierałam pościel, ona gotowała już wielki kocioł wody. Ledwie zdążyłam skończyć sprzątanie przed przyjazdem następnego turnusu. Byłam tak wykończona, że przespałam kolację.

Pani Morse poczuła się urażona, że ktoś ośmielił się nie zjeść przygotowanego przez nią jedzenia – zmęczenie czy nie, nie mieściło się jej to w głowie. Poszła do panny Lettis i oznajmiła, że albo znajdzie się dla mnie pomoc na soboty, albo następnego lata pensjonat będzie musiał poszukać sobie nowej kucharki.

– I powiem zarządowi, że to przez panią, panno Lettis.

Już tydzień później pojawiła się Lucy Miller. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, w czym pomoże mi taka chuda trzynastolatka z jasnymi warkoczykami, ale okazało się, że od dziecka sprzątała po swoich sześciu braciach – pościelenie łóżka czy zmiana powłoczek zajmowały jej o połowę mniej czasu niż mnie. Dzięki Lucy ani razu już nie opuściłam ze zmęczenia żadnego posiłku. A wierz mi, były to posiłki, których za nic w świecie nie chciałabyś opuścić.

Jedzenie w kuchni było lepsze niż to, co podawano w jadalni – zwłaszcza na sobotni lunch. Hannah, praczka, po takim lunchu odchyliła się na krześle i orzekła:

– To prawdziwy niedzielny obiad, choć jest dopiero sobota.

Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z czarnoskórymi, więc Hannah mnie trochę onieśmielała, zwłaszcza że przeczytałam *Chatę wuja Toma*. O czym miałam rozmawiać z osobą, której babka zapewne była niewolnicą? Jednak Hannah okazała się naprawdę miłą i otwartą, do tego świetnie umiała opowiadać. Potrafiła też rozśmieszyć panią Morse, gdy opisywała bogaczy z rezydencji w Rockport, którzy chyba sądzili, że inni ludzie są głusi, ślepi albo zbyt głupi, więc nie wiedzą, że ksiądz upija się co wieczór, a młoda panienka z ogrodnikiem nie tylko rozmawia.

Po paru tygodniach ramiona i nogi miałam mocne jak nigdy w życiu i nie padałam ze zmęczenia pod koniec dnia, więc pewnego wieczoru przebrałam się i postanowiłam się przyłączyć do dziewcząt, które grały w szarady. Powitały mnie zdziwione spojrzenia, gdy weszłam do salonu, ale gdy tylko się zorientowały, że jestem dziewczyną, która sprząta łazienki, żadna nie spojrzała mi w oczy.

Nie sędzę, żeby celowo były nieuprzejme. Gdyby sprzątaczką przyszła na szarady, a ja sama byłabym gościem pensjonatu, zachowałabym się pewnie tak samo... Wynikało to bardziej ze skrupowania niż snobizmu, jak mi się zdaje. Kiedy przyjeżdżałam tam na wakacje, ktoś przecież musiał sprzątać pensjonat, ale nie przypominam sobie, żebym choć raz ją widziała. Od tamtego dnia, gdy natknę się na pokojówkę lub sprzątaczkę w pokojach hotelowych, zawsze uśmiecham się do nich i witam.

Po tamtym wieczorze, jeżeli chciałam posłuchać muzyki lub prelekcji odbywającej się w salonie, po prostu stawiałam krzesło na ganku i podsłuchiwałam przez okno. W ciche wieczory, gdy było naprawdę ciemno, pani Morse przynosiła mi lampę naftową, więc mogłam posiedzieć w chłodzie i poczytać książkę.



## Dziewczyna powinna mieć własne pieniądze

Tam gdzie się wychowałam, gdy siedziało się w kuchni innej kobiety, wypadało zapytać o jej dzieci, rodziców, opinię o sąsiadach... A nawet o trawienie. Z panią Morse rozmawiałam głównie o pogodzie albo menu planowanym na następny dzień. I tyle.

Jednak w piątkowe wieczory, gdy zostawała do późna, żeby przygotować wypieki na weekend, przyglądałam się, jak wyrabia ciasto na chleb, rogaliki, placki czy ciastka. Wtedy pani Morse opowiadała, jak wymyśliła swoje przepisy i dlaczego używa masła do jakiegoś ciasta, a smalcu do innego. Uwagę skupiała na swojej pracy, ale mówiła jak zupełnie inna osoba... Szczęśliwsza.

Pani Morse w pierwszym tygodniu zrobiła dla dziewcząt szarlotkę, ale panna Lettis uznała, że to za mało wykwintny deser do jadalni, więc od tej pory szarlotka była tylko dla personelu. Powiedziałam pani Morse, że jej szarlotkę jadłabym nawet trzy razy dziennie, gdybym tylko miała okazję.

– Co za dużo, to niezdrowo – odpowiedziała wtedy, ale zawsze nakładała mi największy kawałek.

Wiedziałam, że pani Morse mnie lubi, chociaż mi tego nie mówiła. Mówiła za to, żebym czasami wyszła z pensjonatu.

– Idź do miasteczka, zjedz lody, pooglądaj wystawy w sklepach. Lucy chętnie cię oprowadzi.

Lucy była jednak trochę za młoda i głupiutka, więc powiedziałam pani Morse, że oszczędzam.

– Dziewczyna powinna mieć własne pieniądze, wtedy nie musi prosić o wsparcie innych – zgodziła się pani Morse.

Przyznałam, że to bardzo nowoczesne myślenie, ale ona uważała inaczej.

– Na ile mogę ocenić, zdrowy rozsądek chyba od dawna przestał być w modzie.

O pani Morse wiedziałam niewiele – głównie to, co powiedziała mi Lucy, spokrewniona z kucharką przez babkę czy jakoś tak. Chyba wszyscy w Rockport byli ze sobą spokrewnieni.

Pani Morse miała na imię Margaret i owdowiała młodo. Miała też syna George'a, który okazał się „rozczarowaniem”. Lucy jednak zapomniała wspomnieć, że pani Morse miała też siostrę, Elizabeth, którą poznałam, gdy zajrzała do pensjonatu w pewną niedzielę po kościele.

Od razu dostrzegłam rodzinne podobieństwo – wysokie czoła, blisko osadzone szare oczy i grube, stalowosiwe włosy. Jednak Margaret Morse była pulchna i łagodna, podczas gdy Elizabeth Styles chuda i podejrzliwa. Patrząc gdzieś nad moją głową, powiedziała:

– Miło mi poznać.

Wyszłam z kuchni, żeby siostry miały trochę prywatności, jednak pani Styles była tak przygłucha, że równie dobrze mogłam siedzieć obok przy stole, bo i tak słyszałam ich rozmowę.

– Nie do wiary, że znowu tutaj wróciłaś! – krzyknęła pani Styles.

– Odpowiada mi ta praca – odparła równie głośno pani Morse. – I nie mogę sobie pozwolić, żeby nie zarabiać.

Pani Styles uważała, że siostra zarobi więcej w jednej z dużych letniskowych restauracji w Eastern Point, jednak pani Morse wołała sama decydować, co gotuje, i wracać wieczorem do własnego domu.

– I nie martw się o pieniądze. Powodzi mi się całkiem dobrze.

– Nie pojmuję, jak ty to znosisz. Tyle przyjezdnych przyprawia mnie o dreszcze! – oburzyła się pani Styles.

Pani Morse nieco ściszyła głos.

– Najpierw myślałam, że Włoszki kradną, a Irlandki cuchną. Żydówek też się trochę obawiałam. Ale po tylu latach muszę przyznać, że niektóre są miłsze niż Amerykanki.

– W obecnych czasach wszystkie próbują wyglądać jak kurtyzany.

– Ot, podfruwajki. Nasza matka padłaby trupem, gdyby zobaczyła te odsłonięte nogi.

– Matka potraktowałaby je różgą. Wtedy było o wiele lepiej.

Jednak pani Morse stwierdziła, że pod niektórymi względami lepiej jest teraz, ale pani Styles nie potrafiła tego dostrzec. Letnicy przecieź rujnowali jej miasteczko, a przejście na drugą stronę drogi było niebezpieczne dla życia przez te jeżdżące automobile.

– A te kostiumy kąpielowe? Przecieź widać wszystko, wiadomo co. Okropność!

– Na to nic się nie poradzi, ale może po prostu ukroję ci kawałek ciasta

czekoladowego?

Pani Morse była przekonana, że niemal wszystko można załatwić za pomocą kawałka ciasta. Na przykład szarlotki.

## To nie twoja sprawa, Addie

W najgorętsze noce, kiedy w moim pokoiku było duszno, zabierałam poduszkę i koc na werandę i robiłam posłanie z krzeseł i niedużych stolików. Gdy się jest młodym, można spać wszędzie.

Pewnej nocy, gdy spałam na werandzie, obudziło mnie trzaśnięcie kuchennych drzwi. Nigdy nie były zamykane, więc pomyślałam, że któraś z dziewcząt wróciła ze schadzki. Kiedy jednak weszłam, żeby napić się wody, roztrzęsiona pani Morse opierała się o krzesło, a na jej wargach dostrzegłam krew.

Zmusiłam ją, żeby usiadła, i przetrąłam jej twarz mokrą ściereczką. Zapytałam, czy wezwać pannę Lettis albo siostrę, ale pani Morse tylko pokręciła głową. Kiedy obie trochę się uspokoiłyśmy, wcale nieźle wcieliłam się w Betty i kazałam pani Morse położyć się w moim pokoiku. A potem wyszukałam w kuchni największy nóż i wróciłam na werandę trzymać wartę.

Nie musiałam pytać, kto zranił kucharkę. Hannah powiedziała, że syn pani Morse zadarł z przemytnikami na całym Cape Ann. Kanadyjczycy z dala od brzegu przeładowywali beczki rumu ze swoich łodzi na mniejsze, a potem miejscowi rozprowadzali trunki dalej, najczęściej sprzedając go właścicielom spelunek z Bostonu, i zarabiali na tym pokaźne pieniądze. Ludzie tacy jak George Morse kradli po kilka butelek i próbowali sprzedawać je bogatym letnikom w miasteczku, którzy ani myśleli rezygnować z drinków tylko dlatego, że obowiązywała prohibicja. Jeżeli jednak brakowało zbyt wielu przeschumowanych butelek, wtedy, cóż... Ci dostawcy nie należeli do ludzi wyrozumiałych...

Pani Morse następnego dnia nie wychodziła z kuchni i nisko trzymała głowę, dlatego tylko ja widziałam jej spuchniętą wargę i siniaka na podbródku. Po kolacji wyszła do domu, ale po zgaszeniu świateł wróciła z walizką do pensjonatu. Powiedziała, że będzie spała na ganku, ale nie mogłam ryzykować, że panna Lettis ją tam znajdzie. Kierowniczka pensjonatu wystarczyłaby za cały wydział obyczajowy na posterunku policji. Zeszłego lata jedna dziewczyna została odesłana do domu za pijaństwo, a inna uciekła, więc panna

Lettis była szczególnie wyczulona na punkcie reputacji pensjonatu. Nie tolerowała żadnego naruszania zasad. Głównie dzięki temu udało mi się namówić panią Morse, żeby została w moim pokoju.

Sama usadowiłam się na ganku, a kiedy usłyszałam zbliżające się kroki, czym prędzej umknęłam do środka. Pani Morse już czekała przy drzwiach. Poprosiłam, żeby ukryła się na górze, ale ani myślała słuchać.

– Ty idź. Sama się tym zajmę.

Wiedziałam, że nie ma się co spierać, ale cofnęłam się tylko do jadalni, skąd mogłam wszystko widzieć.

Pani Morse wpuściła intruza, gdy zaczął kopać w drzwi. George Morse był o cal lub dwa wyższy od matki, szeroki w barach, z pięściami jak bochny. Zaciskał i prostował silne palce, jakby zamierzał kogoś uderzyć. Alkohol czułam od niego nawet w sąsiednim pomieszczeniu.

Zaczęli się kłócić zduszonym szeptem, a potem pani Morse opadła na krzesło i popatrzyła w górę na syna. George pochylił się nad nią.

– Wiesz, że mnie zabiją, jeśli nie oddam im forsy. A zresztą po co ci pieniądze? I wiem, że masz sporo cholernejszej forsy, więc nie mów mi, że nie. Jesteś już jedną nogą w grobie, stara jędzo. Jaka matka nie próbuje ratować własnego syna? Chcesz mojej śmierci? O to ci chodzi? Jeżeli nie dasz mi pieniędzy, spalę ten dom.

Gdy złapał ją za rękę, wbiegłam do kuchni.

– Zostaw ją!

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i skrzywił się obleśnie.

– Co to za smarkula?

Kazałam mu się wynosić, bo wezwę policję. Roześmiał się tylko.

– Nawet ładna jesteś. Jak ze mną wyjdiesz i się zabawimy, może dam ci dziś spokój.

– Ani się waż, George – wtrąciła pani Morse.

Syn puścił jej rękę i ruszył do mnie.

– No, panienko, zostało mi trochę rumu. A może wolisz wino? Też znajdę. Nie jestem taki zły, tylko wpadłem w tarapaty.

Stanął nade mną i dyszał mi w twarz.

– No, matka, powiedz jej, że jestem miły.

Ale pani Morse zdążyła już złapać za nóż i przytknęła mu czubek do pleców. Kiedy próbował się odwrócić, ukłuła go na tyle mocno, że jęknął.

– Wypatroszę cię, jeżeli będzie trzeba – szepnęła, a potem pod groźbą noża

wyprowadziła go za drzwi.

Na odchodnym George rzucił jeszcze:

– Następnym razem przyniosę swój nóż i nie będę taki grzeczny dla twojej małej przyjaciółki.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak się przestraszyłam, dopóki nie wyszedł. Głos mi się łamał piskliwie, gdy przekonywałam, że trzeba zadzwonić na policję. Pani Morse powiedziała jednak, że to nic nie da – gliniarze i szmuglerzy działali w zмовie.

– Więc co zrobimy? – zaniepokoiłam się nie na żarty.

Pani Morse poklepała mnie po ręce.

– To nie twoja sprawa, Addie. Wracaj do łóżka. Posiedzę tutaj przez chwilę.

Jednak tej nocy nie było mowy o spaniu. Wracały do mnie okropne obelgi, jakimi George obrzucił swoją matkę. Wciąż widziałam jego skrzywioną twarz i siniaka na podbródku pani Morse. Przypominało mi to kobietę z zakładu Levine'a, która w każdy poniedziałek przychodziła do pracy z podbitym okiem lub rozciętą wargą. Wszyscy udawali, że tego nie widzą, i nikt słowem się nie odezwał. Ja również.

Co miałabym powiedzieć? „Zadzwońmy na policję”? Gdyby nawet funkcjonariusze przyszli, po paru minutach już by ich nie było. „Zostaw tego brutala”? A niby jak ta kobieta miałaby utrzymać sama dzieci i siebie?

Ale na własne oczy ujrzałam, jak George krzywdzi panią Morse. I wiedziałam, że nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Tyle że nie miałam pojęcia, jak tego dokonać.

\* \* \*

W sobotę poznałam Bess Sparber, znajomą Gussie z sądu. Właśnie zatrzymała się na tydzień w pensjonacie. Odszukała mnie, żeby się przywitać i sprawdzić, jak sobie radzę. Była drobną blondynką, ale uścisku dłoni pozazdrościłby jej niejeden osiłek. Bess miała niedużą szparę między przednimi zębami – zawsze uważałam, że ludzie z taką szparką wyglądają na wyjątkowo uczciwych. Rozpaczliwie pragnęłam z kimś porozmawiać, więc opowiedziałam Bess, co się stało pani Morse.

– Wciąż się tak dzieje. W sądzie słyszy się takie rzeczy, że można dostać mdłości... Kobieta, która przez bicie straciła oko, chłopiec, który dostał zakażenia od ran na plecach po chłóście... Nie ma jak w domu, co? Szkoda słów. – Bess się skrzywiła, a potem obiecała, że pomoże mi ze wszystkich sił i

namówi jeszcze inne dziewczęta, żeby się przyłączyły.

Wtedy wpadłam na pewien pomysł, ale musiałam się dowiedzieć, kto zajmuje pokój nad kuchnią.

George nie pokazywał się przez parę dni, jednak wiedziałam, że wróci, więc zamykałam na noc drzwi kuchenne – to dałoby mi czas, żeby w razie czego złapać nóż i wyjąć miotłę ze schowka.

Gdy tylko usłyszałam kroki George'a, postukałam w sufit kijem od miotły, odczekałam, aż zacznie się pieklić, po czym otworzyłam drzwi. Wszedł. A zaraz potem otoczył go tuzin dziewcząt z młotkami do krykieta i raketami tenisowymi. Dziewczęta podchodziły w milczeniu, bezszelestne jak myszy. Wypełniły kuchnię. Słysząc tylko dyszenie George'a i odgłos kija bejsbolowego, którym Bess uderzała się w dłoń.

George rozejrzał się, a gdy pod drzwiami dostrzegł panią Morse, rzucił się do niej gwałtownie. Natarł na stojącą mu na drodze dziewczynę jak rugbista. Musiało boleć, ale dziewczyna nie ustąpiła, a pozostałe zamknęły krąg i intruz znalazł się w potrzasku.

Pani Morse kazała mu się wynosić i nie wracać, a on nazwał ją starą suką i jeszcze gorzej. Nie przestawał też na nią nacierać. Jednak żadna z dziewcząt się nie cofnęła i wreszcie udało się wypchnąć go za drzwi.

Gdy tylko trzasnął zamek, zabrzmiało chóralne westchnienie ulgi. Bess i ja chciałyśmy, aby dziewczyny jak najszybciej wróciły do swoich pokoi, ale pani Morse musiała najpierw każdej uściśnąć dłoń.

O poranku Bess zajrzała do kuchni.

– To było przerażające. Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytała.

Mogłyśmy powtarzać to samo przez kilka nocy, ale potem dziewczęta z tego turnusu wyjadą, a nowe niekoniecznie będą chciały się mieszać w podobne incydenty. Któraś mogłaby się też wygadać, a gdyby to, co zrobiłyśmy, wyszło na jaw, pani Morse na pewno wpadłaby w tarapaty. No i George mógł też przyjść z bronią palną.

Musiałam znaleźć pomoc na miejscu, ale jedynymi osobami w Rockport, którym ufałam, były pani Morse oraz Hannah i Lucy. Hannah roześmiała się, gdy jej opowiedziałam, jak wyrzuciłyśmy George'a Morse'a z kuchni.

– Szkoda, że nie widziałam jego miny – westchnęła radośnie, a potem kazała mi pogadać z Lucy, ponieważ dziewczyna znała wszystkich w miasteczku.

Lucy słuchała w milczeniu, gdy opisywałam jej, co się wydarzyło.

– George Morse to gnojek – stwierdziła ponuro. – Wsadził mi rękę między



nogi, gdy miałam dziesięć lat. Do dziś niedobrze mi na samo wspomnienie. Powiedz pani Morse, że nie musi się już martwić.

Nie wiem dokładnie, co stało się potem, ale Lucy porozmawiała ze swoim wujem Nedem, członkiem ruchu wstrzemięźliwości. Jak się jednak okazało, wuj Ned nie był tak wstrzemięźliwy w używaniu siekiery, i to nie tylko do rozbijania baryłek whisky. W dzieciństwie ojciec pijak złamał mu nos, dlatego dorosły Ned uważał za swoje powołanie bronić słabszych – wszelkimi możliwymi metodami.

Minął tydzień, a George się nie pojawił. Pani Morse przestała się wzdrygać za każdym razem, gdy otwierały się drzwi kuchenne, i zaczęła na noc wracać do swojego domu.

Potem minął kolejny tydzień. Wyglądało na to, że George Morse zniknął z powierzchni ziemi, ponieważ jednak nigdzie nie był mile widziany, nikt nie próbował go szukać. Krążyły plotki o ciele wyrzuconym na brzeg w Long Beach, ale w gazecie nie pojawiła się o tym choćby wzmianka. Zresztą może syn pani Morse uciekł do Salem albo Bostonu czy gdziekolwiek indziej.

Pani Morse nigdy więcej nie wspomniała o swoim synu, przynajmniej nie w mojej obecności. Za to do końca pobytu w Rockport codziennie dostawałam na śniadanie szarlotkę.

Autor: Addie Baum

Pamiętasz, jak gdy byłaś mała, pozwalałam ci siedzieć do późna, żebyśmy mogły oglądać *Schodami w górę, schodami w dół*? Ten serial zawsze przypomina mi o problemach pani Morse z George'em i nasuwa myśl, że panna Lettis nigdy się o tym nie dowiedziała. Nie dlatego, że była głupia, ani też dlatego, że była taka mądra. Po prostu zajmowały ją głównie melodramaty „na górze”, jak choćby dziewczynka, która dostała zapalenia wyrostka. Jednak w prawdziwą panikę panna Lettis wpadła, gdy powiadomiono ją, że przyjedzie dziennikarka z gazety codziennej, żeby opisać historię pensjonatu w Rockport.

Wydawać by się mogło, że to nic wielkiego, ale tego rodzaju rozgłos nie podobał się paniom, które założyły pensjonat – wychowano je w przeświadczeniu, że personalia kobiety powinny się pojawiać w gazetach tylko w dwóch przypadkach: w anonsie o ślubie oraz w nekrologu. Czasy się jednak zmieniły i nawet te kobiety, a także ich córki, czytały rubryki towarzyskie, choć niekoniecznie się do tego przyznawały. Popularnością cieszył się zwłaszcza „Boston Evening Transcript”, w którym co tydzień zamieszczano kolumny z rodowodami oraz relacjonowano, do jakich klubów uczęszczają panie z bostońskiej elity. Mam na myśli takie rodziny jak Loewellów czy Cabotów i tym podobne. „Transcript”, opisujący mieszkańców bogatej bostońskiej dzielnicy Beacon Hill, zwłaszcza „najstarsze rody”, przypominał trochę magazyn „People”.

Panna Lettis dostała telefon od przewodniczącej zarządu i dowiedziała się, że do pensjonatu przyjedzie niejaka „panna Smith” i po wizycie w Rockport dziennikarka powinna być zachwycona. Wszystko zatem musiało wyglądać perfekcyjnie, co oznaczało, że musiałam dwa razy wypolerować balustradę schodów, a potem odkurzyć wszystkie książki. Na dzień przed przyjazdem wyczekiwanego gościa panna Lettis przyszła wieczorem do kuchni – czego wcześniej nigdy nie robiła – i przejrzała z panią Morse menu na lunch.

Kierowniczka zachowywała się jak rozdrażniona, zdenerwowana kotka, splatała i rozplatała dłonie i chyba powiedziała nam trochę za wiele. Wyjawiała, że nasz gość prowadzi najpopularniejszą rubrykę towarzyską w Bostonie, więc

lepiej, żebyśmy zaprezentowały się nienagannie, inaczej świat się dowie o naszych uchybieniach.

Panna Lettis pochodziła z Pittsfield, dlatego nie wiedziała, że „panna Smith” to „Serena”, która prowadziła kolumnę „To i owo”. Rubryka była wielce poczytna nie tylko z powodu najbardziej pikantnych plotek, lecz także ze względu na okolicznościowe żarty z opisywanych ludzi. Serena napisała na przykład, że damy z Beacon Hill są bardzo skąpe i noszą buty, dopóki podeszwy nie zrobią się cienkie jak opłatek.

Nikt nie znał prawdziwego imienia Sereny. Krążyły plotki, że sama pochodzi z któregoś „najstarszego rodu”, zapewne bostońskich braminów, śmietanki towarzyskiej wywodzącej się od angielskiej arystokracji albo pierwszych kolonistów, co czyniłoby z niej zdrażynię swojej klasy, ale też budziłoby jeszcze większą fascynację jej osobą. Niektórzy uważali, że to nie ona, lecz on, ponieważ kobieta nie może być tak dowcipna.

Kiedy pod pensjonat podjechał samochód, czułam się jak detektyw, który rozwiązuje zagadkę prawdziwej tożsamości Sereny.

Okazało się, że czytanie codziennych gazet bardzo się opłaca, ponieważ gdy tylko ujrzałam tę kobietę, od razu wiedziałam, że to żona pana Charlesa Thorndike’a. Sprawa rozwiązana!

Kiedy braminka jak Tessa Cooper ma poślubić bramina jak Charles Thorndike, zawsze w gazecie pojawia się nie tylko anons o zaręczynach, lecz także niekiedy zdjęcie narzeczonej. Panna Cooper wysłała każdemu wydawcy w mieście fotografię przedstawiającą ją z odsłoniętym ramieniem. Bardzo pikantne.

Panna Lettis starała się wyglądać jak najserdeczniej, jednak kiedy na szyi kierowcy ujrzała trzy aparaty fotograficzne, aż się zatchnęła.

– Nie dostałam pozwolenia na zdjęcia! – Zostawiła pannę Smith w progu i pognęła do środka, żeby zadzwonić do Bostonu po instrukcje.

Panna Smith oparła się o balustradę werandy i zapaliła papierosa.

Zdjęcia nie oddają jej sprawiedliwości, nie ukazują w pełni jej twarzy w kształcie serca i wielkich oczu. Ciemne włosy były niemal tak krótkie jak u mężczyzny i podobnie uczesane z przedziałkiem – w stylu, jaki można było zobaczyć w czasopiśmie o modzie, ale o wiele za bardzo wyzywającym jak na Boston.

Chyba czułam się bardzo odważna tego ranka, ponieważ podeszłam do niej i zapytałam:

– Ma pani ochotę na coś zimnego do picia, pani Thorndike?

Wydawała się zaskoczona, gdy usłyszała swoje nazwisko, ale zaraz uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Czytasz gazety, prawda? Chętnie bym się czegoś napiła, ale nie podejrzewam, żebyście miały pod ręką trochę ginu.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć – była dopiero jedenasta i obowiązywała prohibicja.

Pani Thorndike roześmiała się z mojej miny.

– Spokojnie, dziecko, tylko żartowałam. Należysz do jednego z tych kółek dla dziewcząt?

Nie zamierzałam ujawniać, że pracuję tutaj jako sprzątaczką, więc powiedziałam, że chodzę na spotkania kółka do biblioteki w soboty, co było prawdą.

Pani Thorndike wiedziała, co to za kółko.

– Parę lat temu towarzystwo misyjne matki kupiło wszystkie prezenty na Boże Narodzenie z ich sklepiku. Jesteś jedną z tych uroczych dziewcząt, które zajmują się garncarstwem?

– *Uroczych?*

Ta kobieta zaczynała mi działać na nerwy. Zaprzeczyłam i wyjaśniłam, że pracuję jako sekretarka w biurze nieruchomości oraz uczę się w Simmons College.

– Czyli jesteś nie tylko wielbicielką kolumny towarzyskiej, lecz także osobą przedsiębiorczą.

To także niezbyt mi się spodobało, więc prychnęłam, że rubryki towarzyskie są stratą czasu, oczywiście oprócz artykułów Sereny. A potem spojrzałam jej w oczy.

– Mam sporo uciechy, gdy czytam, jak wyśmiewa pani bostońskich sławnych i bogatych.

To stało zadowolony uśmieszek z twarzy pani Thorndike.

Potem pojawiła się panna Lettis, już nieco spokojniejsza, ponieważ dostała odpowiednie instrukcje, jak postępować. Miało nie być żadnych zdjęć wnętrza pensjonatu ani dziewcząt.

– Czyli niewiele zostaje, prawda? – skrzywiła się pani Thorndike. Wyprostowała się i rzuciła wypalonego papierosa na trawnik. Panna Lettis wykazała się chyba nadludzkim opanowaniem, nie podbiegając i nie podnosząc niedopałka. – No to zakończmy to jak najszybciej.

Ruszyły na wielki obchód pensjonatu, dokładnie zaplanowany i przygotowany przez pannę Lettis. Zatrzymały się przy korcie tenisowym, gdzie tak się złożyło, że grały najlepsze tenisistki turnusu, a potem podeszły do dobrze ułożonych dziewcząt czytających poezję. Kolejna grupka szydełkowała siatki – a wszystko to było równie nieprawdziwe jak banknot trzydolarowy.

Tessa Thorndike nie wyglądała na zainteresowaną. Nie porozmawiała z żadną dziewczyną ani nie zapisała w notesie słowa z tego, co panna Lettis opowiadała o historii pensjonatu. Dziennikarka nie zjadła też lunchu w jadalni ze wszystkimi, lecz na werandzie, sama.

Po południu pensjonat opustoszał, bo dziewczęta poszły na żaglówki do przystani w Rockport. Panna Lettis zabrała fotografa, żeby zrobił zdjęcia okolicy i budynku, a pani Thorndike wróciła na werandę i zapaliła kolejnego papierosa.

Zawędrowałam tam z książką pod pachą.

– Nie żeglujesz? – rzuciła Tessa Thorndike.

Powiedziałam, że mam chorobę morską, a potem zapytałam, czy jej się tutaj podoba.

Westchnęła.

– Nieszczególnie. Jestem trzymana na krótkiej smyczy, nie wolno mi robić nic zabawnego. – Zabrzmiało to trochę z rezygnacją i mniej zarozumiale. – Jestem tutaj tylko dlatego, że matka Charlesa daje pieniądze na ten pensjonat i powiedziała wydawcy, że chce przeczytać o tym miejscu *coś miłego*. Gdybym spróbowała dodać jakiś dowcip, nie byłaby zadowolona.

Zapytałam, czy jej teściowa domyśla się, że synowa to Serena.

– Pani Thorndike kazałaby synowi, żeby się ze mną rozwiódł, gdyby miała chociaż cień podejrzenia. Uważa, że Serena jest wulgarna. Ale Charlie twierdzi, że jest zabawna.

– Ma rację – przyznałam.

– No, dziękuję – mruknęła, a potem zapytała, jak się nazywam.

Kiedy jej powiedziałam, stwierdziła:

– Addie Baum. Dobre nazwisko dla dziennikarki.

I tak po prostu ujrzałam oczyma duszy: „Autor: Addie Baum”, czarno na białym. Właśnie tym chciałabym się zajmować – pisać do gazet.

Dostałam gęziej skórki, ale wzięłam się w garść.

– Ja nie umiałabym zapamiętać tyle, co pani.

– Chodzi ci o to, że nie robiłam notatek? Tylko dlatego, że jestem leniwa.

Nikogo tak naprawdę nie obchodzi, co napisałam, bylebym tylko nie przekreśliła nazwiska, a to zawsze wcześniej jest sprawdzane.

Zapewniłam ją, że jest dobrą pisarką, ale tylko wzruszyła ramionami na ten komplement.

– Wysyłam wydawcy parę stron albo dzwonię do redaktora naczelnego i dyktuję mu przez telefon, co napisałam. Ale zawsze się spóźniam, więc ciągle jest na mnie zły. Myślę, że powinnam mieć asystentkę do pomocy, która sprawdzałaby moje teksty i pilnowała, aby pojawiały się na czas. Jedyne, co sama mogę zrobić, to zapamiętać, kto był na jakim przyjęciu... co nie jest łatwe po jakimś wielkim balu lub dwóch...

Pochwalałam się, że umiem pisać na maszynie i przepisywać ze słuchu.

– Naprawdę?

Przyjrzała mi się uważnie i orzekła, że wiele by dała, aby mieć moje krągłości. Ja oddałabym wszystko, żeby nosić jej sukienkę, która opadała luźno od ramion do kolan.

– Musiałabyś sporo przebywać w naszym domu. – Zamyśliła się. – Gdybyśmy byli w Nowym Jorku, mogłabym powiedzieć, że jesteś moją osobistą sekretarką, ale w Bostonie to *nie wypada*. Na dodatek nie mogłabym cię przedstawiać jako znajomej, bo wszyscy znają moich znajomych.

– A nie mogliśmy były się poznać w Barnardzie? – Kolejna informacja, którą znałam z ogłoszenia o jej ślubie.

– Masz pamięć jak słoń. Ale skoro wszyscy moi znajomi skończyli Smitha lub Wellesley, chyba rzeczywiście mogłabym przedstawić cię jako koleżankę z Barnarda.

Fotograf odłożył aparaty do samochodu i zamachał do pani Thorndike. Podałam jej numer mojego telefonu w pracy. Uścisnęła moją rękę i obiecała, że zadzwoni we wrześniu.

Patrzyłam na odjazd pani Thorndike i już zaczynałam planować życie – przecież nie będę wiecznie sekretarką Levine’a. Musiałam się jednak sporo dowiedzieć o college’u Barnarda w Nowym Jorku, jeżeli miałam udawać „koleżankę ze szkoły”. I jak miałam zwracać się do swojej pracodawczyni – pani Thorndike czy Tesso? Wyobraziłam sobie, jak dumna byłaby panna Chevalier, gdyby zobaczyła podpis „Addie Baum” pod artykułem w gazecie.

Nie mogłam się doczekać.



## Przygryzałam sobie do bólu język, żeby nie wybuchnąć

Zamiast żywić obawę przed powrotem do pracy u mojego szwagra, nie mogłam się doczekać, kiedy znowu będę w biurze. Miałam nadzieję, że Tessa wkrótce zadzwoni. W wyobraźni zwracałam się już do niej po imieniu. Przychodziłam wcześniej i wychodziłam jak najpóźniej, żeby nie przepuścić telefonu. Postanowiłam nawet nie zapisywać się do szkoły wieczorowej, bo chciałam być dyspozycyjna dzień i noc. Gdyby tylko zadzwoniła, natychmiast rzuciłabym pracę i zaczęła nowe życie.

Kiedy po miesiącu Tessa nie zadzwoniła, zaczęłam wariować. Może zapomniała o mnie, a może uznała, że zatrudnienie zupełnie obcej osoby to kompletne wariactwo, a może ktoś jej powiedział, że byłam tylko sprzątaczką?

Czytałam gazety jak opętana, nawet wyniki sportowe i ogłoszenia drobne, w nadziei, że znajdę coś o pani Thorndike. Wiedziałam, że lubi, gdy jej nazwisko pojawia się w czasopiśmie.

Wreszcie znalazłam wzmiankę w „Heraldzie”, że państwo Thorndike bawią właśnie w Londynie, gdzie pan Thorndike załatwia interesy. Potem zamierza spędzić parę tygodni w Paryżu, zanim powrócą do domu.

Wyjaśniało to milczenie Tessy. Albo zapomniała o mnie, albo o planowanej podróży do Europy, gdy rozmawialiśmy. Zastanawiałam się, czy jest jeszcze szansa, żeby Tessa Thorndike zadzwoniła do mnie, gdy wróci. Poczułam się jak mucha, która przykleiła się do lepu i marnuje czas na uzalanie się nad sobą. Irene znowu zaczęła mi proponować łyček mikstury Lydii Pinkham, a Betty ostrzegła, że nie życzy sobie ponuraków na swoim przyjęciu.

W grudniu Betty wydała dla siebie przyjęcie urodzinowe. Mame uważała, że celebrowanie urodzin jest nie tylko stratą pieniędzy, lecz także przywoływaniem Anioła Śmierci.

Przyjęcie nie było duże – tylko rodzina, ciasto ze świeczkami i butelka domowego sznapsa. Betty sprawiła sobie nowy strój, co stanowiło samo w sobie okazję do świętowania. Wcześniej niczego nowego sobie nie kupowała, bo próbowała zrzucić wagę po ciąży. Moja siostra nigdy nie była chuda, ale gruba też nie. Zachowała ładną figurę, a nowy strój dobrze to podkreślał.



Jednak prawdziwy powód, dla którego Betty zgromadziła nas razem, nie dotyczył urodzin.

– Nie uwierzycie, co Herman dał mi w prezencie urodzinowym – oznajmiła.  
– Dom!

Niemal połykała słowa, opisując, ile sypialni tam będzie, ile drzew rośnie wokół domu. Herman kupił chłopcom rowery, a jej pralkę... Levine tylko pocałował żonę w policzek i powiedział, że była to wyjątkowa okazja i nie mógł jej przepuścić.

Moi rodzice zamarli z zaskoczenia.

Betty parsknęła śmiechem.

– Ale macie miny! Nie martwcie się. Przenosicie się z nami. Mame może uprawiać kapustę, a tate nie będzie musiał pracować. Nie trzeba płacić za wynajem. To dom na dwie rodziny. My zamieszkamy na piętrze, a wy na dole. Zupełnie jak tutaj.

Levine dodał, że w pobliżu za rogiem jest sklep warzywny i koszerna rzeźnia.

– Mieszkają tam Żydzi? – upewniła się mame.

– W Roxbury? – Levine uniósł brwi. – Żartujesz?

Betty powiedziała, że pani Kępińska ze starej kamienicy mieszka w Roxbury z synem i synową.

– Kazała przekazać ci pozdrowienia i zaprosić do niej, gdy tylko znajdziesz czas.

Twarcz ojca przypominała maskę.

– Mówisz tak, jakby wszystko już było postanowione. Jakbym był za stary i zbyt chory do pracy. Jakbym już nie był głową rodziny we własnym domu.

– Oczywiście, że jesteś – zapewnił Levine. – Rozumiem, że chcesz nadal pracować. Niedaleko znajduje się linia tramwajowa.

Betty zaczęła opowiadać, że w Roxbury jest o wiele ciszej, znajduje się tam też lepsza szkoła dla chłopców. Levine dodał, że cała dzielnica się tam przenosi. Matka zapytała, czy jest tam również sklep rybny, do którego można dojść pieszo.

I wtedy – bum! Tate uderzył pięścią w stół.

– Nigdzie się nie przenosimy.

Wydawało się, jakby czas się zatrzymał. Mój ojciec nigdy tak się nie zachowywał. Nawet Betty oniemiała.

– Co to znaczy, że się nie przeprowadzamy? – odezwała się wreszcie mame.

– Ja nie zostanę. Beze mnie twoi wnukowie będą dorastać jak dzikusy. Zrobisz, co zechcesz. Zostań tutaj i zdychaj z głodu.

– Addie zajmie się domem – odparł tate.

– Ona przypali nawet wodę. – Mame załamała rękę. – Ach, a co mnie to obchodzi? Oboje możecie się zagłodzić na śmierć.

I zaczęła się kłótnia. Levine wyjaśniał, Betty naciskała, a mame krzyczała. Wreszcie ojciec wstał.

– Możecie mnie przekonywać, jak długo chcecie, nawet do przyjścia Mesjasza, ale ja nie zamierzam się wyprowadzać.

A potem wyszedł, trzaskając drzwiami tak mocno, że naczynia na stole podskoczyły.

– O co mu chodzi? – zapytał mnie Levine. – Myślałem, że się ucieszy.

*Radość* nie była słowem, które łączyłoby się z moim ojcem lub matką. Jednak Levine'owi wyjaśniłam, że problem dotyczył synagogi ojca.

Po śmierci Lenny'ego ojciec stał się bardziej religijny. Zaczął pracować nocami, żeby rano w drodze do domu wstąpić do synagogi na modlitwę. Jadł też wcześniej kolację, żeby pójść na modlitwę wieczorem. Dostosował swoje zmiany tak, aby nie pracować w soboty i spędzać jak najwięcej czasu w *szul*.

Tam zmieniał się w kogoś zupełnie innego. W domu był cichy, a nawet wycofany. Kiedy jednak wchodził do synagogi, mężczyźni śpieszyli, aby uścisnąć mu dłoń, a tate uśmiechał się i mówił coś, co ich również skłaniało do śmiechu. Tam był człowiekiem ważnym – uczonym.

Levine przeprosił. On i Betty powinni byli najpierw zapytać ojca, bo to oczywiste, że chciał zostać. Zresztą zawsze może przecież przeprowadzić się później, o ile zechce. A gdyby jednak się zdecydował na przeprowadzkę, to parę przecznic od nowego domu jest synagoga z dużym księgozbiorem, w tym z całym Talmudem. Na dodatek doprowadzono tam elektryczność, więc można do późna w nocy czytać księgi. A rabbi ma długą białą brodę.

– Nie jest Amerykaninem? – zapytał tate.

– Chyba pochodzi z Niemiec – odparł Levine.

– Jeszcze gorzej.

Levine się poddał. Nie udało mu się przekonać ojca do przenosin. Okazało się, że wcale nie musiał się starać, ponieważ właściciel budynku wyrzucił synagogę ojca z magazynu, a Avrum, który się nią zajmował, postanowił przenieść się do Roxbury. Avrum powiedział ojcu, że zajrzał do tamtejszej synagogi i księgozbiór naprawdę jest niezły, co równało się ocenie na piątkę z

plusem. Dodał też, że rabbi wcale nie jest taki zły jak na Niemca, co w ustach Węgry stanowiło wielką pochwałę.

Dlatego tate w końcu przeniósł się do Roxbury razem z resztą rodziny.

Ja jednak tego nie zrobiłam.

\* \* \*

Nic nie powiedziałam o swoich planach do dnia przeprowadzki. Gdy podjechała ciężarówka, oznajmiłam rodzicom, że wynajęłam pokój w kamienicy pani Kay na Tremont Street. Było to miejsce bardzo szacowne i Betty poradziła mi zaznaczyć, że mieszkają tam głównie Żydówki, jakby to stanowiło jakąkolwiek różnicę.

Ojciec skrzywił się z goryczą, ale nie wyglądał na zaskoczonego – zapewne Betty uprzedziła go o moich zamiarach. Matka jednak to co innego. Spojrzała na mnie jak na robaka.

– Mam się cieszyć, że zamieszkaż w *żydowskim* burdelu?

A to był dopiero początek. Okazałam się uparta i nieposłuszna. Nie miałam szacunku. Nigdy nie mówiłam, co robię i gdzie wychodzę. Okazałam się głupia. Rozczarowałam rodziców. Poprzewracało mi się w głowie.

Im dłużej mówiła, tym bardziej rosła jej złość.

Na koniec oznajmiła:

– Jeszcze pożałujesz. I nie wracaj, kiedy wpadniesz w nędzę.

Przygryzałam do bólu język, żeby nie wybuchnąć. Obiecałam sobie, że nie dam się sprowokować do kłótni, ale w duchu krzyczałam: „Nie nazywaj mnie dziwką. Niby dlaczego od czytania książek ma mi się poprzewracać w głowie? Dlaczego nigdy nie zapytałaś nawet, co czytam? Nędza? A niby kto płacił twoje rachunki?”...

– Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię! – wrzasnęła mame. – Wynocha stąd, idź. Skończyłam z tobą.

– Nie bądź śmieszna – wtrąciła się Betty.

– I kto to mówi? Wielka pani! To twoja wina, twoja i tego twojego męża! Oboje myślicie tylko o pieniądzach i robieniu wrażenia, jacy to jesteście bogaci. Wiem, co o mnie myślisz, że jestem nikim i nic nie rozumiem. Ale wy jesteście nędznymi dorobkiewiczami. Mam nadzieję, że wasze dzieci będą was traktować tak samo jak wy mnie.

– Nie zwracaj na nią uwagi – szepnęła do mnie Betty.

A Levine wsunął mi do ręki pięć dolarów.

– Na pewno tak nie myślała – dodał.

Wyobrażałam sobie, jak cudowny to będzie dzień, gdy zacznę samodzielnie żyć, ale wszystko, co zapamiętałam z tamtej chwili, to ucieczka na podwórko i wymioty.

\* \* \*

Kamienica była tania i czysta, ale pokój, który wynajęłam, należał do ciemnych i cuchnął mysimi odchodami. Właściwie ten zapach unosił się w całym domu, nawet w jadalni. Byłam tam pierwszą młodą osobą od trzydziestu lat i jedyną, która chodziła do pracy. Resztę lokatorów stanowiły stare panny lub wdowy żyjące z rent i bardzo samotne.

Gdy siadałam w salonie z książką, zwykle podchodziła jedna z nich i narzekała na gospodynię domu albo na niewdzięczną krewną, która nigdy nawet nie zajrzała, albo na maniery przy stole innych pań.

Wszystkie zgodnie twierdziły, że dawniej było lepiej. Niektóre mówiły o tym ze smutkiem, inne z goryczą, ale zawsze dochodziły do zgodnej konkluzji: „Nie jest tak dobrze jak kiedyś”.

Przysięgam sobie, że nigdy nie będę tak mówić. I wiesz co? Teraz, gdy już się zestarzałam, myślę, że jest lepiej niż dawniej. Weźmy choćby komputery. A twoja siostra? Jest kardiologiem. A ty skończyłaś Harvard. Niech nikt mi nie mówi o dawnych dobrych czasach. Co w nich było takiego dobrego?

Pomimo natrętnych starszych pań i nieprzyjemnego zapachu w domu uwielbiałam to, że nie muszę się tłumaczyć, gdzie idę albo skąd wracam. Przypominało to trochę wakacje od rodziny. Dużo rozmawiałam z Betty. Ona i Levine założyli telefon w domu i oboje dzwonili przynajmniej trzy razy dziennie. Betty dzwoniła między innymi do mnie. Pytała, co słychać i kiedy wpadnę na obiad, czego nie robiłam zbyt często.

Wiedziałam, że powinnam już szukać nowej pracy, ale nie potrafiłam wyzbyć się nadziei, że Tessa Thorndike w końcu mnie od tego wybawi, gdy wróci do Bostonu. Jednak z rubryk towarzyskich dowiedziałam się, że już wróciła. Widziano ją na herbacie w dziwnej czarnej sukience, „bardzo francuskiej jak na Nową Anglię”, co znaczyło, że wszyscy znienawidzili tę kreację.

Tydzień potem pojawiła się znowu kolumna Sereny w „Evening Transcript” z notką o pani Thorndike w *très chic* paryskim *ensemble* od światowej sławy projektantki Coco Chanel. Nikt w Bostonie nie słyszał o Chanel ani nawet nie

wiedział, jak wymówić jej nazwisko.

Trudno nie podziwiać hucpy, jaką wokół siebie zrobiła, a ja wreszcie zrozumiałam, że Tessa Thorndike nigdy do mnie nie zadzwoni. Jeżeli pragnęłam zmiany, musiałam tego dokonać sama.

Miesiącami Irene i Gussie musiały wysłuchiwać, jak opowiadałam o Serenie i o tym, że mnie zatrudni. Chyba gadałam stanowczo za dużo. Kiedy się przyznałam, że już nie czekam na telefon, Irene mruknęła:

– Najwyższy czas.

Gussie dodała, że zadzwoni w parę miejsc, i kazała mi przeglądać ogłoszenia „Poszukiwana pracownica”. Było wiele ofert dla maszynistek, niektóre interesujące. Chciałam zgłosić się do Wellesley College, ale dojazd tramwajem zajmowałby mi parę godzin. Sprawdziłam też ogłoszenie w sprawie pracy w gabinecie lekarskim – przeniosłabym się wtedy do zupełnie innego świata – ale kiedy zadzwoniłam, posada była już zajęta.

Irene obiecała, że również będzie nastawiać uszu, co znaczyło, że zamierzała podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, które mogłyby okazać się przydatne. Nie było to zbyt *koszer*, wiem, ale Irene twierdziła, że dziewczynom takim jak my nikt nic nie da, więc musimy brać sprawy w swoje ręce, gdy tylko nadarzy się okazja.

Nawet się nie przywitała, gdy podniosłam słuchawkę.

– Maszynistka w dziale wiadomości dziennika „Transcript” właśnie odeszła z pracy. Wkładaj płaszcz i zgłoś się od razu.

## Dzięki temu czułam się jak prawdziwa dziewczyna z Bostonu

Irene zadzwoniła około czwartej po południu, więc nie miałam szans dotrzeć do redakcji „Transcriptu” przed piątą. Hol okazał się pusty, ale pomyślałam: „A co tam, przecież już tu jestem”. Dlatego zapytałam jakiegoś mężczyznę, gdzie mam iść w sprawie pracy maszynistki w dziale wiadomości. Powiedział, żebym sprawdziła na drugim piętrze, czy jest tam jeszcze pan Morton, ale jeżeli nie piszę szybko, lepiej się nie fatygować. A potem mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Dla niego nie będzie się liczyło, że jest pani taka śliczna.

Zawsze mnie zaskakiwało, gdy mówiono mi, że jestem ładna. Sama tego nie dostrzegałam, ale kiedy patrzę na swoje stare zdjęcia, muszę przyznać, że byłam słodka. Gdy już utraciłam dziecięcą pulchność i obciąłam włosy, moje oczy zaczęły się wydawać większe, a nos mniejszy. I miałam szczęście, bo wyrosły mi ładne zęby.

Teraz, gdy mam osiemdziesiąt pięć lat i patrzę na siebie w lustrze, myślę: „Nigdy nie będę już wyglądać lepiej niż dziś, więc pozostaje mi tylko uśmiech”. Kobieta, która powiedziała, że uśmiech to najlepszy lifting twarzy, była bardzo mądra.

W każdym razie ten nieznajomy powiedział, że jestem ładna, co sprawiło, że się uśmiechnęłam i weszłam na schody nieco mniej zdenerwowana.

Trafiłam do dużego pokoju, który wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Na podłodze leżały papiery. Kosze na śmieci i popielniczki były przepełnione, wszędzie unosił się zapach papierosów. Wyglądało to zupełnie jak newsroom z filmów, tyle że z karaluchami.

Nikogo tam nie było. „Transcript” drukowali wieczorem, co znaczyło, że pewnie wszyscy już dawno wyszli. W duchu zaczęłam przeklinać – szlag, szlag, niech to szlag, szlag... I chyba jeden z tych „szlagów” wyrwał mi się na głos, ponieważ usłyszałam:

– Ha!

Gruby mężczyzna w kapeluszu zsuniętym na tył głowy wyszedł zza



szklanych drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Powiedziałam, że szukam pana Mortona w sprawie pracy. Grubas rzucił kolejne „Ha!” i oznajmił:

- No to szukasz mnie.
- Przyszłam w sprawie pracy – powtórzyłam.
- Do pisania na maszynie, prawda? Tylko mi nie mów, że uważasz się za kolejną Nelly Bly.

Nie miałam pojęcia, kim jest Nelly Bly, więc zapewniłam tylko, że umiem pisać na maszynie.

- Szybko?
- Bardzo szybko. I dobrze sobie radzę z pisaniem pod dyktando.

Pan Morton kazał mi pokazać ręce, a ja w duchu podziękowałam panie Powder, która nauczyła mnie, aby zawsze przycinać krótko paznokcie.

- Będziesz musiała odbierać telefony.

Zapewniłam, że mam w tym spore doświadczenie.

– Co byś zrobiła, gdyby zadzwonił jakiś głupek i wrzeszczał do słuchawki o bolszewikach w policji, jakby to była twoja wina?

– Dlaczego ktoś dzwoniłby w tej sprawie? – zdziwiłam się. – Strajk policji był pięć lat temu.

Pan Morton miał podwójny podbródek i worki pod oczami, ale uśmiechnął się jak mały chłopiec, rzucając kolejne „Ha!”.

Myślałam, że się ze mnie wyśmiewa, ale przekonałam się później, że to „Ha” mogło znaczyć dosłownie wszystko – od: „Co za dupek” po „Dzień dobry”, a nawet „Jesteś przyjęta”. I właśnie to „Ha” znaczyło: „Jesteś przyjęta”.

Ledwie pamiętam swój pierwszy miesiąc. Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko, nawet gdy sprzątałam w pensjonacie w Rockport. Chyba dlatego, że próbowałam wtedy wykonywać polecenia idealnie, ale też i dlatego, że zajmowałam się w zasadzie wszystkim. Biegałam na górę do marketingu, na dół do salonu prasowego i z powrotem do biura reklamy. Wychodziłam po papierosy i butelki w brązowych papierowych torbach z najbliższej apteki. Odbierałam telefony i wysłuchiwałam mnóstwa głupków, którzy narzekali na wszystko – psa sąsiadów, kobiety za kierownicą, zepsute światła uliczne czy kołnierzyki prezydenta Coolidge’a.

Mort – zagroził, że mnie zwolni, jeżeli ośmielę się do niego zwracać per „panie Mortonie” – powiedział, że telefon to przekleństwo, dopóki nie jest potrzebny. Jak wtedy, gdy reporter nie ma czasu, aby wrócić do redakcji i napisać artykuł. Były dni, gdy wracałam do domu ze strasznie zeszywniałą



szyją, ponieważ musiałam zapisywać to, co mi dyktowano przez telefon. Przytrzymałam wtedy ramieniem słuchawkę przy uchu, a nie masz pojęcia, jak ciężkie były wtedy telefony.

Przepisywałam teksty wszystkich starszych dziennikarzy, którzy nie zamierzali się nauczyć pisania na maszynie. Młodszy umieli, choć używali tylko dwóch palców – ale muszę przyznać, byli szybcy. Dziennikarz, który opisywał sprawy sądowe, był nawet szybszy ode mnie. Był też strasznym pijakiem. Czasami przychodził na godzinę przed ostatecznym terminem zamknięcia numeru, pisał artykuł i padał przy własnym biurku. Nie do wiary, że ten człowiek o nieprzytomnych z przepicia oczach był tak dobrym dziennikarzem.

Jednak pewnego dnia chyba wypił o jeden kieliszek za dużo i napisał tylko brednie. Mort kazał mi jakoś to uporządkować, a wtedy to dokończy. Przyznam ci się, że męczyłam się nad tymi dwiema stronami strasznie długo i byłam kłębkiem nerwów, gdy oddawałam je szefowi. Mort przeniósł moje zakończenie na początek, wyciął wszystkie przymiotniki, skrócił całość o połowę i sprawił, że tekst zrobił się o sto procent lepszy.

– Tak to się robi – oznajmił.

Nigdy w życiu nie miałam lepszej lekcji pisarstwa.

Nie żeby Mort chciał zrobić ze mnie dziennikarkę. Niech Bóg broni! Nie znosił dziennikarek.

– Wstawiają się zawsze w środek opowieści. Śmiałe dziewczyny, które popisują się, jakie są odważne, udają wariatki lub pokojówki i zawsze mówią za dużo o ubraniu mordercy, za to nic o broni.

Niezbyt też cenił sobie dziennikarzy, a w newsroomie takich kiepskich nie brakowało – nie tylko pijaków, lecz także żonatych, którzy bezwstydnie próbowali zaprosić mnie na kolację. Mort ostrzegł, że jeżeli zobaczy mnie z którymś z tych drani, z miejsca wyrzuci mnie z pracy.

– Nie spodziewam się, że długo tu zabawisz, nie – przyznał. – Mądre dziewczyny zmykają stąd szybko, a ładne jeszcze szybciej, więc zakładam, że będziesz u mnie pracowała najwyżej pół roku. – A potem zapytał, czy poznałam już Sama Golda ze sprzedaży. – Miły chłopak, nieżonaty, jeden z twojego plemienia. Mogłabyś trafić gorzej.

– Nie baw się w *jente* – prychnęłam.

– Obrzucano mnie już gorszymi obelgami niż „swatka”.

Tym razem to ja zawołałam „Ha!”. Najwyraźniej Mort miał już do czynienia z Żydami.

On i ja tworzyliśmy, jakbyś to zapewne określiła, towarzystwo wzajemnej adoracji. Właśnie dlatego trzymał mnie z daleka od strony dla kobiet albo też, jak sam to nazywał, „cholernego działu kobiecego”. Mort nienawidził artykułów o strojach, gotowaniu, makijażu, przyjęciach czy herbatkach, kółkach towarzyskich i działalności charytatywnej.

– Brednie i nonsensy.

Jednak tematyka była bardzo popularna wśród czytelniczek, a lepiej urodzeni śledzili kolumnę z rodowodami mniej więcej z takim zaangażowaniem jak moi siostrzeńcy tabele wyników drużyny Red Sox.

Poza stałymi rubrykami reszta strony była pisana przez dwie kobiety w średnim wieku, które nigdy nie zdejmowały kapeluszy. Panna Flora była wysoka i otyła, a panna Katherine – wysoka i chuda. Obie potrafiły wypełnić stronę szybciej niż ktokolwiek w dziale wiadomości. I dobrze, ponieważ stron dla kobiet było coraz więcej. Mydlarnie i sklepy odzieżowe chciały zamieszczać reklamy obok artykułów, które zapewne przeczytają ich klientki. Mort zwykł mamrotać:

– Niedługo pewnie będzie trzeba zmienić nazwę gazety na „Cholerny Dziennik Domowy dla Pań”.

Jednak działu kobiecego najbardziej nienawidził jego redaktor naczelny, Ian Cornish. Przezywano go Kogut, ponieważ miał rude włosy i głos jak trąba jerychońska. Raz widziałam, jak stoi na swoim biurku i wrzeszczy:

– Jestem w piekle!

Miał około trzydziestki, ładne zielone oczy i mocny podbródek jak Cary Grant. Mnie jednak nigdy nie podobali się rudzi, bladzi mężczyźni. Kojarzyli mi się z ugotowanymi i obranymi krewetkami.

Cornish został zesłany do „kurnika”, jak nazywał ten dział, za karę – pobił się z kimś z kierownictwa dziennika. Sądził, że po paru tygodniach wróci za biurko w dziale wiadomości, ale kiedy sobie uświadomił, że utknął na dobre z paniami, zaczął przychodzić do pracy późno i nigdy nie spędzał w biurze więcej niż dwie-trzy godziny. Flora i Katherine radziły sobie ze swoją pracą tak dobrze, że nieobecność Cornisha nie robiła żadnej różnicy, kiedy jednak w gazecie doszły jeszcze dwie strony na tematykę dla kobiet, Kogut musiał również coś napisać.

Serena przez wiele miesięcy nie przekazała do gazety ani słowa, więc wprowadził nową rubrykę o kółkach towarzyskich kobiet, wspólnym czytaniu i prywatnych spotkaniach na salonach. Przypominało to trochę dzisiejsze kluby

książki, tylko bardziej formalne. Najlepsze rywalizowały ze sobą przez zapraszanie na prelekcje sławnych gości.

Cornish nazwał swoją rubrykę „Podpatrzone, zasłyszane” i pisał do niej pod pseudonimem Henrietta Cavendish. Tak naprawdę nie napisał ani jednego słowa, ściągał bezczelnie z porannych gazet, których wycinki walały się wokół jego biurka. Zachowywał się tak, jakby zachęcał do przyłapania go na tym procederze. A jednak robił to bardzo długo, więc stało się jasne, że nikt z przełożonych nie czyta jego rubryki. Nawet Mort.

Nie musiałam nic robić dla działu kobiecego. Flora i Katherine nie potrzebowały pomocy, a Cornish sam pisał na maszynie. To znaczy do dnia, gdy pojawił się w biurze z ręką na temblaku. Pobił się z kimś, kto przewał go „Mary” – ze względu na pracę w dziale dla kobiet.

Mort nie był uszczęśliwiony, że musi mnie tam posyłać. Miał cztery córki, a mnie traktował, jakbym była jego piątym dzieckiem. Uważał, że Cornish to drań. Przestrzegł go nawet, że ma się zachowywać wobec mnie jak dżentelmen albo będzie miał złamaną również drugą rękę.

Okazało się jednak, że Cornish widział we mnie tylko siłę roboczą. Wręczał mi tekst do przepisania na maszynie bez „proszę” i odbierał bez „dziękuję”. Nawet nie podnosił głowy, żeby na mnie spojrzeć.

Po raz pierwszy powiedział do mnie parę słów oprócz poleceń w dniu, gdy dał mi kartkę z eleganckiej papeterii. Trzymał ją w dwóch palcach jak brudną chusteczkę.

– Przepisz to jak najszybciej. Jej Wysokość Serena raczyła nas zaszczycić swoim humorem, ale mamy tylko dwadzieścia minut, żeby wpasować to w szpalty i zamknąć stronę.

– Cóż, Serena jest najlepszą pisarką w dziale.

Cornish wydawał się zaskoczony, że umiem mówić.

– Może i masz rację, ale jest też cholernym wrzodem na tyłku. Pisze, gdy ma ochotę, a ja muszę to znosić, ponieważ publika ją lubi, podobnie jak wydawca. Wielka szkoda, że Serena jest bogata, gdyby nie miała co jeść, mogłaby się okazać prawdziwą perełką.

Tamten artykuł nie należał do najlepszych tekstów Sereny. W większości dotyczył przyjęcia zaręczynowego młodej kobiety, zapewne przyjaciółki Tessy Thorndike, ponieważ nie zawierał ani jednego żartu czy złośliwości. Katherine albo Flora mogłyby taki napisać w pięć minut.

Wiem, że nieładnie jest cieszyć się z cudzej porażki, ale Tessa Thorndike

nigdy do mnie nie zadzwoniła, dlatego z więcej niż odrobiną przyjemności przejrzałam jej koszmary artykuł. Niezbyt to miłe z mojej strony, ale nie wykorzystasz tego przeciwko swojej kochanej babci, prawda?

Po paru tygodniach w dziale kobiecym musiałam się zgodzić z Mortem, że była to zwyczajna strata czasu – recepty na pozbycie się piegów, porady, jak uzyskać słodko pachnący oddech, „wieści” o długości spódnic i towarzyskie brednie.

Rubryka Cornisha była najgorsza – wykradzione listy „kameralnych” spotkań z niezmiennym gronem pań, które chodziły na „urocze” podwieczorki i wysłuchiwały „intrygujących” wykładów w „ślicznych” domach. Nie miało to znaczenia, „Podpatrzone, zasłyszane” było prawie tak samo popularne jak rubryka z rodowodami. Z tego samego powodu: ludzie lubią widzieć swoje nazwiska w gazetach.

Ręka Cornisha wygoiła się szybko, dzięki Bogu, ale kilka dni po moim powrocie do zwykłych zajęć Mort zawołał mnie do swojego biura. Miał w ręku słuchawkę i oznajmił, że dzwoni Cornish – jest chory, a Katherine wyjechała do umierającej matki, co znaczyło, że spędzę cały dzień w kurniku z Florą.

– Chce z tobą rozmawiać.

Kiedy wzięłam słuchawkę, Cornish zapytał:

– Czy to ty, Baum? – Był to pierwszy raz, gdy w ogóle użył mojego nazwiska. – Napiszesz dzisiaj moją rubrykę.

– Ja?

– Dlaczego nie? Jesteś mądrzejsza od małpy. – A potem wyjaśnił mi, że mam odebrać z recepcji jego egzemplarze „Heralda”, „Globe”, „Advertisera” i „Americana”. – Wyszukaj jakieś spotkanie szacownych dam i przyjrzyj się zdjęciom. Czasami możesz wziąć temat z nagłówka. Upewnij się tylko, żeby nie przekręcić żadnego nazwiska.

Było to moje pierwsze zlecenie, żebym samodzielnie coś napisała do gazety. Nie okazało się żadnym przełomowym artykułem, ale i tak byłam przejęta. Gdy zaczęłam przeglądać inne gazety, zauważyłam, że listę nazwisk układano za każdym razem w tej samej kolejności – obowiązywał porządek dziobania. Zawsze zaczynało się od najstarszych z „najstarszych rodów”: Adamsów, Cabotów, Lodge’ów, Winthropów i tak dalej, potem pojawiały się sławne nazwiska, potem organizatorzy, mężatki, osobistości stanu wolnego, a na dole stare panny w pewnym wieku, na przykład... i tutaj właśnie na nią natrafiłam – panna Edith Chevalier.

Gdy zobaczyłam jej nazwisko, poczułam dreszcz i nareszcie zrozumiałam, dlaczego ludzie tak chętnie czytają tego rodzaju rubryki. Znajomość z panną Chevalier oznaczała, że w pewnym sensie jestem związana z ważnymi wydarzeniami odbywającymi się w mieście. Dzięki temu czułam się jak prawdziwa dziewczyna z Bostonu.

Upewniłam się, że każde nazwisko zapisałam bezbłędnie, i oddałam tekst przed terminem, jednak Flora nawet nie zerknęła, tylko od razu mi go zwróciła. Okazało się, że właśnie została wykupiona jakaś duża reklama i do wydania trzeba dodać całą stronę.

– Nie mogę raczej liczyć na to, że wydłużysz mi to jeszcze o sześć cali w pół godziny? – Oczywiście nie sądziła, że sobie z tym poradzę, więc zapewniłam, że bez problemu.

Pierwsze, co zrobiłam, to dodanie tytułów wszystkich prelekcji oraz krótkiego opisu, czego dotyczyły. Uznałam nawet, że rubryka dzięki temu stała się bardziej interesująca. Przewodnicząca Ligi Praw Wyborczych dla Kobiet mówiła na temat: „Dlaczego kobiety nie głosują?”, a profesor literatury angielskiej omawiał *Ziemię jałową* T.S. Eliota. Lekarka wykladała teorię płci Zygmunta Freuda. Panna Chevalier uczestniczyła w spotkaniu, na którym emerytowana nauczycielka opowiadała o swojej podróży do Egiptu, „ilustrowanej obrazami z latarni magicznej”.

Ale nawet z tymi dodatkami nadal było za mało tekstu, a nie miałam już z czego ściągnąć. Nie zamierzałam jednak wrócić do panny Flory z podwiniętym ogonem. Zresztą wpadłam na wspaniały, jak mi się wtedy wydawało, pomysł. Podniosłam słuchawkę i poprosiłam o połączenie z działem głównym Bostońskiej Biblioteki Publicznej.

Panna Chevalier była zaskoczona, gdy się przedstawiłam. A kiedy powiedziałam, że piszę o spotkaniu jej kółka towarzyskiego dla „Boston Evening Transcript”, w jej głosie zabrzmiała radość. A potem panna Chevalier bardzo chętnie opowiedziała mi o prelekcji.

Powiedziała, że miała wrażenie, jakby „przeniosła się” w tamte strony. Kobieta, która opisywała swoją wyprawę, miała siedemdziesiąt pięć lat i podróżowała sama po całym świecie, a Egipt był jej najnowszą przygodą.

– Szkoda, że nie widziałas zdjęć tej pełnej wigoru starszej damy siedzącej na wielbłądzie tuż przy Wielkiej Piramidzie.

Notowałam wszystko, co mówiła. Zapytałam, czy mogę użyć jej komentarzy do artykułu. Zapewniłam, że nie muszę umieszczać nazwiska, mogę po prostu

napisać „Według jednej z dam uczestniczących w spotkaniu”... Ale panna Chevalier nie miała nic przeciwko temu, żebym ją zacytowała, o ile zamieszczę pełną nazwę piastowanego przez nią stanowiska: inspektor obiegu dzieł w Dziale Głównym Bostońskiej Biblioteki Publicznej.

Po wyjściu z pracy stanęłam przy tylnych drzwiach budynku „Evening Transcript” i zatrzymałam pierwszego gazeciarza, który niósł naręcze dzienników – dosłownie „jeszcze ciepłych”.

Otworzyłam gazetę i znalazłam swój artykuł dokładnie taki, jak napisałam, włącznie z wypowiedziami panny Chevalier, słowo w słowo, w rubryce „Podpatrzone, zasłyszane”... z podpisem: *panna Henrietta Cavendish*.

Powinno mi być wiadomo, że nie zostanę doceniona podpisem. Nie powinno mnie to nawet zaskoczyć. A jednak wciąż pamiętam, że poczułam się jak mała dziewczynka, której właśnie wyrwano z ręki lizaka.

1925-1926



## Ładnie to ujęłaś

Nie spodziewałam się, że ktokolwiek poza kilkoma znajomymi i samą panną Chevalier zauważy wzmiankę o niej w rubryce towarzyskiej, ale bardzo się myliłam. Następnego ranka zadzwoniło co najmniej tuzin kobiet, które chciały się dowiedzieć, dlaczego kółko czytelnicze pani Taylor cieszy się specjalnym traktowaniem. Pani Taylor osobiście również zadzwoniła, żeby zapytać, dlaczego panna Cavendish rozmawiała z „tą bibliotekarką”, skoro na salonach była panna Saltonstall.

Wydawca był zachwycony, że tak przyciągnął uwagę, i kazał Mortowi „tak trzymać”, co oznaczało więcej pracy dla Cornisha. Inne gazety nie przytaczały wypowiedzi, ale zaczęły parę tygodni po nas.

Cornish nie był zadowolony.

– Nie zamierzam rozmawiać z tymi cholernymi mądralami. Wierz mi, nie chcesz, żebym rozmawiał. Czy mój głos brzmi choć trochę jak cholernej panny Cavendish?

Mort poradził, żeby Cornish zlecił robienie wywiadów Katherine albo Florze, ale wtedy po raz pierwszy w historii gazety obie odmówiły. Panna Katherine stwierdziła, że Cornish albo żartuje, albo igra z ogniem. Panna Flora natomiast oznajmiła, że to kropla, która przelała czarę. Obie były mistrzyniami frazesów.

I właśnie tak zostałam Henriettą Cavendish. Cornish dostrzegł swoją szansę i przekazał mi nie tylko wywiady, lecz także odpowiedzialność za całą rubrykę.

– Jesteś bystrą dziewczyną – stwierdził. – Rozumiesz, jak to działa. Po prostu pilnuj, żeby wydawca był zadowolony, a wszyscy inni zostawią nas w spokoju.

Cornish miał rację, mówiąc, że nawet mała mogłaby pisać tę rubrykę. Wcale nie okazało się to takie trudne. Kiedy Cornish był w budynku, gdy skończyłam pisać, sprawdzał mi szybko tekst, a ostateczną redakcję robiła panna Katherine. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele pracy wykonuję, gdy dwa razy w tygodniu przygotowuję rubrykę, a przy tym przepisuję na maszynie inne teksty, biegam na posyłki i odbieram telefony. Do głowy by mi nie

przyszło prosić o podwyżkę.

Byłam w siódmym niebie.

Prawie każdą wolną chwilę – nie tylko w pracy – spędzałam na wymyślaniu, jak sprawić, żeby rubryka była jeszcze bardziej interesująca. Kobiety z kółek towarzyskich zaczęły z wyprzedzeniem przysyłać do redakcji biografie osób, które występowały na ich spotkaniach, a także listy gości, czasami nawet załączały menu, dostałam nawet kilka ozdobnych zaproszeń. No, w zasadzie to dostała je panna Cavendish.

Były dni, gdy czułam, że głowa mi pęknie, tyle przychodziło zaproszeń, jak wtedy, gdy każda zapowiadana prelekcja dotyczyła układania bukietów lub dobierania kwiatów. Gdyby Flora i Katherine nie pomagały mi w selekcjonowaniu i sortowaniu, pewnie udusiłabym się pod stertą przychodzących przesyłek. Ale obie starsze damy doceniały ciężką pracę i wiedziały, że nie ma nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc.

Nie prosiłam Cornisha o wolne w ciągu dnia. Traktował nas, jakbyśmy były służącymi albo dziećmi. Do mnie odzywał się tylko wtedy, gdy z góry przychodziło polecenie, że wydawca chce, aby w rubryce pojawiła się wzmianka jakiejś znajomej lub krewnej.

Czasami oznaczało to, że musiałam pisać na tak głupie tematy, że nawet sobie nie wyobrażasz. Do najgorszych należały *Naukowe dowody na istnienie wróżek*. Nie zmyślam.

Pisałam do rubryki przez miesiąc, gdy przyszła notka bezpośrednio od wydawcy, że panna Cavendish ma wziąć udział w następnym spotkaniu żon profesorów Harvardu, zorganizowanym przez jego szwagierkę.

– Wydawca nie wie, że panna Cavendish nie istnieje? – zapytałam Cornisha.

– Dziewczyno, założę się o swoją tygodniówkę, że on nigdy nawet nie spojrzał na te bazgroły z kurnika.

A potem kazał mi powiedzieć tej szwagierce, że Henrietta właśnie złapała straszne przeziębienie i wysyła mnie, swoją sekretarkę, abym zrobiła notatki. To było dla mnie jak przygoda. Nie mogłam się doczekać.

Spotkanie odbywało się w piątkowy wieczór w tej części Cambridge, której nie znałam. Czułam się jak turystka. Posiadłości na Brattle Street okazały się równie duże jak te w Rockport, ale starsze.

Znalazłam się w domu, który nie był największy, ale wewnątrz bardzo elegancki. Drzwi otworzyła pokojówka w uniformie i czepku. Wzięła mój płaszcz i zapytała o nazwisko. Dla dziewczyny wychowanej w zimnym i

ciasnym mieszkaniu było to jak przejście do innego świata – ze snu albo z filmu.

Na dworze panował chłód, ale w pokojach było gorąco i przytulnie, nie tylko dlatego, że płonął kominek. Pokój ozdabiały róże – na sofie, na dywanie, na zasłonach, nawet na filiżankach, wszędzie różowe róże.

Pokojówka zaanonsowała mnie jako Abby Brown. I to sprowadziło mnie na ziemię. Nie mogłam być Addie Baum, nawet jeżeli udawałam sekretarkę wyimaginowanej dziennikarki.

Kobiety na spotkaniu w większości były stare, ale gospodyni nie przekroczyła jeszcze trzydziestki i nosiła się modnie, co w Cambridge należało wtedy do rzadkości. I chyba nadal należy, prawda?

Nie pamiętam, jak się nazywała, ale kiedy wyjaśniłam, dlaczego przysłam zamiast panny Cavendish, gospodyni odesłała mnie z pokoju, żebym nie przeszkadzała nikomu robieniem notatek. Zachowała przy tym nienaganne maniery i uprzejmość, a mimo to poczułam się obrażona i zawstydzona, jak tamtej nocy w pensjonacie w Rockport, gdy próbowałam dołączyć do gry w szarady.

Przestałam się jednak nad sobą uzalać, gdy tylko pojawiła się mówczyni. Była to czarnoskóra kobieta z siwymi włosami i krótkim sznurem pereł na szyi. Pani Mary Holland – tego nazwiska nie zapomnę nigdy – przyszła opowiedzieć o kampanii przeciwko linczom.

Pani Holland miała życzliwą twarz, robiła wrażenie dobrej babci, ale temu, o czym mówiła, daleko było do czegokolwiek, co można łączyć z jakąkolwiek babcia. Przyszła do tych kobiet, aby nimi wstrząsnąć i zachęcić je do wsparcia jej kampanii.

Zaczęła od opowieści o statecznym, bogobojnym Murzynie, który został zlinczowany, ponieważ otworzył sklep spożywczy po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko sklepu białego. Pani Holland ze łzami w oczach opisywała słodkiego dwunastolatka zamordowanego za to, że uśmiechnął się do białej dziewczynki. Było tysiące takich historii, jak zapewniła pani Holland, a w tym setki o białych kobietach, które zostały zlinczowane za wypowiedanie się otwarcie przeciwko mordowaniu ludzi.

Mówiła żarliwie, wręcz euforycznie – znasz takie słowo? Jakby płonęła wewnętrznym ogniem. Słuchające jej kobiety praktycznie były gotowe zerwać się z krzesel. Gdy skończyła, każda z przybyłych na spotkanie zgodziła się podpisać narodową petycję i dać pieniądze, aby uczynić z linczu zbrodnię

federalną.

Pani Holland powiedziała, że wie, jak trudno jest uwierzyć, że taka potworność dzieje się w dwudziestym wieku w Ameryce. Wyciągnęła z torby dużą kopertę i oznajmiła, że ma dowód, ostrzegła jednak, żeby nie przeglądać tych zdjęć, „chyba że ma się odwagę spojrzeć na zło, do którego zdolny jest człowiek”.

Uznałam, że powinnam przyjrzeć się tym fotografiom, aby sprawdzić, czy znajdę na nich coś, co mogłabym wykorzystać w rubryce. Po pierwszej nie zdołałam już spojrzeć na następną. Na słupie – takim, na jakim się umieszcza szyldy – wisiało dwóch czarnych mężczyzn. Ich ręce były związane za plecami, stopy znajdowały się zaledwie parę cali nad ziemią. Po obu stronach powieszonych tłoczyli się biali mężczyźni, niektórzy nawet się przechylali, żeby na pewno zmieścić się na fotografii.

I jakby to jeszcze nie było dość straszne, zdjęcie zostało wydrukowane jako pocztówka. Jaki człowiek przykleiłby do tego znaczek i dokądkolwiek wysłał?

Wróciłam do swojego mieszkania, czując obrzydzenie do rasy ludzkiej. Przez cały weekend próbowałam w paru akapitach zmieścić to, czego się dowiedziałam. Byłam pewna, że Cornish wytnie mi cały artykuł, ale zamierzałam przynajmniej spróbować. Czy opowieść o kobiecie, która stara się naprawić straszne zło, nie powinna się ukazać właśnie na stronach dla kobiet?

Kiedy Cornish przeczytał, co napisałam, wręcz wybiegł do biura Morta i zamknął drzwi. Siedział tam, jak mi się zdawało, bardzo długo, a kiedy drzwi się otworzyły, Mort wyszedł ze spuszczoną głową i z moim artykułem w ręku. Zaniósł go do wydawcy, który to zlecił, jak wyjaśnił mi Cornish.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zostanę zwolniona. Jednak, choć to niewiarygodne, artykuł się ukazał. Szwagierka zdążyła już zatelefonować do wydawcy, aby się upewnić, że wzmianka o jej spotkaniu znajdzie się w gazecie. Sekretarka z góry powiedziała, że tego ranka telefon dzwonił bez przerwy, na dodatek przyszła też żona wydawcy, jak się okazało, popierająca kampanię przeciwko linczom.

Wycięto to, co napisałam o pocztówkach, nie wydrukowano też nazwisk dam, które uczestniczyły w spotkaniu. Pogrzebano tę historię. „Podpatrzone, zasłyszane” ukazywało się na stronie dla kobiet, ale tym razem umieszczono artykuł na dole przedostatniej, a większość przerzucono pod dział ogłoszeń drobnych.

Czytelnicy jednak i tak go znaleźli, po czym niektórzy zadzwonili, aby

wycofać się z prenumeraty. Jeden mężczyzna powiedział, że jego żona zemdlą, gdy przeczytała o czymś tak makabrycznym, zagroził również, że pozwie gazetę. Wierz mi, w artykule nie było nic makabrycznego, a mimo to odebrałam mnóstwo telefonów od oburzonych ludzi. Wtedy usłyszałam po raz pierwszy określenie *czarnuch*, a przecież zdążyłam już poznać sporo słów.

Jednak w tym samym czasie panna Cavendish dostała miły liścik od ważnego przywódcy unitarian z podziękowaniami za poświęcenie uwagi tej narodowej hańbie. Rektor Wellesley College oraz senator stanowy również przesłali pochwały.

Mort stwierdził, że do jutra wszystko pójdzie w niepamięć, i zapewne tak się stało, ale w moim malutkim światku było to wielkie wydarzenie. Zadzwoiła do mnie panna Chevalier, aby się upewnić, że naprawdę to ja napisałam ten artykuł. Powiedziała, że był wspaniały.

– Szkoda tylko, że nie znalazło się pod nim twoje nazwisko.

Betty kupiła pięć egzemplarzy gazety i przesłała „moją” historię do przewodniczącej Narodowej Rady Kobiet Żydowskich. Wyjaśniła mi, że rada była przeciwko linczom, nawet zanim Leo Frank, Żyd, właściciel fabryki ołówków, skazany na dożywocie za morderstwo Mary Phagan, został zlinczowany w Georgii w 1915 roku. Nie wiedziałam nawet, że moja siostra należy do tej rady.

Najbardziej jednak zaskoczyło mnie, jak to zamieszanie spodobało się Ianowi Cornishowi. Usiadł na skraju mojego biurka i zwrócił się do mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi:

– Warto czasem przyciąć skrzydełka tym głupim, napszonym kwokom.

Powiedziałam, że to wstyd, bo przecież tak wiele z mojego artykułu zostało wycięte, a wtedy uraczył mnie wykładem, że nikt oprócz autora nigdy nie wie, czego brakuje. Dodał, że każdemu się to zdarza.

– Nawet mnie.

Nie od razu się zorientowałam się, że on ze mną flirtuje.

– W tej robocie trzeba mieć grubą skórę, dlatego właśnie panie długo w niej nie wytrzymują. Zwłaszcza młode panny o tak pięknej skórze. – A potem zaprosił mnie na kolację.

Odmówiłam, ale Cornish się nie poddał. Zaczął mi prawić komplementy. Podobało mu się moje uczesanie. Powiedział, że moja czerwona apaszka jest „stylowa”. Chwalił wszystko, co napisałam.

– Ładnie to ujęłaś.

Myślę, że zgodziłabym się wyjść z nim na kawę, gdyby nie jego oddech. Niektórzy mężczyźni w dziale wiadomości bełkotali i zataczali się już przed lunchem. Cornish znosił alkohol lepiej niż wielu innych, ale wiedziałam, że nie należy zbliżać się do pijaka, nawet gdyby do picia była tylko kawa.

Mimo to nie przestawał mnie zapraszać, a ja niezmiennie odmawiałam. Aż do dnia, gdy pokazał mi zaproszenie na przyjęcie z okazji wielkiego otwarcia Metropolitan Theatre. Miał to być prawdziwy bal, ekstrawagancka impreza, jakiej Boston jeszcze nie widział. Oczywiście kandydatką do opisania takiej gali byłaby Serena, ale właśnie zniknęła. Znałam powód – Tessa Thorndike spodziewała się narodzin dziecka.

Cornish powiedział, że chce poświęcić całą stronę na „Podpatrzone, zasłyszane” z relacją o balu.

– Powinienem wysłać tam ciebie, ale nigdy wcześniej nie opisywałaś niczego tak wielkiego. Nadstawiam karku.

Sądziłam, że chce mnie wysłać na to przyjęcie, więc zaczęłam mu dziękować i obiecywać, że naprawdę się postaram i z całą pewnością go nie zawiodę.

– Chwileczkę, dziewczyno – powstrzymał mnie.

Napisałabym ten artykuł bez ujawniania, że tam byłam, czyli nie robiłabym żadnych notatek. Skupiłabym się na tym, kto był obecny i co się działo.

– Możemy wszystko ustalić przy kolacji.

Nie miałam żadnych zleceń. Cornish złapał mnie w sidła.

– Nie przejmuj się. To tylko praca – zapewnił. – Ale skoro musimy jeść, wiem, gdzie można dostać najlepsze steki w mieście.

Nie zabrzmiało to bynajmniej jak praca. Zafundowanie dziewczynie steku na kolację było drogą sprawą i większość mężczyzn spodziewała się czegoś w zamian. Jednak naprawdę chciałam napisać ten artykuł, a z łatwowierności wtedy już trochę wyrosłam. Wiedziłam, kiedy mieć się na baczności.

Powiedziałam, że przyjdę na to spotkanie.

Pod adresem, który mi podał, znajdowała się chińska pralnia, co znaczyło, że pójdziemy do jakiegoś nielegalnego lokalu. Gdyby Cornish na mnie nie czekał, pewnie bym uciekła, ale złapał mnie za ramię i zaprowadził do sali.

Do olśniewających raczej nie należała. Nie grała tu muzyka, nie było parkietu do tańca. Zobaczyłam stoły bez obrusów, naczynia nie od kompletu. Nigdy nie byłam w tak brudnym lokalu, jednak nawet w czwartkowy wieczór panował tu tłok.

Cornish zamówił dla nas herbatę, która okazała się whisky. Na dodatek



obrzydliwą.

– Może wolisz wino?

I kazał kelnerowi podać mi szklanę soku z winogron, który smakował równie paskudnie jak „herbata”. Tego też nie tknęłam, ale Cornish nie pozwolił, żeby trunek się zmarnował. Potem zamówił dwa steki. Krwiste.

– Chcę, żeby krwawiły – tak to ujął.

A do tego oczywiście następną kolejkę „herbaty”.

Próbowałam rozmawiać o gali. Zapytałam, o której godzinie powinnam tam przyjść i co zrobić, gdybym kogoś nie rozpoznała. Ale on chciał mówić tylko o sobie i własnej karierze – o swoim pierwszym dużym artykule na temat głównego wyścigu w Manchesterze, artykułach o morderstwach w gazecie w Worcesterze, pikantnym skandalu w Providence. „Transcript” był tylko kolejnym przystankiem w drodze Cornisha do Nowego Jorku. „Czasem zabaw”, jak to określił.

Gdy wreszcie podano steki, Cornish był zbyt pijany, aby pokroić sobie mięso, więc wstałam i sięgnęłam po płaszcz.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem – oburzył się. – Piję tylko dlatego, że utknęłam w tym cholernym kurniku. Gdy tylko się stąd wyrwę, będę jak ministrant.

Jeden z kelnerów podszedł i kazał mu się uspokoić albo nas wyrzuci. Cornish udał, że zamyka sobie usta małym kluczykiem.

Powiedziałam, że wychodzę, ale próbował mnie zatrzymać.

– Myślałem, że chciałaś porozmawiać o tym, jak zamierzasz zabłysnąć artykułem o tym cholernym pompatycznym przyjęciu.

Po tym wstępie zaczął mówić, jak to kobiety nie powinny pracować w wiadomościach, chociaż zasuszone stare panny, jak Flora lub Katherine, są jeszcze do przyjęcia.

– Ale ty jesteś za ładna – stwierdził.

A jeśli chciałam pisać, powinnam raczej układać sonety o drozdach albo romantyczne opowieści dla „Saturday Evening Post”.

– Tylko, na litość boską, nie pisz nigdy więcej o „biednych czarnych”. Wyjdiesz przez to na tępą idiotkę. Kolorowi nie pojmują pewnych spraw tak samo jak ty czy ja, to udowodnione naukowo, mają mózgi mniejsze od nas. – Skrzywił się. – Zresztą wszystkie te „kampanie” przeprowadzają komuniści, a to oznacza, że stoją za tym cholerni Żydzi. Gdyby im pozwolić, zniszczyliby ten kraj.



Niemal usłyszałam głos matki:

– Uśmiechają się do ciebie, ale jeżeli choć trochę się wychylisz, będą próbowali poderżnąć ci gardło.

Tyle wystarczyło. Ruszyłam do drzwi. Cornishowi udało się wstać z krzesła, zatoczył się na mnie, tak że musiałam mu pomóc pokonać próg. Potem oparłam go o latarnię uliczną. Cornish pochylił się, żeby mnie pocałować, ale gdybym go w porę nie przytrzymała, upadłby twarzą na bruk.

– Jeśli załatwisz mi filiżankę kawy, zajmę się tobą jak należy.

Kazałam mu iść do diabła.

W pobliżu zatrzymała się taksówka i wysiadło kilku chłopaków z college'u. Pośpiesznie wskoczyłam na ich miejsce. Była to moja pierwsza jazda taksówką i cieszę się, że ją odbyłam, ale – o mój Boże! – dużo mnie to kosztowało. Dosłownie. Przez tydzień nie miałam za co zjeść lunchu.

Następnego ranka Cornish znowu oparł się o krawędź mojego biurka i oznajmił:

– Musisz mi wybaczyć, że trochę się napaliłem. Dobrze, dziewczyno? Nigdy nie powinienem był mieszać wina i whisky.

Nie odpowiedziałam i od tamtej pory trzymałam się od Cornisha na dystans. Wreszcie powrócił do traktowania mnie, jakbym nie istniała. Wtedy odetchnęłam.

## Nigdy nie przepraszaj za to, że jesteś inteligentna

Nie widywałam często panny Chevalier. Niewiele miała już wspólnego ze spotkaniami kółka towarzyskiego w soboty, podobnie jak ja. Gussie nadal przychodziła regularnie, ale po tym, jak Irene wyszła za mąż, straciłam zainteresowanie.

Kiedy jednak wpadłam na pannę Chevalier po pracy, było to, jakbym zobaczyła tęczę. Oprócz odrobiny siwizny we włosach i kilku zmarszczek na twarzy niewiele się zmieniła przez dekadę. Nadal nosiła wygodne, sznurowane trzewiki, a jej uśmiech wciąż sprawiał, że czułam się, jakbym wygrała na loterii. Zapytałam o bibliotekę i pannę Green, a panna Chevalier chciała się dowiedzieć, co u mojej rodziny i czy lubię swoją pracę.

Nie wiem dlaczego, ale zamiast odpowiedzieć to, co zwykle, czyli „jest świetnie”, wybuchłam i zaczęłam opowiadać, że mężczyźni w biurze traktują mnie jak służącą, i o tym, że nienawidzę opisywania, jak pani Owsiankowa podała różowe przekąski na cześć pani Budyniowej albo kto wygrał rywalizację na najładniejszy bukiet z dali.

– Cieszę się, że nie podpisuję tej koszmarnej rubryki własnym nazwiskiem – wyrwało mi się nieoczekiwanie.

– Och, moja droga... – westchnęła panna Chevalier.

Nadal pisałam do rubryki „Podpatrzone, zasłyszane”, ale z surowym nakazem, abym trzymała się z daleka od Cambridge i wszystkiego, co „kontrowersyjne”. Miałam się skupić wyłącznie na śmietance towarzyskiej i rozmawiać tylko z organizatorkami lub przewodniczącymi kółek, co znaczyło, że każde spotkanie było „odkrywcze”, a każdy prelegent „nadzwyczajny”.

Wielokrotnie miałam ochotę podmienić wyraz „nadzwyczajny” na „nadęty”, ale obawiałam się, że wtedy stracę pracę. Nie była może idealna, ale przynajmniej w dziale informacji nigdy się nie nudziłam – zwłaszcza przy telefonach z sensacyjnymi wiadomościami, wybuchach temperamentu reporterów czy podczas zamieszania i podniecenia, gdy jakiś artykuł przychodził późno i układ całej strony trzeba było zmienić w ostatniej chwili.

Dlaczego jednak kwękałam na to swojej... Jak miałam ją określić? Mentorce?

Aniołowi stróżowi?

Przeprosiłam za ten wybuch.

– Nigdy nie przepraszaaj za to, że jesteś inteligentna – powiedziała panna Chevalier. – Zjrzysz do mnie w sobotę wieczorem. Przyjmuję w domu kilka przyjaciółek i obiecuję, że nie będzie przekąsek, ale na pewno rozmowy sprawią ci przyjemność.

Oczywiście przyszłam. Byłam ciekawa, gdzie mieszka panna Chevalier, i chciałam się przywitać z panną Green. Chociaż nigdy nie miałyśmy ze sobą bliskich kontaktów, panna Green była jedyną osobą, której zależało na Filomenie równie mocno jak mnie. Tęskniłam bardzo za przyjaciółką. Wysyłała mi co miesiąc pocztówki, więc wiedziałam, że o mnie pamięta, ale na niewiele się to zdawało, gdy ogarniało mnie przygnębienie.

Panny Edith mieszkały w starym, kamiennym domu na South End. Była to dzielnica, gdzie do większości budynków wchodziło się po schodach, a pokoje miały wysokie sufity i duże okna. Tę śliczną okolicę przecinały ulice z pasem trawy i drzewami na środku. W salonie, do którego weszłam, znajdował się marmurowy kominek, jednak z drewnianych parapetów obłaziła farba, a obicia sof były już nieco wytarte. Taki trochę styl „shabby”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Zgodnie z obietnicą panny Chevalier nie podano ani herbaty, ani ciasteczek. Były za to kanapki i kawa, co wydało mi się o wiele bardziej nowoczesne.

Żałowałam, że panna Green nie może zejść, ale się przeziębila. Kiedy jednak zobaczyłam jej obrazy na ścianach, już zaczęłam w wyobraźni układać list do Filomeny o tym, że purpurowe niebo i żółte wzgórza namalowane przez jej nauczycielkę przypomniały mi widoki z pocztówek, które dostałam z Nowego Meksyku. Pomyślałam, że kiedy Filomena o tym przeczyta, będzie musiała się uśmiechnąć.

Panna Chevalier przedstawiła mnie swoim znajomym. Zrobiły na mnie wrażenie. Poznałam przewodniczącą Bostońskiego Związku Edukacyjnego Kobiet, prowadzącą program szkół przygotowawczych w mieście, nauczycielkę historii z Wellesley College oraz lekarkę z wyraźnym niemieckim akcentem.

W salonie rozmawiano o polityce i książkach, nie padło nawet jedno słowo o daliach czy spędzaniu lata w Manchesterze. Pamiętam, jak mnie cieszyło, że starsze panie mają takie dobre przyjaciółki.

Ha! Te „starsze panie” miały zapewne około pięćdziesiątki. Gdy się ma osiemdziesiąt pięć lat, patrzy się na to zupełnie inaczej. No i wtedy już cierpi

się na artretyzm. Może powinnaś przyczepić tę perłę mądrości do tablicy. Używa się jeszcze tablic?

Nie wszystkie kobiety były „stare”. Przyszło też kilka moich rówieśnic, w wieku około dwudziestu lat. Okazały się równie interesujące – pracownica socjalna przy miejskim wydziale zdrowia, bibliotekarka, nauczycielka w szkole średniej i studentka prawa.

Kiedy się dowiedziałam, że Rita Metsky, studentka prawa, uczęszcza do Portia Law School, pochwaliałam się, że znam dziewczynę, która skończyła tam studia.

– Słyszałaś o Gussie Frommer?

– Wszystkie słyszałyśmy o Gussie – uśmiechnęła się Rita.

Jednak podczas rozmowy o naszej wspólnej znajomej nie przestawała zerkać na zegar na kominku.

– Mój brat miał wygłosić prelekcję na tym zebraniu. Powinien już tu być. Zagroziłam, że go zabiję, jeśli się spóźni. – Zmarszczyła brwi.

Wreszcie jej brat się pojawił – bez tchu i z walizką w ręce. Wyjaśnił, że pociąg z Waszyngtonu nie dotarł na czas, a potem przeproszał wszystkie zgromadzone damy z taką pokorą, jakby się spóźnił na własny ślub. Panna Chevalier kazała mu odsapnąć i napić się kawy. Mrugnął do Rity.

– Moja siostra powiedziałaaby pani, że nie zasługuję na kawę.

Nie dało się nie zauważyć rodzinnego podobieństwa między Ritą a Aaronem Metskym. Oboje byli o cztery cale wyżsi ode mnie, mieli ciemnobrązowe oczy, gęste, niemal czarne włosy i proste, wąskie nosy, tyle że nos brata był bardziej zakrzywiony, trochę jak u drapieżnego ptaka. Aaron był naprawdę przystojny.

Był prawnikiem w Narodowej Komisji Przeciwko Wyzyskowi Dzieci i podróżował po całym kraju, aby uzyskać poparcie dla uchwały o zakazie pracy dzieci. Aaron Metsky nie przyjechał jednak do panny Chevalier, żeby przekonać ją i jej przyjaciółki, że to konieczne – te kobiety wspierały każde przedsięwzięcie, które mogło pomóc biednym, a ochrona dziewczynek przed posyłaniem ich do fabryk lub wyzyskiwaniem w warsztatach stanowiła jedną z regularnie poruszanych na zebraniach spraw. Aaron pojawił się, żeby opowiedzieć, jak postępuje kampania. Nie miał jednak dobrych wieści.

Właśnie wrócił z dwutygodniowego pobytu na Południu, gdzie stany zagłosowały przeciwko wprowadzaniu tego rodzaju zakazów. Ludzie uważali, że to spisek Północy, która chce ich osłabić i doprowadzić do skrajnej nędzy.

– Wojna secesyjna jeszcze się tam nie skończyła – podsumował.

Jednak nawet na Północy farmerzy, Kościół katolicki i przeciwnicy prohibicji stawali po stronie fabrykantów zatrudniających dzieci. Powtarzali, że prawny zakaz to komunistyczny spisek, aby odebrać dzieci rodzicom.

Aaron pokręcił głową.

– Kiedy ludzie dowiadują się, skąd przyjechałem, mówią, że skoro Massachusetts głosowało przeciw, dlaczego uważam, że w Alabamie czy Missisipi będzie inaczej? Szczerze mówiąc, nie mam na to dobrej odpowiedzi.

Pracownica socjalna za moimi plecami zerwała się i wymierzyła w niego palec.

– Dam panu odpowiedź. Bert Forster, czternastolatek, który stracił wszystkie palce prawej ręki podczas pracy na polach tytoniowych w Connecticut. Albo Selma Trudeau z domu opieki Crittenton, która urodziła dziecko w wieku piętnastu lat, ponieważ jakiś mężczyzna obiecał, że ją poślubi i zabierze z fabryki.

Niemiecka lekarka dodała, że ciężka praca może wyrządzić dzieciom krzywdę, choć skutki często pojawiają się dopiero później, na przykład głuchota od hałasu maszyn fabrycznych, choroby płuc od bawełnianego kurzu albo wyczerpanie nerwowe, które może wywołać szaleństwo lub nawet doprowadzić do samobójstwa.

Mówiły o moich siostrach. Betty miała zapewne około dwunastu lat, gdy przyплыnęła do Ameryki, a Celia najwyżej dziesięć. Obie poszły do pracy praktycznie zaraz po zejściu z pokładu statku. Znajdowały zajęcie wszędzie, gdzie zaprowadził je tata, co znaczyło, że pracowały w fabryce słodyczy i fabryce butów. Gdy ojciec zaczął pracować przy prasach ciśnieniowych, nauczyły się szyć na maszynie i tułały się od jednego zakładu wyzysku do kolejnego. Levine był lepszy niż większość podobnych mu właścicieli małych zakładów, ponieważ zadbał, aby jego szwaczki miały toaletę, i nie zamykał ich na cały dzień w sali, ale dobrze pamiętałam, jaka duchota panowała tam latem.

Zaczęłam się zastanawiać, czy praca w młodym wieku odebrała Celi resztki odporności, z jaką się urodziła.

Betty była ulepiona z innej gliny, miała w sobie siłę, ale nawet ona uciekła od pracy w fabrykach, gdy tylko miała okazję. I wiem, że wolałaby raczej zginąć niż pozwolić, aby jej dzieci pracowały tak jak ona na początku. Betty i Levine nie zgodzili się nawet, żeby Jake po szkole sprzedawał gazety.

– Niech pogra w piłkę – mówiła Betty. – Niech będzie po prostu małym chłopcem.

Kiedy ja się urodziłam, było już trochę inaczej. Większość dzieci z mojej dzielnicy chodziła do szkoły, przynajmniej do trzynastego, czternastego roku życia, sporo też skończyło szkołę średnią. Wielu starszych chłopców roznosiło gazety i na pewno mnóstwo młodszych dzieciaków pracowało nocami i w weekendy, robiąc sztuczne kwiaty albo szyjąc w domu, ale nie było to tak złe jak praca w fabrykach.

\* \* \*

Dyskusja wokół mnie robiła się coraz bardziej zacięta. Panna Chevalier stała i uderzała pięścią w dłoń.

– Argumenty przeciwko temu prawu są obelżywe. Słyszysz się wypowiedzi typu: „Matka może zostać aresztowana, jeśli każe swojej siedemnastoletniej córce pozmywać naczynia”...

– Jak, na Boga, ochrona najmłodszych może być uznana za niesprawiedliwą?

Aaron chyba nie słuchał, tylko przyglądał się siostrze, która siedziała obok mnie. Rita szturchnęła mnie w żebra.

– Mój brat nie może oderwać od ciebie oczu – szepnęła.

Spojrzałam na niego. Miała rację, wpatrywał się we mnie. Kiedy podchwycił mój wzrok, uśmiechnął się, a wtedy i ja się uśmiechnęłam. Czemu nie? Był mądry. Umiał się wysławiać. Był Żydem. Na dodatek przystojnym.

Wydawał się tak doskonały, że mimo woli zachichotałam. Zaraz jednak przypomniałam sobie parszywe szczęście do mężczyzn, które mnie prześladowało, i czym prędzej poszłam sobie nalać kawy.

Gdy Aaron skończył swoje sprawozdanie, wszystkie kobiety stłoczyły się wokół niego z pytaniami i poradami. Poczekalam chwilę, żeby się przekonać, czy podejdzie do mnie, ale straciłam śmiałość i wyszłam. Byłam w połowie drogi z dzielnicy i żałowałam, że nie okazałam trochę więcej cierpliwości i odwagi, kiedy ktoś z tyłu zawołał mnie po imieniu.

Aaron biegł ze swoją walizką w jednej ręce, z płaszczem w drugiej i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Ty jesteś Addie, prawda? Rita nie usłyszała twojego nazwiska. Jestem Aaron Metsky, jej brat.

– Baum – odpowiedziałam.

– Znaczy?

– Moje nazwisko.



– Baum? – powtórzył.

Roześmiałam się, on też. A potem zapytał, czy może mnie zaprosić na kolację, jeśli jestem głodna. A może już mam plany? Czy ktoś na mnie czeka? Narzeczony? A może za wcześnie dla mnie na posiłek? Czy wiem, która godzina?

Był uroczy. Ale wciąż mówił i mówił, więc wyciągnęłam rękę.

– Miło mi cię poznać.

Uścisk miał ciepły i pewny. I nie puścił mojej dłoni. Staliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie, jakbyśmy wygrali na loterii. Wreszcie zapytałam:

– Gdzie chciałbyś pójść, żeby coś zjeść?

Zapytał, czy lubię chińszczyznę.

Powiedziałam, że chętnie spróbuję. Wyobrażasz sobie czasy, gdy nie wszyscy Żydzi uwielbiali chińską kuchnię?

Do lokalu było dość daleko, ale droga minęła nam w okamgnieniu. Nigdy tak nie rozmawiałam z mężczyzną. Nie chodziło o to, że była to rozmowa głęboka lub bardzo osobista, lecz po prostu łatwa. Przeskakiwaliśmy z tematu na temat, przerywaliśmy sobie nawzajem i wybuchiśmy śmiechem.

Aaron często powtarzał, że zakochał się od pierwszego wejrzenia, co mnie wydawało się śmieszne, gdy słyszałam to pierwsze sto razy.

Kiedy powiedział, że jesteśmy na miejscu, myślałam, że żartuje. To „miejsce” wyglądało jak opuszczona fabryka cegieł. A gdy prowadził mnie cuchnącą przecznicą, zastanawiałam się nawet, czy nie wpakowałam się w kłopoty.

Ale wiedziałam, że nie. Nie z nim.

Otworzył duże metalowe drzwi i poczułam się jak Alicja w Krainie Czarów, tyle że z pałeczkami. Sala była ogromna. Musiał się tutaj mieścić wcześniej jakiś sklep metalowy albo fabryka. Maszyn już nie było, ale widziało się ślady na drewnianej podłodze. W pomieszczeniu tłoczyli się ludzie – głównie Chińczycy – którzy siedzieli na ławach przy długich stołach, nakładali sobie jedzenie z talerzy i rozmawiali głośno. Głośniej niż moja rodzina, a to coś znaczyło.

Aaron wyjaśnił, że nie ma tutaj menu. Wystarczy wskazać na półmiski stojące w pobliżu albo pozwolić wybrać kelnerowi. Ponieważ jednak już tu bywał, zamówił chińskie pierożki – trochę jak *kreplech*, tylko lepsze – i dwa talerze siekanych warzyw, mięsa i ryżu.

Byłam zdumiona, jak wspaniale to smakuje. Może Żydzi mają w genach



uwielbienie do chińskiej sztuki kulinarnej?

Zapytałam Aarona, czy wie, co właściwie jemy.

– Nie wiem, ale na pewno nie kota.

– Kota?

Wyjaśnił, że o Chińczykach krążą wstrętne plotki, jakoby zabijali bezdomne psy i koty dla mięsa.

– To nieprawda, ponieważ często jadam chińskie potrawy, ale ani razu nie miałem potem ochoty polować na myszy.

Z każdą chwilą wydawał mi się bardziej uroczy. Na dodatek, gdy na mnie patrzył, miałam wrażenie, że unoszę się nad ziemią.

Zaproponował, że odprowadzi mnie do kamienicy, gdzie wynajmowałam pokój, ale nie chciałam, aby ten wieczór już się skończył, więc powiedziałam, że znam miejsce, gdzie można się napić najlepszej kawy w Bostonie – jeśli ma ochotę.

Oczywiście, że miał ochotę, więc ruszyliśmy do ulubionej kafejki Filomeny w North End, co oznaczało kolejny długi spacer. Kelner posadził nas przy stoliku w kącie, gdzie panowały półmrok i cisza – jakby wiedział, że wolimy być sami.

Zapytałam Aarona, czy lubi swoją pracę. Przyznał, że i tak, i nie. Komisja popełniła wielki błąd, że stworzyła prawo dotyczące wszystkich poniżej lat osiemnastu, podczas gdy stany, gdzie obowiązywały zakazy wyzysku dzieci, uchwały przepisy z wiekiem granicznym piętnaście lub szesnaście lat, a nawet niższym.

– Ale jeszcze się nie poddałem. Rodzice uważają, że powinienem wyjechać z Waszyngtonu, zamieszkać na stałe w Bostonie i dołączyć do kancelarii brata. Nazywałaby się kancelaria prawnicza Metsky i Metsky, a gdy Rita zda egzaminy, szyld zmieniłby się na Metsky, Metsky i Metsky. – Popukał się w głowę. – Gdyby była tu Rita, kazałaby mi się zamknąć i pozwolić ci mówić. – Ujął mnie za rękę. – Opowiedz mi o sobie.

Wtedy czułam się już tak swobodnie w towarzystwie twojego dziadka, że opowiedziałam mu o swoich siostrach. O tym, że były wyzyskiwanymi dziećmi i musiały pracować od razu po przybyciu do Ameryki. Przyznałam też, że po usłyszeniu uwag tej niemieckiej lekarki o problemach psychicznych, które mogą się pojawić w późniejszym wieku, zaczynam inaczej pojmować to, co się stało z Celią.

Aaron pogłaskał mnie po policzku. Wyznał, że zajął się pracą w komisji

sprzeciwiającej się wyzyskowi dzieci ze względu na matkę, która jako mała dziewczynka pracowała w tkalni bawełny.

– Była taka znana fotografia bosej dziewczynki stojącej przy wielkiej beli. Tamta dziewczynka miała takie samo spojrzenie jak moja matka przed śmiercią... Stare i puste. Moja matka zmarła na chorobę płuc. Lekarz powiedział, że przyczyną był prawdopodobnie bawełniany pył.

Aaron miał piętnaście lat, gdy stracił matkę. Ja byłam szesnastolatką, gdy umarła Celia.

Och, Avo, w tym życiu jest tyle smutku...

\* \* \*

Niedzielny wieczór był cichy, słyszeliśmy nawet własne kroki na Commonwealth Avenue. Nie czułam zimna, ale w świetle ulicznych latarni dostrzegałam parę powstającą wokół ust Aarona. Zastanawiałam się, czy będzie chciał mnie pocałować na dobranoc.

Nie było jednak żadnego pocałunku. W każdym razie nie tamtego wieczoru.

Okazało się, że jest już bardzo późno i gospodyni w moim domu zgasiła światło na ganku. Oznaczało to, że drzwi są zamknięte, a nie miałam klucza. Żadna z lokatorek nie miała. W kamienicy pani Kay obowiązywała zasada jak we wszystkich szanowanych domach – żadnych późnych powrotów. Mogłaby mnie wyrzucić za włóczenie się po nocy.

– Może pojedę tramwajem do domu siostry w Roxbury...

– Ostatni tramwaj już dawno odjechał – zauważył Aaron. – Ale moja kuzynka Ruth ma mieszkanie w Fenway. Na pewno pozwoli ci przenocować.

Dobrze, że wypiliśmy kawę, zauważył, bo nie byliśmy śpiący. Ale przez tę kawę musiałam też iść do łazienki. Oczywiście tego mu nie powiedziałam, ale kolejny spacer nie był już *tak niespieszny*, wierz mi.

Otworzyła nam dziewczyna w podomce.

– Cholera, co się stało, Aaronie? Jest prawie pierwsza w nocy.

Aaron wyjaśnił.

– Powiedz Addie, że nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Ruth zmierzyła mnie od stóp do głów, po czym uszczypnęła kuzyna w policzek.

– To prawda. Na ile go znam, to uczciwy chłopak.

Poprowadziła mnie do swojego mieszkania, w którym unosił się zapach papierosów i przypraw. Dała mi koszulę nocną, rzuciła pled na kanapę i

życzyła dobrej nocy.

Myślałam, że nie zasnę, ale ledwie zamknęłam oczy, już spałam. Pewnie zakochanie jest męczące. A może to przez te długie spacerunki.

Ruth jeszcze nie wstała, gdy się obudziłam i na paluszkach opuściłam mieszkanie. Słońce dopiero wschodziło, ale Aaron już czekał, siedział na schodach przed domem. Wciąż miał swoją walizkę, nie ogolił się i trzymał bukiet żonkili, które chyba ukradł z klombu sąsiadów.

– Boże, jaka jesteś piękna – powiedział.

A ja go pocałowałam.

## Szczęśliwy traf, mówię ci

Znasz to przysłowie, że nic nie dzieje się bez powodu i los łączy ludzi, którzy są dla siebie stworzeni? Nie wierzę w to.

Za to wierzę w szczęśliwy traf. I miałam prawdziwe szczęście, że spotkałam twojego dziadka.

Aaron mieszkał w Waszyngtonie, a w tamtą niedzielę przyjechał na zebranie panny Chevalier tylko dlatego, że Rita przypadkiem spotkała w kawiarni właśnie jedną ze swoich wykładowczyń prawa i pannę Chevalier. Panna Chevalier chciała bardziej pomóc bratu Rity, więc zapytała, czy chciałby przyjechać i pomówić z jej znajomymi. A że Aaron miał i tak w marcu przyjechać do Bostonu na Paschę...

Szczęśliwy traf, mówię ci.

Następnego wieczoru po naszym spotkaniu był pierwszy dzień Paschy, więc Aaron został na seder w Brookline ze swoimi bliskimi, a ja pojechałam do Roxbury. Niemal przez cały uroczysty posiłek matka chodziła do kuchni i tłumaczyła Betty, co robi źle, ojciec jak zwykle wbił nos w Hagadę, a Levine próbował skłonić synów, żeby się nie wiercili przy stole. A ja myślałam o Aaronie i o tym, że zaplanowaliśmy wspólne śniadanie jutro, zanim pójdę do pracy. Zapewne dużo przy tym ziewałam, ponieważ Betty zaproponowała, żebym przespała się w domu, skoro jestem zmęczona.

– Będziesz mogła rano pojechać do pracy tramwajem.

– Nie! – odparłam.

Odmówiłam tak pośpiesznie, że siostra spojrzała na mnie uważnie z wypisanym na twarzy pytaniem, co się dzieje.

Skłamałam, że muszę być w pracy wcześniej niż zwykle, i namówiłam Levine'a, żeby odwiózł mnie do domu pani Kay. Wyszłam tak szybko, że Betty nie zdążyła mnie o nic zapytać.

\* \* \*

Tamten tydzień spędziliśmy razem, na ile tylko było to możliwe. Dzięki Bogu, że nie mieszkałam wtedy z rodziną, której musiałabym się tłumaczyć, gdzie

byłam i dokąd wychodzę. Aaron powiedział rodzicom, że ma wiele spotkań w ratuszu, ale podejrzewał, że Rita domyśla się, co tak naprawdę robił.

Chodziliśmy do kawiarni i lokali ukrytych w zaułkach. Dużo spacerowaliśmy, rozmawialiśmy i często się całowaliśmy. Całowanie było przyjemne. Pasowaliśmy do siebie, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Pewnego wieczoru padało, więc poszliśmy do kina. Trzymaliśmy się za ręce przez cały film i dotykaliśmy kolanami. Cieszyłam się, że otacza nas ciemność, ponieważ uśmiechałam się i nie musiałam wyjaśniać dlaczego.

Kiedy mijaliśmy filharmonię, Aaron opowiedział mi, że matka zabierała go tutaj, gdy był jeszcze mały. Chciała, żeby jej dzieci lubiły muzykę.

Przyznałam, że zamierzałam się kiedyś wybrać na koncert, ale jakoś nigdy nie poszłam. Niczego nie sugerowałam, ale Aaron wszedł do środka i kupił bilety na następny wieczór. Przyszliśmy tam wcześniej i przyglądaliśmy się, jak szoferzy otwierają drzwi limuzyn ludziom, o których zawsze pojawiały się wzmianki w rubryce „To i owo” Sereny. Było to morze siwych głów i czarnych płaszczy, oprócz kobiety w zielonym aksamitnym okryciu, która machała do kogoś przy frontowych drzwiach. Dostrzegłam jasnoczerwone paznokcie.

Złapałam Aarona za ramię.

– Widzisz tę kobietę? To Tessa Thorndike. Przyczyniła się do naszego spotkania.

Zapytał, czy chcę podejść, żeby się przywitać.

– Nawet by mnie nie rozpoznała. Mam nadzieję, że nie będziemy siedzieć obok niej.

Aaron roześmiał się na tę uwagę.

– O to na pewno nie musisz się martwić.

Gdy nadszedł czas, żeby wejść, dobrze urodzeni jak Tessa ruszyli na dół, a ja i Aaron skierowaliśmy się na balkony wraz z innymi zwykłymi ludźmi – studentami, ekspedientkami, urzędnikami. Wypatrzyłam nawet kilka spracowanych dłoni na poręczy schodów. Słyszałam wokół rozmowy w jidysz, po włosku, niemiecku i francusku. Wszyscy wydawali się w bardzo dobrych nastrojach.

Nasze miejsca znajdowały się w ostatnim rzędzie na najwyższym balkonie, na jaskółce. Aaron wyciągnął ręce, jakby podawał mi filharmonię na tacy, a potem opowiedział, co przedstawiają posągi i ile żarówek jest w kandelabrach.

Mężczyzna w czarnym surducie wkroczył na podium i rozłożył szeroko ramiona niczym czarny morski ptak z Rockport, który suszy pióra na wietrze.

Aaron szepnął:

– To Kusewicki.

Muzyka była zupełnie inna od tej, którą słyszałam w radiu lub graną na pianinie w kinach. Niektóre wolne pasaże skłaniały mnie niemal do płaczu, ale kiedy rytm przyśpieszał, a instrumenty smyczkowe grały szybciej, serce mi waliło, jakbym oglądała wyścigi konne. Słuchałam nie tylko uszami, lecz także rękami i sercem. Nie potrafię tego lepiej opisać. To jak próbować opisać smak czekolady – lepiej po prostu spróbować i się przekonać.

Kiedy muzyka dobiegła końca, klaskałam, aż ręce mnie zaboląły.

– Cieszę się, że tobie też podoba się Mozart – powiedział Aaron.

Zaproszenie mnie do filharmonii okazało się częścią jego planu, żeby zrobić ze mnie prawdziwą dziewczynę z Bostonu. Przyznał, że jest za zimno na oglądanie meczu Red Soksów, ale za to zabrał mnie do najstarszej części Harvardu – na dziedziniec Harvard Yard, a potem pod pomnik bitwy o Bunker Hill. Aaron został nawet w Bostonie dzień dłużej, bo postanowił, że przepłyniemy się łabędzią łódką w parku Public Garden. W 1926 roku byliśmy w pierwszej łodzi.

Co roku zabierałam twoją matkę i ciotkę na otwarcie sezonu i pływanie taką łódką, gdy były małe, podobnie jak ciebie i twoją siostrę.

Wieczorem Aaron wsiadł w pociąg do Waszyngtonu, a ja wróciłam do swojego pokoju i płakałam aż do zaśnięcia. Kiedy przyszłam następnego ranka do pracy, Katherine stwierdziła, że wyglądam jak z krzyża zdjęta, i odesłała mnie do domu. Wiedziałam, że w moim ciemnym pokoiku wcale nie poczuje się lepiej, więc poszłam do Irene.

Irene rok wcześniej wyszła za mąż za Joego Rileya. Wynajmowali małe mieszkanie w North End. Poznali się w pracy, gdzie Joe był elektrykiem. Wiele miesięcy starał się zaprosić ją na randkę – Irene już wtedy skończyła z Irlandczykami – ale w końcu zdołał ją skłonić, żeby się z nim umówiła. Po prostu ukląkł przed nią i zaczął śpiewać *Let Me Call You Sweetheart* przed Bogiem i wszystkimi obecnymi. Irene przyznała, że Joe ma ładny głos, ale złośliwie dodała:

– Musiałam to przerwać.

Gdy do niej szłam, Irene była już w dziewiątym miesiącu ciąży, więc wiedziałam, że na pewno zastanę ją w domu.

Opowiedziałam jej o Aaronie i zaczęłam rozpaczać, że musiał wyjechać i jakie to straszne. Zamiast jednak trzymać mnie za rękę i pocieszać, Irene

uśmiechnęła się promiennie.

– Najwyższy czas, żebyś zakochała się w jakimś miłym chłopaku, a ten, z tego, co mówisz, wydaje się świetny. I podoba mi się jego imię. Jeżeli urodzi mi się chłopak, może dam mu na imię Aaron. Nie masz nic przeciwko?

Nie to chciałam usłyszeć.

– Ale on wyjechał. Zostawił mnie – wychlipałam.

Irene założyła ręce na piersi.

– Czy nie powiedziałaś mi przed chwilą, że przyjedzie w przyszłym miesiącu? Jeżeli uważasz, że kłamał, lepiej ci będzie bez niego.

To mnie trochę uspokoiło. Aaron był najuczciwszym i najporządniejszym człowiekiem, jakiego znałam. Jak Irene może mówić o nim w ten sposób?

Moja przyjaciółka tylko się roześmiała.

– No i dobrze. Porozmawiajmy, co mam ugotować, kiedy go do nas przyprowadzisz. Postaram się przygotować coś, od czego się nie pochorujemy. Mogłabym wysłać mu zaproszenie. Ale może lepiej ostrzeżenie.



## Tak Ci mówię

Pierwszy list od Aarona przeczytałam chyba tysiąc razy. Wymienił po kolei, za czym tęskni najbardziej: za moimi orzechowymi oczami, ślicznymi rękami i moimi czerwonymi butami. Poprosił, żebym przesłała mu listę dzieł, które powinien przeczytać – wtedy nie będzie czuł się taki głupi, gdy będę mówić o książkach i pisarzach, o których nigdy nie słyszał. Jakby Aaron był głupi. Przecież skończył studia. Został prawnikiem!

Wysyłaliśmy sobie dwa-trzy listy tygodniowo. Aaron pisał o swojej pracy i życiu w Waszyngtonie. Ja nie miałam nic ciekawego do powiedzenia o swojej pracy, więc opisywałam mu swoje przyjaciółki. Gussie zarabiała tyle pieniędzy, że kupiła duży dom w Brookline i wynajmowała pokoje dziewczętom z Simmons College, które potrzebowały taniej, ale przyzwoitej stancji.

Irene tak się nudziła w domu, że całe dni spędzała na mówieniu do swojego brzucha, a kiedy skończyły się jej tematy, zaczęła czytać na głos gazety. Żartowała, że dziecko urodzi się pewnie z logo Red Soksów.

Napisałam też Aaronowi o pocztówce przysłanej przez Filomenę z Nowego Meksyku i romansie Betty z jej nowym mikserem elektrycznym oraz o tym, że moja siostra już planuje bar micwę Jake'a, a przecież zostało jeszcze wiele miesięcy do tej uroczystości.

Zaczęłam odliczać w kalendarzu dni do powrotu ukochanego, ale wtedy dostałam od niego list, że drugi prawnik z biura zrezygnował i dopóki nie znajdzie się następcą, Aaron nie może przyjechać do Bostonu, czyli jeszcze co najmniej przez miesiąc, może dłużej. Przeprosił za to trzy lub cztery razy i zapewnił, że czuje się okropnie.

*On się czuł okropnie?* Wstrzymywałam oddech w oczekiwaniu na ponowne spotkanie, a teraz nawet nie wiedziałam, kiedy to nastąpi! Zaczęłam nawet myśleć, że Aaron wcale nie jest taki uczciwy i porządny. Przecież wystarczy sobie przypomnieć, jaka byłam głupia, gdy spotykałam się z Haroldem i Erniem. I co właściwie wiedziałam o panu Metskym? Może po prostu poznał inną dziewczynę w Waszyngtonie?

Odpisałam, bardzo uprzejmie dziękując, że mnie uprzedził. Chyba dodałam też, że „tego kwiatu jest pół świata”, ale czekam na jego kolejny list czy coś w tym guście.

Cóż, Aaron zrozumiał wiadomość i jego następny list liczył trzy strony o tym, jak bardzo za mną tęskni, jak bardzo nienawidzi tego, że jest tak daleko, i jak mu przykro, że przez niego czekam tak długo. Zapewnił, że zaczął pracować do późna co wieczór i powiedział swojemu szefowi, że musi wziąć kilka dni wolnego, żeby zająć się sprawami rodzinnymi.

Zakończył przemiłym postscriptum: „Ucieszyłem się, że zamówiłaś naleśniki podczas naszego wspólnego śniadania, bo tylko to umiem przygotować. I będę ci robił naleśniki codziennie przez całe Twoje życie – wystarczy, że tak mi powiesz”.

Nie wiem, ile razy czytałam to postscriptum, zanim dotarło do mnie, co napisał. Mój list z odpowiedzią zawierał tylko trzy słowa: „TAK CI MÓWIĘ”.

Mniej więcej tydzień później, gdy wróciłam z pracy, moja gospodyni czekała przy drzwiach. Zamachała mi przed nosem świstkiem papieru i oznajmiła z wyrzutem, że omal nie dostała przeze mnie ataku serca. W tych czasach telegramy wysyłało się głównie, żeby powiadomić o czyjejś śmierci.

– Otworzyłam tylko, żeby sprawdzić, czy powinnam przygotować dla ciebie sole trzeźwiące – tłumaczyła się. – Niektórzy marnują na to pieniądze.

Aaron napisał w telegramie: „Powiedz Irene, że będę u niej w piątek”.

Wszyscy czworo świetnie się bawiliśmy przy kolacji. Irene przygotowała pyszne potrawy. A na deser kupiła w piekarni szarlotkę. Powiedziałam, że smakuje niemal tak dobrze jak ta pani Morse.

– Och, nie – jęknęła moja przyjaciółka. – Gdy Addie zaczyna zachwycać się tamtą szarlotką, nie można jej powstrzymać.

– Ale ja chętnie posłucham, co Addie mówi o szarlotce – zapewnił Aaron.

Joe mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Chłopak wpadł po uszy.

– Winny, wysoki sędzie – przyznał się Aaron.

\* \* \*

Aaron musiał wracać do Waszyngtonu w niedzielę rano, więc mieliśmy dla siebie właściwie tylko jeden dzień.

Chciałam zabrać go do Rockport, ale trwałoby to za długo, więc pojechaliliśmy pociągiem do Nahant i przez parę godzin spacerowaliśmy po

plaży. Rozmawialiśmy o tym, gdzie moglibyśmy się pobrać i ile dzieci chcemy mieć, a potem zdecydowaliśmy, że nie powiemy naszym bliskim, dopóki Aaron nie przeprowadzi się do Bostonu. Planował, że zamieszka tutaj przed świętem Czwartego Lipca albo jeszcze wcześniej, o ile uda się znaleźć kogoś, kto go zastąpi.

Właśnie tamtego dnia podarował mi złoty medalion, który zawsze noszę. W środku jest wygrawerowana data: 29 marca 1926 roku. Dzień, w którym się poznaliśmy.

Wiesz, gdyby jedna z moich córek oznajmiła, że zamierza wziąć ślub z mężczyzną, którego poznała przed tygodniem, zamknęłabym ją w pokoju. Ale ja i Aaron nie byliśmy już dziećmi. Miałam dwadzieścia pięć lat, a on dwadzieścia dziewięć. Byliśmy całkowicie pewni. I jak się okazało, mieliśmy rację.

Aaron nie powiedział swoim rodzicom, że w weekend był w mieście. Tylko Ruth wiedziała. Przenocowała go na sofie w piątek, a wieczorem w sobotę została u przyjaciółki, żebyśmy mogli pobyć sami, tylko we dwoje, przez całą noc.

I na tym zakończę ten epizod.

## Przynajmniej nie cierpiała

Odliczałam dni do czwartego lipca i starałam się wymyślić, jak przedstawić Aarona rodzinie. Kiedy powinnam powiedzieć Betty i czy lepiej, żeby to ona uprzedziła mamę, że w piątek na kolacji zjawi się gość, czy też mam po prostu przyprowadzić go do domu w niedzielę po południu?...

Aaron nie pisał już tak często, ale się tym nie przejmowałam. Wiedziałam, że pracuje dodatkowo, żeby odejść z przekonaniem, że skończył swoją misję, jak należało.

Wszystko układało się świetnie do połowy czerwca, wtedy jednak gospodyni mojej kamienicy zmarła we śnie.

– Przynajmniej nie cierpiała – powtarzały wszystkie lokatorki i właściwie nic innego nie mówiły.

Nie chodziło o to, że pani Kay była nielubiana, właściwie nikt o niej nic nie wiedział, nawet starsze panie, które wynajmowały od niej pokoje od dziesięciu lat. Gospodyni była wdową i nie miała dzieci – nic więcej nie wiedziano.

Był to chyba najszybszy pogrzeb, w jakim uczestniczyłam. Przyszły tylko lokatorki i dwóch krewnych. Nie wygłoszono nawet mowy pogrzebowej. Po nabożeństwie krewni poprosili, abyśmy wszystkie przyszły po południu na spotkanie do salonu.

Stawiłyśmy się zgodnie z prośbą. Nie czekała na nas kawa ani ciasteczka, ponieważ okazało się, że to nie *szywa*. Krewni chcieli się z nami spotkać w interesach. Oznajmili, że sprzedają dom i mamy dziesięć dni na wyprowadzkę.

Jedna ze starszych pań zemdląła, a inne wyglądały, jakby również zaraz miały paść bez zmysłów. W Bostonie nie zostało wiele domów z pokojami do wynajęcia dla kobiet, a czynsze zwykle były wysokie. Poza tym, co można znaleźć w tydzień?

Niektóre z kobiet mogły się zwrócić o pomoc do krewnych, ale pięć było chyba zupełnie samych na świecie. Zapewne zamierzały opuścić dom w podobny sposób jak gospodyni – nogami do przodu. Przez ścianę swojego pokoju usłyszałam ich płacz.

Sąsiadka z naprzeciwka zatrzymała mnie w korytarzu i błagała o pomoc.

– Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić – przyznała.

Nie miałam pojęcia, jak pomóc tym starszym paniom, ale pomyślałam, że może panna Chevalier będzie wiedziała, i do czasu, gdy musiałyśmy się wyprowadzić, znalazło się pięć łóżek w budynku YWCA, organizacji samopomocy kobiet na Berkeley Street.

Czułam się zawstydzona, gdy starsze panie dziękowały mi ze łzami w oczach.

– Przecież to pani im pomogła, ja nic nie zrobiłam – oburzyłam się potem.

Panna Chevalier oznajmiła:

– Oczywiście, że powinny ci dziękować. Ulitowałam się nad nimi i wiedziałam, do kogo się zwrócić. To więcej niż połowa zwycięstwa, a tobie udało się wygrać dla nich tę bitwę.

Dla mnie strata pokoju nie była żadnym utrudnieniem. Aaron i ja zamierzaliśmy wziąć ślub jesienią, więc musiałam przemieszkać u rodziny tylko kilka miesięcy. I wcale nie było mi przykro, że opuszczam ten ciemny i śmierdzący dom.

W dniu wyprowadzki siedziałam na schodach i czekałam na Levine'a, który miał mnie zabrać samochodem. Na myśl, że będę mieszkała znowu z matką pod jednym dachem, czułam się, jakbym ponownie miała piętnaście lat – innymi słowy, beznadziejnie. Wtedy jednak przyszedł listonosz i wręczył mi list od Aarona. Takie głupie przypadki zwykle zdarzają się tylko w powieściach. Ucałowałam kopertę. Omal nie ucałowałam również listonosza. Byłam znowu w siódmym niebie, dopóki nie wyjęłam listu.

*„Droga Addie,  
mam nadzieję, że nie będziesz się gniewać, ale...”*

Aaron jechał do Minnesoty, żeby sprawdzić, czy uda się uzyskać poparcie dla zakazu wyzyskiwania dzieci w St. Paul. Tylko cztery stany jak dotąd ratyfikowały to prawo, a komisja rozpaczliwie potrzebowała kolejnego sukcesu. Aaron zapewnił, że to tylko parę tygodni, może miesiąc. Resztę listu stanowiły przeprosiny. „Wybacz mi, kocham Cię. Wkrótce będziemy razem. Przepraszam, nie gniewaj się”.

Nie gniewałam się, o nie... Byłam wściekła. Czy nie powiedział, że to walka z wiatrakami? Czy nie byłam ważniejsza niż przegrana sprawa? Kto wie, jak długo Aarona nie będzie i na jak długo utknę w Roxbury z matką dyszącą mi w kark na każdym kroku?

Napisałam do niego wściekły list i podarłam. Napisałam mu list z lamentami i śladami łez, po czym również podarłam. W końcu wysłałam pocztówkę do hotelu, gdzie Aaron się zatrzymał.

„Drogi Panie Metsky, proszę przysyłać listy dla panny A. Baum do panny Henrietty Cavendish na adres «Boston Evening Transcript»”. Nie wykazałam się taktem, ale mogło być gorzej.

\* \* \*

Powrót do domu w Roxbury był jak cofnięcie się w czasie. Betty mieszkała na górze ze swoją rodziną, a ja na parterze z rodzicami. Zdawało się, że nic się nie zmieniło, chociaż nic nie było takie samo.

Najbardziej zmienili się chłopcy – wszyscy wyrosli, zmądrzeli i zrobili się bardziej hałaśliwi. Matka nazywała ich dzikimi zwierzętami – *vilde chajas* – i powtarzała, że Betty nie jest dla nich wystarczająco surowa. Jednak Jake, Eddy, Richie i Carl zachowywali się po prostu jak normalne, zdrowe dzieci, mieli dobre stopnie i słuchali poleceń matki. Zawsze też cieszyli się z wizyt cioci Addie, zwłaszcza Eddy. Lecz kiedy już pochwaliłam, że są tacy duzi, i kiedy opowiedzieli mi, co robią w szkole, niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Przypominałam przyjazny księżyc, który krążył wokół ich małego świata pełnego przygód.

A ojciec, choć mieszkał na dole, trzymał się jeszcze bardziej na dystans. Miałam wrażenie, że nawet nie umie odróżnić swoich wnuków. Nigdy nie pokochał żadnego z nich tak jak Lenny’ego. Rzadko ich zresztą widywał, bo do domu wracał tylko po to, żeby zjeść i się przespać.

Kiedy tate zrezygnował z pracy, zrobił dokładnie to, co poradził mu Levine – spędzał dni w synagodze, gdzie wraz z Avrumem i grupką starszych mężczyzn studiował księgi. Nazywaliśmy ich *alter kokers*. Dzisiaj powiedzielibyśmy „emeryci”.

Czasami przyłączał się do nich rabbi, a pewnego dnia zapytał, czy tate zechciałby uczyć chłopców przygotowujących się do bar micwy. Rodzice chętnie by za to nawet płacili.

Chyba właśnie wtedy spełniły się marzenia mojego ojca. Poszedł do fryzjera, a potem poprosił Betty, żeby pomogła mu wybrać nowy garnitur, ponieważ „mężczyzna, który ma uczyć Tory, nie może wyglądać jak nędzarz”. Jego zachowanie w domu wcale się nie zmieniło, ale trzymał głowę wyżej. Można by nawet powiedzieć, że czuł się szczęśliwy.

Mame zmieniała się najmniej. Wciąż sprzątała, gotowała i narzekała. Nie chciała nawet tknąć pralki Betty, bo uważała, że „ta maszyna” niszczy ubrania i nie wypierze się ich tak dobrze jak na tarze, a później jęczała, że od prania bołą ją plecy. W ogródku za domem hodowała kapustę – gorzką i twardą jak piłki bejsbolowe. Nikt jej nie jadł, ale mame twierdziła, że przynajmniej jest świeża i „co wy tam wiecie”.

Gdy zamieszkała w Roxbury, mame częściej wychodziła z domu. Może dlatego, że nie miała żadnych sąsiadów za ścianą, a może dlatego, że w pobliżu jeździło niewiele samochodów. Początkowo chodziła także po zakupy, ale wyrzucono ją ze sklepu warzywnego, gdy oskarżyła właściciela, że oszukuje na wadze. A rzeźnika tak zmęczyła narzekaniem, że dał jej tłuste mięso, że on też nie chciał widzieć mame w swoim sklepie.

W końcu moja matka mogła chodzić tylko na targ rybny, gdzie miała znajomą, żonę właściciela, kobietę cichą jak ryba. Obie uznały, że krewny przyjaciółki mame będzie dla mnie idealnym mężem – wszak to mężczyzna z dobrej rodziny, który również dobrze zarabia.

- Ma tylko trzydzieści dziewięć lat i jest gotów się ustatkować.
- Waży dwieście funtów i nie należy do bystrzaków – dodała Betty usłużnie.
- Zostaw Addie w spokoju, mamo.
- Ona też nie jest jakąś wyjątkową zdobyczą. Nie z takimi łydkami – prychnęła mame, jakby nie było mnie wcale w pokoju.

Ani Betty, ani ona nie wiedziały jeszcze o Aaronie. Nie martwiło mnie, jak zareagują, gdy go przedstawię: czemu miałby się im nie spodobać Żyd z dobrym zawodem i z porządnej rodziny? Ale dopóki nie stał obok mnie, nie zdołałabym chyba wymówić jego imienia na głos, bo rozplakałabym się jak dziecko.



## Nie mam wyboru, Addie

Właściwie lubiłam swoją pracę, bo nigdy się w niej nie nudziłam.

Panna Flora oznajmiła, że odchodzi i zostanie naczelną redaktorką strony dla kobiet w „Cincinnati Enquirer”. Oniemiałam. Myślałam, że panna Flora jest dla Bostonu jak pomnik George’a Washingtona w Public Garden – stała i niezmienna.

Gdyby była mężczyzną, Cornish na pewno rozumiałby, dlaczego chce prowadzić własny dział. Jednak gdy się dowiedział, stwierdził tylko, że najwyższa pora i że to właśnie dowodzi, jak bardzo kapryśne są kobiety, więc nie nadają się do dziennikarstwa. Następnego ranka po jej odejściu znalazłam Cornisha pod jego biurkiem. Gdy wytrzeźwiał, oznajmił Katherine, że ma przejąć obowiązki Flory i wykonywać przy tym własną pracę.

Katherine pomaszerowała do biura Morta i oznajmiła stanowczo, że nie odejdzie, ale tylko jeżeli dostanie awans i podwyżkę oraz mnie na pełnoetatową asystentkę. Cornish nazwał to „wygórowanymi żądaniem” i uznał, że Katherine należy od razu zwolnić, ale Mort spełnił jej warunki bez oporu.

Niewiele wiedziałam o Katherine i Florze. Nie wychodziłyśmy razem po pracy, jak to robili mężczyźni. Katherine więcej pracowała, a Flora więcej mówiła. Dopóki Katherine nie zajęła się stroną dla kobiet, nie miałam pojęcia, ile spraw wzięła sobie na głowę.

Kazała wszystkim zwracać się do siebie „panno Walters”, a mnie tytułować panną Baum.

– Ty i ja możemy mówić sobie po imieniu – dodała. – Jednak dlaczego inni mieliby tak się do nas zwracać, skoro sami żądają, aby mówić im per pan? Nie jesteśmy ich służącymi.

Miała rację, ale nikt w dziale wiadomości nie zamierzał nazywać mnie „panną Baum”. Kiedy zaczynało się jako „ty, dziewczyno”, raczej nie należało liczyć, że nagle to się zmieni.

Katherine – panna Walters – zapewniła, że nadal będę pisała do rubryki „Podpatrzone, zasłyszane”, ale chciała też trochę więcej opowieści o młodszych damach z towarzystwa, a zwłaszcza o ich strojach. Przyniosła stertę

magazynów „Vogue”, z których nauczyłam się zupełnie nowego słownictwa, obejmującego takie wyrazy jak „organdyna”, „peplum”, „ukośne cięcie”, „zapaski”.

Dzięki temu, co przeczytałam, inaczej też spojrzałam na to, co nosiła Katherine. Wcześniej nie zauważyłam, zapewne dlatego, że ubierała się głównie na czarno, jednak uświadomiłam sobie, że zawsze stosowała się do najmodniejszej „sylwetki” – kolejne nowe słówko – a sukienki z obniżoną talią doskonale pasowały na tak wysoką kobietę jak ona.

Nikt nie nazwałby Katherine Walters ładną – miała dziwnie płaską twarz, a jedno oko nieco wyżej niż drugie. Gdy Flora odeszła, Katherine zdjęła kapelusz, obcięła włosy i nieoczekiwanie przemieniła się w kobietę nietuzinkową i stylową, co wydawało mi się o wiele lepsze, niż gdyby miała być tylko ładna.

Powiedziała, że mogę też wrócić do pisania o interesujących zebraniach i prelekcjach, ale nie „o czymś tak bardzo niepokojącym jak tamten artykuł o Murzynach”. Przyznała, że takie artykuły są potrzebne, ale nie powinny ukazywać się na stronie dla kobiet. Poradziła, żebym zainteresowała się pracami Związku Kobiet Wykształconych i Pracujących oraz paniami z zarządu filharmonii.

– Na pewno ci się spodoba.

I rzeczywiście miała rację.

Niestety musiałam także pisać artykuły „z poradami”, które stanowiły specjalność Flory – jak schudnąć, jak wyczyścić lodówkę, jak zrobić domowym sposobem krem do rąk, przygotować stolik na popołudniowego brydża lub madzonga, naprawić pończochy tak, żeby nie było widać... Nie było to trudne, ale wymagało nauczenia się wielu rzeczy, które wcale mnie nie interesowały.

Katherine umiała dopilnować, żeby wszystko szło gładko, więc Cornish mógł wrócić do swoich wcześniejszych nawyków – pojawiania się późno w pracy, czytania gazet, żartowania z reporterami i wychodzenia wcześniej. Katherine trzymała się od niego z daleka, ale zgłosiła stanowczy protest, kiedy zobaczyła, że przynoszę mu poranną kawę.

– Panna Baum ma dość nowych obowiązków, więc nie może już być pańską osobistą służącą. Proszę, aby pan o tym pamiętał.

Cornish był zbyt zaskoczony albo miał zbyt dużego kaca, żeby wymyślić odpowiednio ciętą ripostę. Gdyby jednak wzrok mógł zabijać...

Po tym incydencie w ogóle nie rozmawiał z Katherine. Jeżeli koniecznie musiał jej coś przekazać, zostawiał pogniecioną notatkę na jej biurku albo informował ją przeze mnie.

– Powiedz tej tyczce, że trzeba dzisiaj skrócić tekst o dziesięć cali.

Musiałam się uśmiechnąć na określenie „tyczka”, co sprowokowało Cornisha do wymyślania kolejnych zabawnych przezwisk dla Katherine: Panna Tyczka, Żyrafa, Bostońska Iglica. Zaczął je nawet wygłaszać na tyle głośno, żeby usłyszał każdy w newsroomie. Reporterzy nieźle się przy tym bawili, dopóki Cornish nie użył określenia Monumentalna Suka.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. I nie chodziło o to, że ci mężczyźni nie używali takich lub jeszcze gorszych słów, ale istniały pewne zasady, kiedy i w jakich okolicznościach było to dozwolone.

Katherine ignorowała żarty Cornisha, jednak w tamtej chwili odezwała się słodkim, arystokratycznie zjadliwym tonem:

– Mój Boże, Ianie. Brukasz sobie usta takimi słowami, a potem całujesz swoją matkę?

Wywołało to gromki śmiech, a reporter policyjny, który jak cała reszta nie stronił od plugawych i wulgarnych wyrazów, zapytał:

– Mam przynieść mydło, żeby wyszorować mu usta, panno Walters?

Po tym wydarzeniu moja praca przypominała chodzenie po polu minowym. Katherine zagroziła, że mnie zwolni, jeżeli będę na posyłki „tego człowieka”. Jednak gdy tylko wychodziła z sali, Cornish wysyłał mnie po czasopisma albo butelkę aspiryny i groził, że mnie wyleje, jeżeli nie wykonam polecenia.

Co gorsza, w mieście panowały koszmarne upały i wilgoć. W newsroomie znajdowały się tylko trzy okna od strony ulicy, a kiedy po południu świeciło w nie słońce, założyłem się, że w pomieszczeniu temperatura podnosiła się do trzydziestu pięciu stopni. A przy tym nie było tam żadnych wiatraków ani klimatyzacji... No i mężczyźni, którzy tam siedzieli, nie myli się codziennie.

\* \* \*

Listy Aarona stanowiły najlepsze chwile mojego życia. Zaczynały się zawsze od: „Moja droga panno Cavendish, mam nadzieję, że ten list znajdzie Panią i personel gazety w dobrym zdrowiu”.

W pierwszym liście nie było wzmianki o mojej złośliwej pocztówce – Aaron naprawdę wykazał się taktem, ale też nie przeprosił, że wyjechał w siną dal. Opisywał swoją podróż na zachód i zadanie, aby porozmawiać z każdym

stanowym legislatorem, który skłaniałby się choć trochę do zakazu wyzysku dzieci. Przyznał też, że najlepsze naleśniki jadł w hotelu w St. Paul, i zamierza przekupić kucharza, żeby dostać przepis.

Listy kończył zawsze: „Szczere i na zawsze Pani oddany, A. Metsky”.

Po paru tygodniach listy stały się mniej radosne. W St. Paul panowały równie koszmarne upały jak w Bostonie, w pokoju hotelowym można się było udusić, większość serwowanego jedzenia była bez smaku, a sam Aaron czuł się niewidzialny.

Wybranie się do Minnesoty w lecie okazało się wielkim błędem – nie odbywały się wtedy sesje legislatury stanowej i większość reprezentantów wróciła na swoje farmy rozrzucone po całym stanie.

Aaron jeździł z dostawcami mleka, żeby pozyskać ewentualne poparcie, ale nabawił się tylko otarć i drzazg od siedzenia na drewnianych skrzynkach oraz ukąszeń komarów, które, jak przysięgał, były większe od trzmieli.

Wysłał telegram do swojego biura, że równie dobrze mógłby wrócić, ale szef kazał mu zostać i wyszukać opowieści o wyzyskiwanych dzieciach, Aaron miał też wygłaszać prelekcje w stowarzyszeniach kobiet oraz na zgromadzeniach przykościelnych. Twój dziadek twierdził, że ten, kto potrafi wzruszyć do łez salę pełną matek, może dla sprawy zebrać też armię.

Opowieści było mnóstwo. Przez sześćdziesiąt lat dzieci wysyłano do Minnesoty „sierocym pociągiem”. Sama idea opierała się na dobrych intencjach – miał to być sposób, aby zapewnić porzuconym dzieciom lepsze życie w rodzinach farmerskich. Pobyt na otwartej przestrzeni i świeżym powietrzu był przecież lepszy niż tłoczenie się w biednym sierocińcu, prawda?

Niektórym z tych sierot farmerzy zapewniali dobrą opiekę i miłość, ale bardzo wiele nie miało tyle szczęścia i nietrudno było takie dzieci znaleźć. Aarona poruszyła rozmowa w kawiarni z młodym mężczyzną. Ten chłopak znalazł się w pociągu, gdy miał dwanaście lat, a jego brat Frank pięć. Pamiętał, jak dzieci ustawiono na peronie w szeregu, a jakaś kobieta wybierała te najmłodsze, z niebieskimi oczami i ze zdrowymi zębami – jak właśnie Frank – mężczyźni zaś wyszukiwali większych i silniejszych chłopców, których mogli od razu posłać do pracy. Tamtemu młodzieńcowi z kawiarni kazano zapomnieć o swojej dawnej rodzinie i zacząć od nowa, ale on wciąż pamiętał młodszego brata, więc uciekał, żeby go odnaleźć. Nauczył się dobrze ukrywać, gdy został kilka razy złapany.

Pozostało wiele dzieci z sierocego pociągu wciąż mieszkających u rodzin,

które je przyjęły, lecz niełatwo było z nimi porozmawiać.

Aaron natrafił na dziewczynę, Marthę, gdy tylko wysiadł z pociągu na stacji za St. Paul. Rozładowywała worki mąki i cukru, jakby zawierały tylko puch, choć wcale nie była większa ode mnie.

Martha miała szesnaście lat. Zakonnice odesłały ją do pociągu jako ósmiolatkę. Tak trafiła do rodziny Olsenów. Nie tęskniła za rodzicami w Nowym Jorku. Gdy matka odeszła, ojciec oddał córkę do sierocińca.

– Zatrzymał moich braci – dodała. – Powiedział im, że nie wiedziałby, co zrobić z dziewczynką.

Kiedy Aaron zapytał, czy jest szczęśliwa ze swoją rodziną z Minnesoty, Martha odparła, że Olsenowie nie są jej rodziną. Ale nie byli tacy źli jak inni, o których słyszała. Nigdy nie bili Marthy, dostawała dużo jedzenia i nowe buty, gdy zdarła stare. A nawet, gdy raz była chora, posłali po doktora. Ale zmusili ją, aby przestała chodzić do szkoły, gdy miała dziesięć lat, i zawsze mówili do niej „dziewczyna”, np. „Niech dziewczyna poda mleko”.

Aaron stwierdził, że traktowali Marthę jak coś pomiędzy zwierzęciem hodowlanym a córką.

Martha pracowała w kuchni, gdzie przygotowywała trzy posiłki dziennie dla parobków. Zimą ręce jej krwawiły od zmywania naczyń.

Nabrała też zwyczaju sypiania z nożem pod poduszką na wypadek, gdyby któremuś z pracowników sezonowych przyszło coś głupiego do głowy, ale tak naprawdę obawiała się swoich „starszych braci”, którzy nie dawali jej spokoju. Martha wyjaśniła także, że pani Olsen nie wierzyła, że jej synowie mogliby zrobić coś złego.

Trudno się czytało takie listy, ale Aaron pisał w nich także o miłości. Pokazywał mi, jaki jest, co skrywa w sercu. Im więcej się o nim dowiadywałam, tym mocniej go kochałam. A przy tym otworzył mi oczy na to, co działo się wokół mnie. Zaczęłam dostrzegać chłopców i dziewczynki, którzy powinni uczyć się szkole, ale zamiast tego sprzedawali gazety, pucowali buty, zamiatali chodniki albo dźwigali kosze z praniem. I wtedy czułam dumę z tego, co starał się osiągnąć Aaron.

\* \* \*

Nie mogłam zostawiać listów w domu, bo matka wciąż wchodziła do mojego pokoju – przewieszala ubrania, ustawiała po swojemu książki, nawet ponownie składała bieliznę w szufladach. Kiedyś zapytałam, czy szuka czegoś wśród

moich niewymownych. Odpowiedziała, że nie lubi takiego bałaganu we własnym domu i nie powinnam się nią przejmować, chyba że mam coś do ukrycia.

Trzymałam więc listy Aarona w pracy, w dużej kopercie pod stertą czasopism w dolnej szufladzie biurka. Codziennie rano wchodziłam pierwsza do redakcji, więc mogłam przejrzeć pocztę i zabrać listy do panny Cavendish. Czasami zostawiałam szufladę otwartą, tylko po to, żeby zerkać na pismo Aarona.

Pewnego dnia jednak, gdy otworzyłam szufladę, nie znalazłam w niej koperty. Szybko przeszukałam biurko Cornisha, domyśliłam się bowiem, że tylko jemu mogło na niej zależeć. Wykorzystałby te listy, żeby narobić mi kłopotów albo do szantażu i zapraszania mnie na kolację czy inne wyjście. Ale też mógłby je po prostu spalić z czystej złośliwości.

Na szczęście Katherine złapała mnie, zanim przyszedł ktoś jeszcze.

– Ja je mam – oznajmiła.

Katherine dla bezpieczeństwa zabrała kopertę z listami do domu. Powiedziała, żebym przyszła do niej po pracy.

– Przygotuję kolację, a ty opowiesz mi wszystko o panu Metskym.

Miała niewielkie mieszkanie w Fenway, niedaleko ulicy, gdzie mieszkała kuzynka Aarona, Ruth. Jednak mieszkanie Katherine było jak pudełko na biżuterię – ciemnoczerwony dywan na podłodze, jasne draperie na ścianach, szyfonowe szale zwisające z abażurów.

– Większość pochodzi z Maroka – powiedziała. – Kupiłam je podczas miesiąca miodowego.

Nawet nie wiedziałam, że miała męża.

– Przecież kazałaś się tytułować *panną* Walters.

– Jestem wdową. On zginął na wojnie. – Katherine zamilkła. – Nie lubię o nim rozmawiać z obcymi.

Zawsze powinnaś być życzliwa dla ludzi, Avo. Nigdy nie wiadomo, jakie smutki noszą w sercu.

Kolacja okazała się bardzo egzotyczna. Nigdy nie słyszałam nawet o hummusie, picie, oliwkach z papryką i jakby siekanej sałacie. Katherine sama była dość egzotyczna – buddystka, socjalistka i feministka. Zamierzała zwiedzić wszystkie czterdzieści osiem stanów i jak dotąd była już w dwunastu, także w Nowym Meksyku.

Kiedy opowiedziałam jej o Filomenie w Taos, przyznała, że to jedno z jej



ulubionych miejsc.

– Musisz kiedyś je zobaczyć. Ty i Aaron.

Potem przeprosiła, że przeczytała moje listy.

– Początkowo zajrzałam tylko, żeby sprawdzić, czego szukał Cornish, ale nie mogłam się oderwać. Od dawna nie czytałam nic równie szczerego i czułego. Masz szczęście, dziewczyno.

Zaraz jednak zmieniła temat.

– Ale co z biedną Martha? Co za okropna historia. Myślałaś, żeby o tym napisać?

Chyba czytała mi w myślach. Martha była jak bohaterka tych krótkich opowiadań zamieszczanych w czasopismach kobiecych – smutna, odważna dziewczyna w kłopotach, w których znalazła się nie ze swojej winy. Kiedy jednak przyznałam, że myślałam o zmianie losów Marthy w fikcję literacką, Katherine stwierdziła, że powinnam to opisać jak dziennikarka.

– W takiej formie będzie bardziej poruszające. Lewis Hine zmienił nastawienie wielu ludzi dzięki swoim zdjęciom dziewczynek z fabryk. Opowieść o Marcie może mieć podobną siłę.

Długo o tym rozmawiałyśmy. Katherine powiedziała, że lokalny dziennik nie zamieści artykułu na taki temat, ale są czasopisma, które to zrobią. Następnego dnia poszłam do biblioteki i przeczytałam trochę periodyków takich, jak „La Follette’s”, „The Atlantic Monthly” i „The Nation”. Napisałam do Aarona i zapytałam, czy mogłabym opisać historię Marthy, ale tak, żeby dziewczyna nie została rozpoznana. Nie masz pojęcia, jaką ulgę poczułam, gdy odpisał, że jak najbardziej, ponieważ wtedy już sporo poczytałam o sierocych pociągach i naszkicowałam pierwszą wersję artykułu.

Byłam całkowicie pochłonięta losem Marthy, miałam też głębokie poczucie, że pomagam Aaronowi w ratowaniu dzieci przed złym traktowaniem. Przepisywałam i poprawiałam swój artykuł nie wiem ile razy, zanim pozwoliłam Katherine go przeczytać. Powiedziała „dobra robota”, a potem kazała mi go poprawić dwa razy, zanim uznała, że tekst jest gotowy.

Pozwoliła mi jednak zatrzymać pierwotny tytuł artykułu: *Oblicze człowieka po zmianach w dwudziestym wieku*.

Zaniósłam tekst najpierw do „The Atlantic Monthly”, ponieważ chciałam zacząć od najlepszych, na dodatek redakcja miesięcznika mieściła się w Bostonie. Dziewczyna w recepcji odprawiła mnie krótko.

– Nie publikujemy artykułów nieznanymi autorów – stwierdziła.



Poświęciłam tej opowieści tyle czasu i trudu, że miałam ochotę zapytać: „Wydaje ci się, że kim, do cholery, jesteś?”, ale udało mi się opanować i zachować uprzejmość. Opowiedziałam recepcjonistce, o czym traktuje artykuł i jak ukazuje wyzysk dzieci, oraz dodałam, że nie czytałam nic o podobnej tematyce w żadnej gazecie.

Uprzejmość się opłaciła. Dziewczyna wzięła artykuł i wyznała, że jej matka zaczęła pracować jako jedenastolatka.

– Nawet dzisiaj żałuje, że rzuciła szkołę. Osobiście położę ten artykuł na biurku naczelnego.

Kiedy wróciłam tydzień później, ta sama dziewczyna wręczyła mi artykuł z przeprosinami.

– Mówiłam, że gazeta nie publikuje nieznanych autorów.

Katherine powiedziała, że odrzucenie to część pracy w tej branży, i kazała mi spróbować w „The Nation”. Znała tam jednego z redaktorów. Dwa tygodnie później artykuł został opublikowany. Co chwila otwierałam egzemplarz tylko po to, żeby zobaczyć swoje nazwisko na stronie.

Autor: Addie Baum.

Nigdy nie czułam się bardziej dumna.

Wysłałam egzemplarz Aaronowi – oczywiście przesyłką poleconą. Irene i Joe byli pod ogromnym wrażeniem i pytali, co zamierzam opisać w kolejnym artykule. Gussie kupiła tuzin egzemplarzy, bo – jak stwierdziła – wiedziała, że mam talent.

Katherine zabrała mnie na kolację, żeby uczcić publikację, a panna Chevalier zadzwoniła, żeby zapytać, czy chciałabym opowiedzieć o tym na jednym z jej popołudniowych zebrań w niedzielę.

– Pamiętam jeszcze, że całkiem dobrze sobie radziłaś z występem przed publicznością.

Chciałam pochwalić się również rodzinie. Betty rozgłosiłaby mój sukces w dzielnicy i we wszystkich kółkach oraz stowarzyszeniach, do których należała. Nawet rodzice zapewne byliby trochę pod wrażeniem. Może. Ale ponieważ nie wiedziałam, jak wyjaśnić, skąd wiedziałam o bohaterce artykułu, bez wspomnienia znajomości z Aaronem, postanowiłam jednak z tym poczekać.

Chodziłam wniebowzięta przez cały tydzień i chyba wcale się nie kryłam ze swoją radością, ponieważ Betty zaczęła mnie wypytywać, czy kogoś poznałam, Eddy stwierdził, że ślicznie wyglądam, a matka zapytała: „Od kiedy umiesz gwizdać?”.

Byłam w takiej euforii, że kiedy Mort poprosił mnie do swojego gabinetu, myślałam, że dostanę podwyżkę. Kiedy jednak wskazał mi krzesło naprzeciw biurka, zrozumiałam, że mam kłopoty. Siadanie tam nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

Zwykle uczucia Morta łatwo było wyczytać z jego twarzy, ale nie tym razem. Powiedział, że Cornish zobaczył mój artykuł w „The Nation” i wysłał egzemplarz właścicielowi „Evening Transcript”.

– Coś ty sobie myślała, Addie? – zapytał Mort. – Na pewno czytałaś wstępniak w naszej gazecie przeciwko tym poprawkom, uznaliśmy je za spisek przeciwko prawom stanowym, świętości rodziny i tym podobne. A twój artykuł to jak splunięcie właścicielowi w twarz. Przez całe popołudnie musiałem tłumaczyć się przed kierownictwem. Omal nie wyleciałem.

Zapewniłam, że nie chciałam ściągać na nikogo kłopotów, zwłaszcza na niego.

– Dam sobie radę, ale sporo się namęczyłem, żeby przekonać właściciela i powstrzymać go przed zwolnieniem Katherine Walters. Zapewniłem go, że o niczym nie wiedziała. I nie chcę słyszeć, że było inaczej, jasne?

Przeprosiłam. Zapytałam, czy mogę coś zrobić. Może powinnam napisać list do właściciela z zapewnieniem, że w całości ponoszę winę za ten artykuł?

Mort pokręcił głową.

– Dlaczego, do cholery, podpisałaś się własnym nazwiskiem? Gdybyś użyła pseudonimu, na przykład Sally Smith, osiągnęłabyś to samo, a do tej rozmowy w ogóle by nie doszło. Myślałem, że jesteś sprytniejsza.

Wyglądał, jakby właśnie umarł mu pies.

– Nie mam wyboru, Addie. Muszę cię zwolnić.

## To chłopak cioci Addie

Nie powiedziałam rodzinie, że zostałam wylana. Betty wypytywałaby o szczegóły, a Levine poprosiłby, żebym znowu zaczęła pracować u niego. Przede wszystkim jednak nie chciałam zobaczyć na twarzy mojej matki miny: „Nie jestem zaskoczona”.

Następnego ranka wyszłam z domu, jakby nic się nie zmieniło. Najpierw poszłam na pocztę i powiadomiłam Aarona telegramem, żeby nie wysyłał więcej listów na adres gazety. Potem odwiedziłam Gussie w kancelarii, żeby poprosić o pomoc w znalezieniu pracy. Było bardzo wcześnie, więc kancelaria nie była jeszcze otwarta. Oparłam się o ścianę, żeby poczekać, i chyba zamknęłam oczy, ponieważ po ich otwarciu Gussie stała przede mną.

– Addie, co się stało? Ktoś umarł?

Zapytała też, czy chcę aspirynę albo herbatę. Powtarzałam, że wszystko w porządku, ale Gussie uparła się, że powinnam przynajmniej napić się wody. I dobrze, bo mogłam się wtedy rozejrzeć po jej biurze.

Wspomniałam, jak Gussie wtedy się ubierała? Proste garsonki, płaskie buty, żadnej szminki. Jednak jej kancelaria wyglądała jak pokój w Ritzu. Na wszystkich fotelach leżały wyszywane poduszki, ściany zdobiły obrazy z kwiatami. I nawet abażur lampki na jej biurku był różowy. Trudno mi było zachować twarz pokerzystki, gdy wróciła i zapytała, co się stało. A że Gussie to Gussie, poddała mnie prawdziwemu przesłuchaniu. Znała mój artykuł z „The Nation”, ale o Aaronie powiedziałam jej tylko, jak się poznaliśmy i że korespondujemy ze sobą. Gussie widywała Betty na zebraniach Hadasy, ochotniczej organizacji kobiet żydowskich. Nie chciałam, żeby Gussie się wygadała, wolałam sama opowiedzieć o moim związku z Aaronem. I wcale nie dlatego, że Gussie była plotkarką, po prostu czasami emocje rozwiązywały jej język.

Kiedy skończyłam opowiadać, oburzyła się. Dotknęłam ją. Rozgniewała się, że jej nie zaufałam. Zresztą, co ja sobie myślałam? W końcu od czego ma się przyjaciółki?

A potem, zanim zdążyłam otworzyć usta, żeby przeprosić, zapytała, czy

chciałabym popracować u prawnika, który ma biuro na końcu korytarza. Jedna z jego sekretarek właśnie zwichnęła nadgarstek i potrzebował pomocy.

Właśnie taka była Gussie – pewna siebie i gotowa oddać własną koszulę potrzebującym.

Jeszcze tego ranka zostałam sekretarką u prawnika, a chociaż przepisywanie na maszynie umów i listów było o wiele mniej interesujące niż praca w gazecie, za mniej godzin zarabiałam o wiele więcej pieniędzy niż w redakcji „Transcriptu”.

Na swoim biurku u prawnika miałam telefon. Gussie dzwoniła co parę godzin, żeby sprawdzić, jak sobie radzę, i opowiedzieć, co właśnie wpadło jej do głowy. Tak samo dzwoniła, gdy pracowałam jeszcze w gazecie, dopóki nie powiedziałam, że wylecę, jeżeli nie przestanie.

Gussie jak nikt inny uwielbiała telefony. Miała aparat nie tylko w kancelarii, lecz także w domu, a kiedy tylko w sprzedaży pojawiał się nowy model, od razu go kupowała. Twierdziła, że wcześniej czy później każdy będzie miał telefon, i nie mogła się doczekać tej chwili.

Betty i Levine też założyli sobie telefon w domu, ale chyba używali go tylko do dzwonienia do siebie za dnia. Wieczorami nikt nie dzwonił, więc gdy Betty zeszła i oznajmiła, że ktoś do mnie dzwoni, wiedziałam, że to Gussie.

Okazało się, że tym razem Gussie nie chce się ze mną podzielić jakimś pomysłem czy zaprosić mnie jutro na lunch. Dostała wiadomość od Katherine Walters, która chciała, abym odwiedziła ją jutro w mieszkaniu po pracy. Zanim się rozłączyła, Gussie dodała jeszcze:

– I masz mi potem wszystko opowiedzieć.

Modliłam się, żeby Katherine czekała z listem od Aarona, a kiedy otworzyłam mi drzwi z kopertą w dłoni, niemal zatańczyłam na progu.

– Zauważ, że nie otworzyłam koperty – uśmiechnęła się. – Chociaż mnie kusiło.

Aaron był w drodze do domu. Musiał zatrzymać się w Waszyngtonie, żeby spakować swoje rzeczy, ale potem jak najszybciej zamierzał jechać do Bostonu. „Najwyżej dwa tygodnie”, napisał. Na stemplu pocztowym widniała data prawie sprzed tygodnia, co oznaczało, że Aaron może się zjawić lada moment. Oznaczało to również, że wyruszył, zanim dostał mój telegram o zwolnieniu z pracy.

Pozwoliłam Katherine przeczytać list. Przyznała, że nie może się doczekać, kiedy pozna tego młodego człowieka, ale miała też dla mnie inne wieści.

– Chciałam, żebyś dowiedziała się ode mnie osobiście, nie z pogłosek.

Cornish przyłapał ją przy przesyłkach, gdy zabierała list od Aarona do panny Cavendish.

– Kiedy kazał mi oddać, wsunęłam list za dekolt, życzyłam mu dobrego dnia i złożyłam rezygnację.

Byłam przerażona.

– Straciłaś przede mną pracę?

Katherine zapewniła, że nie mam z tym nic wspólnego.

– To była tylko kwestia czasu. Cornish i tak by mnie zwolnił, a ja od dawna byłam gotowa do odejścia.

A potem dodała, że pomaganie mi przy artykule o wyzysku dzieci sprawiło, że coraz trudniej było jej pisać o kapeluszach i fryzurach.

– Tym bardziej że tyle się teraz dzieje. Muszę robić coś ważnego. Komitet obrony Sacca i Vanzettiego potrzebuje osoby, która podczas rozmów z prasą nie zachowuje się jak niebezpieczny wariat. Kogoś takiego jak ja.

Pomimo że Katherine powtarzała, że cieszy się z odejścia z redakcji „Transcriptu”, czułam się odpowiedzialna za jej zwolnienie. Na dodatek praca dla ludzi Sacca i Vanzettiego mogła się okazać niebezpieczna. Właśnie przegrali apelację w nowym procesie, dochodziły też wieści o zamachach bombowych. Co bardziej zapalczywi zwolennicy tej organizacji mówili, że podkładanie bomb to dobry pomysł.

Bardzo się potem martwiłam. Jak poradzi sobie Katherine? Co będzie, jeśli ludzie od wyzysku dzieci znowu zatrzymają Aarona w Waszyngtonie? A jeżeli potrafi go samochód?

Siedziałam w pokoju i doprowadzałam się do szaleństwa. Wtedy jednak przyszła Betty i oznajmiła, że mam kolejny telefon.

– Jak tak dalej pójdzie, będziesz musiała mi płacić jako swojej sekretarce.

Kiedy jednak weszłam do jej mieszkania, słuchawka była na widełkach.

– Wróciłam, Hermanie! – zawołała Betty.

– Idę! – odkrzyknął Herman, ale w drzwiach stanął Aaron.

Najpierw zaniemówiłam. Wreszcie jednak zdołałam wykrztusić:

– Dlaczego tu jesteś?

Roześmiał się.

– A jak myślisz?

Rozpłakałam się, więc Aaron mnie objął, ale po chwili się cofnęłam, żeby na niego spojrzeć.

– To naprawdę ty.

Wtedy oczy mu się zaszkliły, a ja zaczęłam się śmiać.

Levine i Betty oraz ich chłopcy przyglądali się naszemu powitaniu. Eddy zapytał:

– Czy ciocia Addie jest smutna, czy szczęśliwa?

– Bardzo szczęśliwa – odpowiedziała Betty. – To chłopak cioci Addie.

Aaron, nie przestając mnie obejmować, postawił sprawę jasno i oficjalnie.

– Jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu, chcę zostać jej mężem.

Betty pisnęła i rzuciła się mnie obejmować. Levine uścisnął Aaronowi dłoń, a potem nalał obu resztki z butelki ukrywanej whisky. Prohibicja jeszcze się wtedy nie skończyła. Mój szwagier uniósł szklaneczkę.

– *Mazel tow* i obyście byli razem tak szczęśliwi jak ja i moja żona.

## Jak on się nazywa?

Betty uważała, że moja znajomość z Aaronem jest bardzo romantyczna. Nawet się nie gniewała, że niczego wcześniej nie powiedziałam. Moja siostra uznała, że piątkowa kolacja to najlepsza pora, żeby przedstawić mojego narzeczonego rodzicom. Zapowiedziała mamie, że Levine przyprowadzi młodzieńca, brata któregoś ze swoich znajomych od interesów.

– Prawnika – dodała Betty. – Levine sądzi, że to kawaler wart uwagi.

Ledwie to powiedziała, do kuchni wmaszerował Eddy.

– Mówisz o wujku Aaronie? Obiecał, że pogra z nami w piłkę, gdy znowu tu będzie.

Gdyby Betty była matką, która bije swoje dzieci, Eddy pewnie by oberwał, ale tylko szybko zmieniła temat, a synowi kazała iść na podwórko się pobawić.

Moja matka jednak ani myślała zignorować to, że spotykaliśmy się za jej plecami. Aaron zaczął z minusem na koncie.

Z ojcem też nie poszło łatwo, zwłaszcza gdy usłyszał, że rodzina Aarona należała do Świątyni Izraela.

– To świątynia, nie *szul*. Moja stopa nigdy tam nie postanie.

– Przecież już tam byłeś – zauważyłam. – Na ślubie Betty.

– I raz wystarczy.

Jake'owi udało się nieco go udobruchać. Ojciec uczył go do bar micwy i był to chyba pierwszy raz, kiedy ci dwaj spędzali ze sobą więcej czasu. Tate twierdził, że Jake jest bystrym i poważnym uczniem, a Jake zaczął go nazywać *rab* Baum. Kiedy więc Jake zapewnił, że Aaron to dobry człowiek, dla dziadka trochę się to liczyło.

Nie cieszyłam się z tej kolacji. I tak zamierzałam poślubić Aarona, nieważne, czy to się spodoba rodzicom. Oczywiście nie chciałam, żeby go znienawidzili, ale chyba bardziej się martwiłam, co Aaron pomyśli o moich rodzicach, niż odwrotnie. Nigdy nie bierze się ślubu tylko z jedną osobą, w pakiecie dostaje się całą rodzinę.

Gdy tylko pojawił się Aaron, Betty od razu posadziła nas przy stole – żadnych uprzejmych rozmów na powitanie. Zapaliła świece, a Tate odmówił



*kidusz*, zerkając przy tym na Aarona, jakby sprawdzał, czy ten obcy wie, kiedy się włączyć. Wiedział. Gdy podaliśmy sobie chałkę, tate dał się nieco ugłaskać i pochwalił Aarona za dobrą znajomość jidysz.

Jednak mame spoglądała na niego jak na chorą krowę, którą chce się jej oszukańczo sprzedać. Kręciła głową, gdy Aaron ujął łyżkę lewą ręką, i krzywiła się, gdy rozłożył serwetę na swoich kolanach. Dla mame leworęczni byli nieuczciwi lub pechowi, albo i to, i to, a robienie z serwetą czegokolwiek innego poza wycieraniem w nią ust stanowiło niemal obelgę.

Uśmiechnęła się nawet złośliwie, patrząc na krawat, który Aaron kupił specjalnie na to spotkanie – chciał zrobić dobre wrażenie.

Betty bardzo się starała, aby tak się stało.

– Tate, wiesz, że kuzyn Aarona jest znanym lekarzem w szpitalu Beth Israel?

– A jego brat to bardzo dobry prawnik – dodał Levine.

Mame udawała, że niczego nie słyszała, a potem zapytała Betty:

– *Was iz zane nahmin?* Jak się nazywa? Gdzie pracuje? – Jakby Aaron od początku posiłku nie rozmawiał z ojcem w jidysz.

– Michael Metsky to jeden z największych prawników od nieruchomości w mieście. Świetnie mu się powodzi. Zawieraliśmy z nim umowy – powiedział Levine.

Mame wzruszyła ramionami.

– To tylko brat.

Aaron roześmiał się, ale mnie chciało się krzycheć. Czy celem życia mojej matki nie było wydanie mnie za mąż za kogoś właśnie takiego jak Aaron?

Poszłam do kuchni zrobić kawę i trochę ochłonać. Kiedy wróciłam, Aaron siedział na podłodze i bawił się z chłopcami.

– Patrz, jak dobrze sobie radzi z dziećmi – rzuciła Betty. – Będzie wspaniałym ojcem.

Matka nie zwróciła się do nikogo w szczególności, ale powiedziała dość głośno:

– Oni myślą, że jestem głupia.

Jak daleko sięgam pamięcią, mame zawsze mamrotała do siebie pod nosem. Szeptła zaklęcia, które miały chronić przed złym okiem, i kwękała, że Betty nigdy nie robi tak jak należy gorącej herbaty. Jednak z wiekiem jej słuch się pogorszył, więc już nie szeptła. W tamtym czasie można ją było usłyszeć z innego pokoju.

– I nic nie zjadł. Co z nim jest nie tak? Mięso zrobiła trochę suche, ale nikt lepiej ode mnie nie umie przygotować marchewki. Gdy się przychodzi z wizytą, to się je.

Betty próbowała ją uciszyć, ale mame tego nie zauważyła.

– I odrzuciła właściciela sklepu? A ten nawet nie ma pracy.

Eddy nie wytrzymał.

– *Bubbi*, dlaczego mówisz do solniczki? – zapytał.

Chyba to ją obudziło.

– Chodź, weź sobie kompot.

– Pani Baum – odezwał się Aaron. – Mój ojciec ma sklep z narzędziami. Pracowałem u niego, gdy dorastałem. Ale ojciec chciał, żebyśmy skończyli college. Chyba liczył na to, że któreś z jego dzieci zostanie lekarzem lub aptekarzem, ale twierdzi, że mimo wszystko jest dumny ze swoich prawników.

– Siostra Aarona też uczy się na prawnika – dodała Betty.

– Prawnik to nie praca dla kobiety – warknęła mame, a potem wymierzyła palec w Aarona. – Zjedz przynajmniej owoce, młodzieńcze.

Odprowadziłam Aarona po kolacji i zaczęłam przeproszać za jedzenie – rzeczywiście było przesuszone – i za matkę. Ale Aaron uznał, że poszło całkiem nieźle.

– Twój ojciec był dla mnie miły. Betty i twój szwagier stoją za nami murem. I mają świetnych chłopaków. Ośmioro z dziewięciorga to nie taki zły wynik. I może, o ile wyliżę talerz następnym razem, twoja matka też się do mnie przekona.

Aaron nigdy się nie poddawał, gdy chodziło o innych. Czasami doprowadzało mnie to do szaleństwa, ale to się przydaje w życiu.

\* \* \*

W następną sobotę zostaliśmy zaproszeni na kolację przez rodzinę Aarona. Betty obiecała, że utrzyma mame w ryzach.

– Pewnie się denerwowała, gdy go poznała, zresztą każdy w gościach stara się być bardziej uprzejmy.

Stłoczyliśmy się w samochodzie Levine’a i ruszyliśmy na Brookline. Pamiętasz tamten dom, prawda? Tuż za rogiem ulicy, gdzie urodził się JFK?

Frontowy ogródek u Metskich wyglądał zupełnie inaczej niż pozostałe w sąsiedztwie. Nie było tam trawnika, lecz klomby i róże pnące się przy werandzie. Zupełnie jak w pensjonacie w Rockport.

Kwiatami zajmowała się Mildred Metsky. Była macochą Aarona i stanowiła przeciwieństwo złych macoch z baśni. Murray Metsky poślubił ją pięć lat po śmierci pierwszej żony, matki Aarona, troje dzieci kochało ją szczerze, a Mildred odwzajemniała to przywiązanie w dwójnasób.

Otworzyła drzwi i uściskała nas, jakbyśmy byli dawno utraconymi krewnymi. Rodzina Metskych w ogóle lubiła się obejmować – i Aaron, i jego ojciec oraz siostra Rita. Nawet brat, Michael, choć trochę sztywniak, uściskał każde z nas. Moja matka wyglądała, jakby ją kot polizał, a kotów szczerze nienawidziła.

Kiedy usiedliśmy do stołu, mama zapytała o nazwisko koszernego rzeźnika, u którego Mildred kupiła mięso. Nie знаła tego miejsca. Pochyliła się do ojca i szepnęła na tyle głośno, że każdy usłyszał:

– Dziwnie pachnie, co?

– To rozmaryn, pani Baum – wyjaśnił Aaron. – Mama hoduje wszystkie zioła w ogródku.

– Czyli zioła i kwiaty – skomentowała mama. – Ja uprawiam kapustę i ziemniaki. Coś, co można jeść.

Bogu dzięki, że Mildred niewiele rozumiała w jidysz.

Rita i Mildred rozplęwały się w pochwałach nad chłopcami, a Betty tylko tego pragnęła słuchać. Podczas rozmowy okazało się, że Levine i Michael mają wielu wspólnych znajomych. Murray i mój ojciec wyszli na ganek zapalić cygaro. Aaron i ja trzymaliśmy się pod stołem za ręce.

Kiedy Mildred podała kawę i ciasto, Murray wstał i wygłosił mowę, jak się cieszy, że Aaron mnie poznał.

– Kiedy wyjechał do Waszyngtonu, obawiałem się, że znajdzie tam dziewczynę i nigdy nie wróci. Kiedy wyjechał do Minnesoty, martwiłem się, że tam spotka swoją przyszłą żonę i nie będzie chciał zabrać jej od rodziny.

Dodał jednak, że darzy mnie sympatią z wielu powodów, nie tylko dlatego, że jestem dziewczyną z Bostonu. Przede wszystkim Aaron jest ze mną szczęśliwy, do tego jestem bardzo miła, a poza tym mój ojciec to *chacham*, uczony, a jego wnuki to nadzwyczajne dzieci. Murray pogroził mi również palcem jak niegrzecznej dziewczynce.

– Ci chłopcy potrzebują teraz kuzynów, żeby mieli się z kim bawić.

Przysięgłam sobie, że nigdy tak nie zawstydzę własnych dzieci. I nigdy tego nie zrobiłam, przynajmniej nie przy ludziach.

Kiedy wychodziliśmy, rodzina Metskych znowu zaczęła nas obejmować.

Trwało to trochę, ponieważ każdy musiał uściskać każdego. Jakby uważali, że po drodze do Roxbury rozbijemy się o górę lodową i znikniemy na zawsze.

Mama nienawidziła tego „obłapiania”. Kiedy wracaliśmy samochodem, mruknęła:

– Myślałam, że chcą mi wsadzić ręce do kieszeni.

Dla mnie też było to dziwne, ale szybko przywykłam.

Pamiętasz, jak ścigałam twoją siostrę po domu, żeby zdobyć minimalną wymaganą liczbę uścisków? Mówiłam, że jeżeli nie dostanę stu uścisków, odlecę w niebo jak Mary Poppins i nigdy mnie nie zobaczy. Przestałyśmy się w to bawić, kiedy zaczęłyście chodzić do szkoły, ale nigdy nie zapominałyśmy się uściskać.

No, popatrz tylko, robię się jak Metsky!

Chciałam ślubu takiego, jak miała Betty, małego, szybkiego i prostego, ale to nie wchodziło w grę. Przede wszystkim gabinet rabina nie pomieściłby krewnych Aarona, więc „mały ślub” odpadał. Może by się udało przynajmniej zachować prostotę, ale na pewno ceremonia nie mogła odbyć się szybko, choćby dlatego, że w październiku zaplanowano bar micwę Jake’a, a Betty już tonęła w przygotowaniach na tę okazję.

W tamtych czasach bar micwa nie przypominała tych dzisiejszych przyjęć w hotelach, z salą jadalną i kwiatami, ale nawet wtedy była to ważna uroczystość. Betty chciała, aby wypadła doskonale. Wypróbowała mnóstwo przepisów na strudel i ciasteczka, odmalowała jadalnię i kupiła nowe zasłony do salonu. Wszyscy musieli mieć nowe ubrania, więc Levine zabrał Jake’a do centrum, żeby kupić mu pierwszy dorosły garnitur, z długimi spodniami i kamizelką. Jak powiedziałam – ważna uroczystość.

Rankiem w dzień bar micwy mame wstała z łóżka lewą nogą. Zwykle zrywała się pierwsza. Zawsze zdążała wypić herbatę i umyć kubek, zanim tata albo nawet ja pojawiliśmy się w kuchni. Jednak jak na złość tego dnia nie włożyła jeszcze butów, gdy już musieliśmy wychodzić. Kiedy zapytałam, czy dobrze się czuje, odpowiedziała takim tonem, jakbym ją obraziła:

– A czy ja choć raz chorowałam?

Gdy wreszcie dotarliśmy do synagogi, która znajdowała się tylko trzy przecznice dalej, mame praktycznie powłóczyła nogami i mocno wspierała się na moim ramieniu. Zamknęła oczy, gdy usiadłyśmy w ławach. Byłam pewna, że zasnęła, ale kiedy tata zaczął śpiewać błogosławieństwo, usiadła prosto. A gdy Jake recytował swoją część z Tory, uśmiechała się promiennie.

– Czy nie jest cudowny? – szepnęłam.

– Niezły – zgodziła się mame.

Jake wciąż wyglądał jak mały, pulchny chłopiec, ale wypadł wspaniale. Nie zająknął się ani nie zwolnił tempa, wyrecytował wszystko wyraźnie i głośno. Byłam z niego tak dumna, że miałam łzy w oczach, a Betty omal nie zemdląła ze szczęścia. Zrozumiesz to, gdy doczekasz się własnych dzieci – nic nie równa

się temu uczuciu dumy i szczęścia, gdy twoje dziecko stanie przed tłumem i zabłyśnie. Tak samo się czułam, gdy twoja mama wygłaszała przemowę po zakończeniu szkoły średniej, a potem na bat micwie każdej z was.

Po nabożeństwie wszyscy zeszli na ciasto i wino. Moja matka nie chodziła już jak staruszka, której trzeba pomagać. Poruszała się na tyle szybko, żeby uniknąć większości Metskich i ich uścisków, a kiedy ktoś zapytał, czy jest dumna z wnuka, prychnęła:

– Oczywiście, że jestem! Jakże by inaczej?

Choć raz nie wspomniała, że Jake nie jest tak naprawdę jej wnukiem.

\* \* \*

Aaron i ja nie śpieszyliśmy się na przyjęcie w domu Betty. Jesienny dzień był piękny, orzeźwiająco chłodny, ale i słoneczny. Aaron rozrzucał butami liście, a ja zrobiłam bukiet z czerwonych i złotych – zachowywaliśmy się jak para dzieciaków. Cudownie się czuliśmy sam na sam, mieliśmy też sporo do omówienia.

Ktoś z Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci z Massachusetts dowiedział się, że Aaron przenosi się do Bostonu, i zaproponował mu pracę. Michael jednak namawiał brata do pozostania w jego kancelarii. Gdyby Aaron się postarał, za rok lub dwa moglibyśmy kupić dom.

Aaron pracował w firmie Michaela od powrotu do Bostonu, ale nienawidził tej pracy. Pisanie umów i spieranie się z bankierami sprawiało, że stawał się ponury i złośliwy. Wcześniej nigdy go takim nie widziałam.

Jednak po jednym spotkaniu z komitetem działającym na rzecz dzieci od razu się rozpoznał.

– To ci sami ludzie, którzy założyli Komisję Narodową do Spraw Dzieci – oznajmił. Byli jego bohaterami. I chcieli, żeby z nimi pracował, zajął się przygotowaniem dla rządu lepszego prawa, które pomogłoby dzieciom i rodzinom. Dla Aarona było to spełnienie marzeń i wiedziałam, że nie przyjął tej posady tylko z jednego powodu – nie zarabiałby tyle, co w prywatnej kancelarii. Powiedziałam mu jednak, że co mi z domu, skoro będę w nim mieszkać z ponurakiem?

Nietrudno było go namówić do robienia tego, czego pragnął. Zresztą ja też pracowałam.

Gussie, niech ją Bóg błogosławi, znalazła mi pełny etat w Simmons College. Gdy tylko usłyszała, że sekretarka zastępcy rektora odchodzi, zadzwoniła do

niego i powiedziała, żeby nie męczył się z szukaniem następnej. Betty żartowała, że spełniło się moje życzenie – nareszcie pójde do college'u. Jednak to wcale nie był taki żart, ponieważ po pracy mogłam za darmo uczestniczyć w zajęciach.

Gdy zdecydowaliśmy, że Aaron przyjmie pracę, o której marzył, nie mógł się już doczekać, kiedy powie naszym rodzinom, że ustaliliśmy datę ślubu. Sama marzyłam o tym, żebyśmy wzięli ślub jak najszybciej, ponieważ za każdym razem, gdy wracałam do domu rodziców, miałam wrażenie, że zakładam gorset.

W mieszkaniu Betty panował tłok. Zaprosiła sąsiadów, przyjaciół Jake'a i całą rodzinę Aarona. Michael zaskoczył wszystkich i przyprowadził Lois Rosensweig, kobietę, z którą spotykał się od pięciu lat. Rita powiedziała, że nigdy nie przychodził z Lois na rodzinne spotkania.

– Cały Michael. Teraz, gdy Aaron wreszcie się zaręczył, założę się, że Michael też się niedługo oświadczy.

Levine biegał między gośćmi z nowiutkim aparatem fotograficznym i prosił ich, żeby mówili „marmola-a-ada”, czym doprowadzał wszystkich do obłędu. Jak zwykle jednak facet z aparatem okazał się bohaterem. Bardzo trudno było mu namówić moich rodziców do współpracy, ale nie dał im spokoju, dopóki nie zrobił im paru ładnych zdjęć. Pamiętasz fotografię, którą umieściłaś na okładce pracy semestralnej o historii swojej rodziny? Zrobiono ją właśnie podczas bar micwy Jake'a.

Gdy wreszcie znalazłam w tłumie Betty, mrugnęła do mnie i zapytała, czy się zgubiliśmy.

Odmrugnęłam i zapytałam:

– Co robisz dziewiętnastego grudnia?

– A dlaczego pytasz? Wybieram się na ślub?

Wystarczyło tylko, że się uśmiechnęłam, a siostra objęła mnie mocno, a potem uścisnęła i pocałowała Aarona.

– No, popatrz tylko – roześmiała się. – Robię się jak Metsky!

Betty stwierdziła potem, że przed oficjalnym ogłoszeniem daty naszego ślubu musi znaleźć chłopców, a ja i Aaron chcieliśmy, żeby mame też przy tym była.

Betty zapewniła, że nigdy nie widziała matki w lepszym nastroju. Mame traktowała gości przyjaźnie i jadła wszystko bez narzekania. Dopiero gdy Betty podała kupione w sklepie wiśnie do herbaty, mame skrzywiła się kwaśno i



postanowiła udowodnić wszystkim, że o wiele lepsze są domowej roboty.

– Kazałam Hermanowi zejść i je przynieść, ale mama powiedziała, że nie będzie wiedział, gdzie szukać, i poszła sama. Może też się zgubiła, jak wy dwoje – powiedziała Betty.

Aaron zaproponował, że zjedzie po naszą matkę.

– Musi się do mnie przyzwyczajać.

Kiedy wszyscy tłoczyli się w salonie, ojciec Aarona pogroził mi palcem.

– Założę się, że wiem, o co chodzi – powiedział. – A oto i narzeczony...

Narzeczony jednak nie zwracał uwagi na ojca, wbiegł do salonu z poważną miną i polecił:

– Niech ktoś wezwie karetkę.

## Mój świat stał się bardzo mały

Okazało się, że to wylew.

Mame została zabrana do Beth Israel, tego w budynku ze starej cegły, który znajdował się dość blisko naszego domu w Roxbury. Rok później otwarto nowy budynek szpitala, ale nie miało to żadnego znaczenia. Lekarze wtedy niewiele mogli zrobić dla chorych po wylewie, co najwyżej troszczyć się, żeby pacjent miał ciepło, i masować mięśnie.

W szpitalu trudno się było czegoś dowiedzieć. Lekarze nic nie mówili, a odwiedziny u pacjenta były dozwolone raz dziennie i tylko pojedynczo. Kiedy tata poszedł pierwszy, nie potrafił potem powiedzieć, czy mama czuje się lepiej, czy gorzej. Za to za każdym razem, gdy wychodził ze szpitala, wydawał się starszy.

Betty przyniosła czystą koszulę nocną i pościel. Mówiła, że prześcieradło wydawało się nawoskowane, jednak nie potrafiła powiedzieć, czy mama czuje ból, czy jest jej wygodnie i tak dalej.

– Czasami otwiera oczy, ale nie wiem, czy mnie widzi.

Powiedziała też, że twarz matki wygląda tak samo źle jak wcześniej – prawa strona opada, jakby kości się roztopiły.

Tylko raz pozwolono mi na odwiedziny. Było okropnie. W pokoju panował straszny upał i cuchnęło środkami czystości. Twarz matki na poduszce wydawała się żółta, a włosy zaczesano jej tak gładko, że widziałam dokładnie kształt czaszki pod skórą. Miała zapadnięte policzki, powieki jej drżały. Nie wiedziałam, czy jest przytomna, więc szepnęłam:

– Mame, to ja, Addie. Jak się czujesz? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Starałam się, żeby mój głos brzmiał radośnie, ale żołądek miałam skurczony – czekałam, aż się ocknie i zacznie pytać, co tu robię, gdzie ojciec i kto ją tutaj położył.

Po paru tygodniach poczuła się odrobinę lepiej – otwierała oczy i piła przez słomkę. Mogła też usiąść na łóżku, jeśli ktoś ją podtrzymał, a chociaż nadal nic nie mówiła, byliśmy pewni, że nas rozpoznaje.

Lekarz powiedział, że matka z czasem może odzyskać władzę w prawej ręce

i nodze, ale potrwa to kilka miesięcy, o ile w ogóle się uda. Może też zacznie mówić, a może nie. Jak powiedziałam, medycyna wtedy niewiele mogła zrobić, więc zabraliśmy mamę ze szpitala do domu.

Nadal miała sparaliżowaną prawą stronę ciała, prawy kącik ust też pozostał bezwładny, więc słowa wymawiała niewyraźnie, gdy wreszcie zaczęła mówić. Denerwowała się, gdy jej nie rozumieliśmy, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że umysłowo wciąż jest sobą.

Za dnia papa i Betty siedzieli przy mamę na zmianę. Prosto z pracy przychodziłam do domu i zastępowałam siostrę, która wtedy robiła kolację, a ojciec wychodził do *szufl*.

Tylko nam trojgu matka pozwalała wchodzić do pokoju. Mildred i Rita zaproponowały pomoc, ale kiedy przyszły w odwiedziny, mamę zacisnęła usta i nie chciała nawet otworzyć oczu. Jeżeli do jej pokoju wszedł Levine, Aaron albo któryś z wnuków, mamrotała i krzywiła się, dopóki nie wyszli. Przeraziła dzieci tak bardzo, że w ogóle nie chciały zejść na dół.

Mój świat stał się bardzo mały. Zawsze tak się dzieje, gdy ktoś w rodzinie choruje. Byłam albo w pracy, albo w domu, gdzie albo siedziałam przy matce, albo pomagałam Betty przy chłopcach. Nie wychodziłam także w weekendy, więc Aaron mnie odwiedzał i uczył grać w remika i kierki. Oczywiście odłożyliśmy ślub.

Mój nowy szef współczuł mi i nie denerwował się, że odbieram telefony podczas pracy. Irene i Gussie pozostawały w nieustannym kontakcie. A Aaron, kiedy tylko mógł, przychodził po mnie po pracy i tramwajem jechaliśmy razem do domu. Obejmował mnie ramieniem, a parę razy musiał mnie budzić, gdy dojeżdżaliśmy do mojego przystanku.

Około dwóch miesięcy po wylewie mamę swoją bar micwę miał przyjaciel Jake'a. Tate był jego nauczycielem, a Betty znała się z matką chłopca, więc kazałam im iść i dobrze się bawić, bo przecież zostanę i zajmę się matką.

Zwykle niewiele czasu spędzałam z nią rano. Betty powiedziała, że mamę budzi się około dziesiątej i wtedy chyba umysł ma najbardziej jasny, łatwiej ją zrozumieć, gdy próbuje mówić. Jednak tego dnia przed południem nie otworzyła oczu. Zaproponowałam jej zupę i herbatę, ale pokręciła głową i wskazała na drzwi, co znaczyło, że chce do łazienki.

Najbardziej na świecie nienawidziła nocników i basenów, ale tak bardzo straciła na wadze, że nietrudno było ją niemal zanieść do toalety.

Pozwoliła mi, żebym umyła jej twarz i ręce, ale odsunęła się, gdy

podsunęłam kubek herbaty i chleb nasączony bulionem. Zapytałam, czy chce, żebym jej poczytała, ale tylko zacisnęła powieki.

Nie wiem, dlaczego siedzenie przy chorym jest tak wyczerpujące. Przecież nic się nie robi, a jednak męczy to sto razy bardziej niż naprawdę ciężka praca. Może to poczucie bezradności, może napięcie i wyczekiwanie, czy organizm postanowi wracać do zdrowia, czy też nie.

Niebo chmurzyło się od rana, a kiedy zaczął padać śnieg, w pokoju zrobiło się ciemno. Chyba musiałam się zdrzemnąć, bo pamiętam, że nagle zobaczyłam, że mama siedzi prosto – choć wszystkim nam się wydawało, że nie potrafi się samodzielnie podnieść. Oczy miała szeroko otwarte i rozglądała się, jakby próbowała zrozumieć, gdzie się znajduje. Zupełnie jak Rip Van Winkle po dwudziestoletnim śnie. Zmarszczyła brwi, patrząc na brudne szklanki na szafce nocnej i lampkę do czytania.

– Mama – zapytałam w jidysz. – Mogę ci coś przynieść? Wiesz, kim jestem, mama?

Przyjrzała się mojej twarzy i znowu zmarszczyła brwi.

Usłyszałam, że jej oddech przyśpieszył, więc dodałam uspokajająco:

– Nie martw się, odpoczywaj.

Otworzyła szeroko oczy i wyciągnęła do mnie zdrową rękę.

Usiadłam na łóżku, a wtedy mama wyszeptała:

– Oczywiście, że wiem. Umiem rozpoznać swoją córkę. – Głos miała ochryply, a słowa wymawiała bardzo powoli, ale rozumiałam ją bez trudu. – Jak matka mogłaby nie rozpoznać własnego dziecka? Swojej ślicznej córki?

Przesunęła dłoń po moich włosach i pogłaskała mnie po policzku.

– Nie od razu się domyśliłam, że to ty, *zisele*, kochanie. Masz takie krótkie włosy. Byłaś chora?

Powiedziałam, że tylko obcięłam włosy i nic mi nie jest, nie musi się martwić. Ale matka się zaniepokoiła i zaczęła mówić szybko, jakby chciała wyrzucić z siebie wszystko, zanim zapomni.

– Chcę cię przeprosić. Miałaś rację, a ja się myliłam. Powinnam cię była posłuchać, wtedy miałybyś szczęśliwsze życie. – Zaczęła płakać. – *Ich bin moyl*. Przepraszam. Ale wybaczysz mi, wiem, że tak. Zawsze byłaś dobrą dziewczynką, taką ładną, taką miłą...

Nigdy nie słyszałam, żeby mama kogokolwiek przeprosiła, ani razu. Nie przypominam też sobie, żeby choć raz wcześniej tak na mnie spojrzała czy powiedziała mi, że jestem ładna i miła. Nigdy nie zwróciła się do mnie

„kochanie”.

Miałam wrażenie, że to cud.

Mówienie ją zmęczyło i mame opadła na poduszki. Pocałowałam ją w rękę i zapewniłam, że nie musi się martwić, bo niedługo poślubię wspaniałego człowieka. Zapytałam, czy pamięta Aarona, a matka uścisnęła moje palce.

Wyznałam, jak się cieszę, że mogę z nią tak rozmawiać, i jak bardzo żałuję, że wcześniej nie próbowałam się do niej tak zbliżyć.

Mame pokręciła głową i szepnęła:

– Myślałam, że cię straciłam, ale oto jesteś, zupełnie jak moja matka, a twoja babka. Masz jej złote ręce, *goldene henz*, z igłą i nitką czynisz cuda... Nie powinnam była wysyłać cię w podróż. Dogoniłam cię i zbiłam, żeby zmusić do wyjazdu, chociaż mówiłaś mi, że umrzesz, jeśli cię odeślę... Myślałam, że on o ciebie zadba i że Bronia się tobą zajmie, ale ty wiedziałaś lepiej. Wiedziałaś, że ten kraj cię zabije. Przepraszam, moja mała Simo. Moja biedna, biedna Simmaleh.

Westchnęła, oddech jej zwolnił. Kiedy zasnęła, wreszcie pozwoliłam, żeby dotarło do mnie wszystko, co powiedziała. Całe życie czekałam na jej pochwały i wyrazy miłości. I na słowa, że przeprasza. I że byłam dobrą dziewczyną. Ładną i miłą. Ale to wszystko matka mówiła do Celii – to dla niej miała czułość, przeprosiny i miłość. Nawet nie wiedziała, że to ja.

Było mi zbyt smutno, żeby płakać.

\* \* \*

Betty wróciła z przyjęcia późno. Włączyła światło i zapytała, dlaczego siedzę po ciemku.

– Mame spała cały dzień?

Przytaknęłam i powiedziałam, że idę na spacer. Potrzebowałam świeżego powietrza.

Wieczór był piękny. Śnieg przestał padać, a księżyc osrebrzał wszystko wokół. Szłam przed siebie długi czas, dopóki nie zrozumiałam, że kieruję się do domu Aarona. Z Roxbury do Brookline było daleko, przynajmniej pięć mil, na dodatek parę razy skręcałam w złą przecznicę. Dotarłam tam bardzo późno, w domu nie świeciło się już światło, tylko jedna lampka w salonie. Rodzice Aarona nigdy nie zamykali drzwi na zamek, więc po prostu weszłam. Aaron prawie spadł z krzesła na mój widok.

– Nie pytaj – poprosiłam. – Rano ci opowiem.

1927

## Czułam tylko ból

Matka umarła parę tygodni później. Levine zajął się pogrzebem tak samo, jak zajmował się większością spraw – nie czekał, aż zostanie poproszony ani że ktoś mu podziękuje.

Byłam na cmentarzu, gdy zmarli Myron i Lenny, ale pogrzeb mame okazał się zupełnie innym doświadczeniem, różnił się od tamtych jak dzień od nocy. Wszystko wydawało się inne, nawet dojazd. Drogi były wtedy już lepsze, więc dotarliśmy bardzo szybko, a zamiast trzech żałobników czekało dwadzieścioro ludzi i cały rząd samochodów za karawanem.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak, jak „normalne” się to wydawało. Mame miała sześćdziesiąt pięć lat, w 1927 roku uznano by ją za starą. Nikt nie był zaskoczony – zachorowała i zmarła, ale w domu, we własnym łóżku. Smutne, ale nie tak tragiczne jak w przypadku Celi i Myrona i Lenny’ego.

Na pogrzebie Celi byli tylko tate i Levine, pewnie dlatego, że nie znaleźliśmy wtedy zbyt wielu ludzi, ale może przyczyną był też sposób, w jaki zginęła moja siostra. Żałobie towarzyszyło głębokie poczucie winy. No i jak wytłumaczyć, że młoda kobieta zmarła, bo zacięła się kuchennym nożem?...

Epidemia grypy wszystkich przerażała, a pójście na cmentarz wyglądałoby na kuszenie losu. Sama poszłam na pogrzeb chłopców w zastępstwie Betty i dobrze się stało, że jej tam nie było. Myśl, że ujrzałyby te małe trumny, przyprawiała mnie o dreszcz. Nawet wspomnienie tamtego podwójnego pogrzebu wywołuje u mnie łzy.

Przed nabożeństwem za mame poszłam na groby Celi, Lenny’ego i Myrona. Próbowałam przypomnieć sobie siostrę i siostrzeńców, gdy byli młodzi i zdrowi, ale przed oczami miałam tylko krew na rękach Celi i wyraz twarzy Betty, gdy zabierano ciała jej synów.

Gdy stałam przy tych grobach, nie czułam ukojenia ani „domknięcia”, jak to nazywa się obecnie. Czułam tylko ból.

Tylko jedno z tego, co zapamiętałam, się nie zmieniło – cmentarz wydawał się jak zawsze ponury i opuszczony. Drzewa urosły i posadzono krzewy, ale był styczeń i myśl, że te rośliny znowu się zazielenią, wydawała się zupełnie



niewiarygodna.

Zaczęłam drżeć na początku ceremonii. Nie było wiatru i chyba nikomu innemu nie dokuczał ziąb, ale słyszałam, jak szczękam zębami. Musiałam mocno ścisnąć kolana, żeby mi się nie trzęsły, a gdyby Aaron nie objął mnie ramieniem, chyba bym upadła, przysięgam na Boga. Dobrze, że żydowskie pogrzeby są krótkie.

Gdy opuszczono trumnę do grobu, pomyślałam: „Matka już nigdy nie wywoła u mnie poczucia, że coś ze mną jest nie tak”.

Kiedy jednak na wieko spadła pierwsza gruda ziemi, uświadomiłam sobie, że zawsze chciałam, aby matka powiedziała mi, że wszystko ze mną jest w porządku. I wtedy właśnie się rozplakałam.

## Życie jest ważniejsze niż śmierć

Gdy usiedliśmy potem na sziwę, tata powiedział Betty i mnie, że nasza żałoba potrwa rok, co oznacza, że powinniśmy się powstrzymywać od świętowania, muzyki czy innych rozrywek. Zatem żadnych przyjęć, żadnych wyjść do filharmonii ani nawet do kina.

Po pierwszym miesiącu Betty przestała się przejmować zasadami. Jeżeli jej synowie chcieli obejrzeć nowy film, zabierała ich do kina i sama też zostawała na seansie.

– Myślicie, że zostawię chłopców samych w ciemnej sali?

A ja miałam wrażenie, że żyję w „międzyczasie” i nie przeszkadzało mi wyciszenie. Tata i ja jadaliśmy kolacje z Betty i jej rodziną, potem ojciec wychodził do synagogi, a ja zwykle wracałam poczytać do swojego pokoju. Przypominało to trochę mieszkanie w kamienicy, gdzie wynajmowałam ciemny pokój.

Nie byłam pustelnicą. Cały dzień przebywałam w pracy z innymi ludźmi, chodziłam też na zajęcia. Chyba w tamtym semestrze uczyłam się historii Ameryki. Przyjaciółki do mnie dzwoniły i przychodziły w odwiedziny. Z Aaronem widywałam się przy każdej okazji, po prostu nie rozmawialiśmy już o ślubie.

Kiedy jednak zakwitły kwiaty i wszyscy zdjęli zimowe płaszcze, poczułam się jak pies na łańcuchu. Gdziekolwiek poszłam, widziałam pary trzymające się za ręce i szepczące sobie czułości. Aaron pokazał mi reklamę mieszkania, na które moglibyśmy sobie pozwolić. Zdobyłam się na odwagę i zapytałam ojca, kiedy najwcześniej mogę wziąć ślub.

– Kiedy tylko zechcesz – odpowiedział.

Nie mogłam uwierzyć.

– Powiedziałaś, że mam czekać rok.

– A czy wspomniałem coś o ślubie? Według Talmudu, jeśli kondukt żałobny spotka się z korowodem weselnym, wesele ma pierwszeństwo. Życie jest ważniejsze niż śmierć.

I nie mógł mi tego powiedzieć wcześniej, prawda?

– Tylko niech to nie będzie zbyt wystawna uroczystość – dodał. – Żadnej muzyki i tańców.

Nie stanowiło to najmniejszego problemu. Zawsze chciałam prostego ślubu, a Aaronowi nie zależało na wystawnym weselu, tylko żeby odbyło się jak najszybciej. Kiedy jednak powiedziałam Betty i Mildred, że myślimy o ślubie na początku maja, czyli za parę tygodni, zaczęły lamentować i szaleć, jakby zbliżała się jakaś katastrofa tylko trochę mniejsza niż zatonięcie *Titanica*. Betty powiedziała, że skoro nie ma córki, to jedyna okazja, gdy będzie mogła przygotowywać wesele. Dlaczego chcę jej to zepsuć?

*Jej, zauważ.*

Ona i Mildred narzekały i marudziły, dopóki nie zgodziliśmy się z Aaronem poczekać do czerwca, żeby mogły wszystko należycie przygotować. Rita zapytała, czy może zrobić wieczór panieński, żeby przedstawić mnie przed ślubem innym kobietom w rodzinie. Nigdy nie byłam na wieczorze panieńskim – wtedy ten zwyczaj dopiero zaczynał zdobywać popularność – ale moja przyszła szwagierka przeczytała o tym artykuł w czasopiśmie dla kobiet, chyba w „Ladies’ Home Journal”, i postanowiła zrobić wszystko tak, jak opisano – nawet podać ciasto polukrowane na różowo i z cukrowymi różami. Chciała też zaprosić moje przyjaciółki, więc dałam jej numer telefonu do Gussie i zapewniłam, że ona ma kontakt ze wszystkimi innymi.

Rita zaplanowała przyjęcie na sobotę po południu, o trzeciej, i kazała wszystkim włożyć ładne sukienki i białe rękawiczki. Wyobrażasz sobie?

Irene zadzwoniła i zapytała, czy może przyjść, chociaż nie wyszyła mi poszewki na poduszkę, o co Rita poprosiła wszystkie zaproszone panie. Kiedy przyznałam, że nic nie wiem o wyszywaniu poszewek, Irene westchnęła.

– Gussie nie powiedziała mi, że to ma być cholerna niespodzianka. Szlag, wszystko zepsułam.

Im Irene robiła się starsza, tym częściej przeklinała. Pamiętam, jak jej wnuk narobił w pieluchę podczas chrztu.

– Jasna cholera – powiedziała wtedy Irene na tyle głośno, że wszyscy w kościele usłyszeli.

Mina księdza... bezcenna!

W dniu przyjęcia panieńskiego dom Metskich przyozdobiły dalie i lilie. Zjawilo się chyba z tuzin ciotek i dalszych kuzynek. Gdy wszystkie skończyły mnie przytulać na powitanie, pachniałam pewnie jak perfumeria.

Rita pokazała mi wystawę poszewek na poduszki oraz ściereczki z

wysztytymi moimi nowymi inicjałami, a ja udawałam, że Irene wcale się nie wygadała.

Były jednak inne niespodzianki. Wiedziałam, że przyjdą Irene i Helen, ale omal nie zemdlałam na widok panny Chevalier oraz panny Green w towarzystwie Katherine Walters, z którą straciłam kontakt po odejściu z redakcji „Transcriptu”.

Panna Chevalier pocałowała mnie w policzek.

– Tak się cieszę, moja droga – powiedziała.

Panna Green wyglądała, jakby skurczyła się o parę cali, ale oczy wciąż jej błyszczały.

– Lubię myśleć, że przyczyniłam się do twojego małżeństwa, skoro poznałeś narzeczonego w naszym domu.

Panny Edith nie zostały poproszone o wyszycie czegokolwiek, Bogu dzięki, ale panna Green przyniosła mi piękną ceramiczną szkatułkę, którą własnoręcznie ozdobiła. Gdy byłaś mała, przechowywałaś tam buty Barbie.

Spotkanie z tymi wszystkimi kobietami było jak przeglądanie albumu zdjęć z mojego życia – od dzieciństwa przez zebrania kółka w soboty i wyjazdy do pensjonatu w Rockport aż po pracę w gazecie i poznanie Aarona.

A co najbardziej cudowne, te wszystkie kobiety świetnie się ze sobą dogadały. Panna Green, z pochodzenia Irlandka, opowiadała Irene o mieście swojego dzieciństwa. Katherine i Betty dyskutowały, który komik jest bardziej zabawny, Harold Lloyd czy Buster Keaton. Mogłabym im powiedzieć, że Charlie Chaplin, ale nie chciałam się wtrącać.

Zapytałam Helen, gdzie jest Gussie.

– Troszkę się spóźni – uspokoiła mnie Helen.

Gussie zawsze mnie strofowała, gdy spóźniłam się choć dwie minuty, więc nie mogłam się doczekać, gdy odpłacę jej pięknym za nadobne. Kiedy jednak wreszcie przyszła, uniosła rękę, żeby mnie powstrzymać. Potem Irene wykrzyknęła radośnie „Ta-dam!” i pojawiła się Filomena.

Nie wiem, czy pisnęłam, czy tylko stałam z rozdziawionymi ustami, ale wszystkie kobiety zaczęły klaskać, a Betty zawołała:

– Zaskoczyłyśmy ją!

Gdy tylko ustaliliśmy datę ślubu, napisałam do Filomeny, żeby zapytać, czy może przyjechać. Odpisała, że nie, bo obiecała swojej nauczycielce wyprawę w góry i nie może złamać słowa, byłby to koniec ich znajomości. Domyśliłam się, że Filomenie zależy na tej przyjaźni i że musi czuć się naprawdę okropnie, że

nie pojawi się na moim ślubie, ponieważ był to najdłuższy list, jaki od niej dostałam. Betty towarzyszyła mi przy odbieraniu prezentu przysłanego przez Filomenę – paczka przyszła z notatką, żeby nie otwierać do dnia ślubu.

Ale na przyjęciu panińskim zjawily się wszystkie ważne dla mnie kobiety – moje przyjaciółki, siostra, nawet moje przyszłe krewne. Betty chyba wtedy po raz pierwszy i ostatni wzięła udział w spisku – przeszukała mój pokój, znalazła adres Filomeny, a Gussie wysłała telegram, natomiast wszystkie inne zaproszone na przyjęcie kobiety złożyły się na bilety.

Minęło wtedy chyba ponad dziesięć lat, gdy ostatni raz widziałam moją najlepszą przyjaciółkę. Filomena nadal nosiła długi warkocz, chociaż włosów nie miała już kruczoczarnych. Jednak siwe pasma na skroniach nie sprawiały, że wyglądała starzej, tylko olśniewająco. Jej twarz prawie nic się nie zmieniła, tylko pociemniała bardziej od opalenizny i doszło trochę drobnych zmarszczek, ale nadal była po prostu piękna.

Nosiła długą spódnicę i szal z frędzlami jak Indianki na pocztówkach, które od niej dostawałam. Na obu nadgarstkach miała bransolety ze srebra i z turkusów, a pachniała świeżością i jakby korą. Filomena wyjaśniła mi, że to szałwia, ziele, którego Indianie używają dla zdrowia i na szczęście. Pewnie z opisu wygląda dla ciebie, Avo, jak typowa hipiska z lat sześćdziesiątych, ale bynajmniej nie przypominała obdartej żebraczki. Nieważne, co włożyła, moja najlepsza przyjaciółka zawsze nosiła się jak królowa.

Kiedy zobaczyła pannę Green, ujęła ją za rękę.

– Dziękuję, że dała mi pani moje życie.

Jakaż to była piękna chwila. Katherine powiedziała, że przypominało to hołd, jaki w Indiach uczniowie oddają swoim nauczycielom – dotykają ziemi pod ich stopami. Aż tak daleko bym się nie posunęła, ale zanim zapadł wieczór, podziękowałam panie Chevalier za wszystko, co dla mnie zrobiła, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką.

Szkoda, że nie miałam aparatu fotograficznego. Chociaż wcale nie potrzebuję zdjęć, żeby pamiętać tamten dzień.

Zapomniałam więcej, niż chciałabym przyznać, ale każdy szczegół z tamtego przyjęcia wyrzył mi się w pamięci – różowy lukier, śliczne żółte buty Katherine, lilie i brzęk bransolet Filomeny, gdy zarzuciła mi rękę na szyję. Jak szmer wiatru.

## Zawsze patrzyłaś na mnie tylko z miłością

Czasami przyjaciółki oddalają się od siebie. Mówicie sobie wszystko i czujecie, że ta druga to osoba, którą będziecie znać przez całe życie. Jednak po jakimś czasie rozmowy telefoniczne ustają, listy też, albo się okazuje, że ta przyjaciółka wcale nie jest tak miła, jak się wydawało, albo zwraca się przeciw tobie. Pamiętasz swoją przyjaciółkę Suzie?

Jednak czasami nie ma znaczenia, jak duża dzieli nas odległość ani jak niewiele ze sobą rozmawiamy – przyjaźń pozostaje. Tak właśnie było ze mną i z Filomeną.

Następnego dnia po przyjęciu panińskim poszłyśmy razem do North End. Filomena musiała po mszy spotkać się ze swoją liczną rodziną na lunchu, więc nie wiedziała, kiedy będzie wolna, ale mnie nie przeszkadzało, że muszę na nią poczekać. Usiadłam na ławce przed kościołem Świętego Leonarda w North End. Dzień był piękny, ludzie spacerowali po Hanover Street. Starsze panie w czerni karmiły gołębice lub przyglądały się zabawom wnuków. Widok niczym się nie różnił od tego, co pamiętałam z dzieciństwa, tylko kapelusze się zmieniły.

Na pocztówce niewiele można napisać, więc miałam setki pytań do Filomeny. Wiedziałam, że niektórzy jej znajomi z Nowego Meksyku są malarzami i że spędza sporo czasu z Indianką Virginią, która pracuje w glinie. Wiedziałam, że Filomena mieszka sama i utrzymuje się ze sprzedaży swoich prac, czyli raczej ma niewielkie dochody. I tyle. Trochę jakbym miała kolorowanek, a ona musiała wypełnić szkice barwami.

Początkowo nie poznałam kobiety w staroświeckiej, obwisłej sukience, która mi pomachała. Siostry Filomeny kazały jej zdjąć „przebranie” przed nabożeństwem i ubrały ją jak staruszkę. Były na nią wściekłe. Jak mogła przyjechać do Bostonu na ślub przyjaciółki, skoro nie pofatygowała się na żadną pierwszą komunię i zakończenie szkoły swoich siostrzenic i siostrzeńców? Trochę się uspokoiły, gdy Filomena im wytknęła, że przyjaciółki zapłaciły za bilety na pociąg. Zapewne siostry zapomniały, że od przeprowadzki do Taos wysyłała im pieniądze, a wierz mi, nigdy nie zarabiała

zbyt wiele.

Filomena wyjęła spinki i pozwoliła, aby warkocz opadł jej na plecy, wyciągnęła z torebki tkaną szarfę i parę bransoletek, po czym w okamgnieniu znowu wyglądała pięknie. Powiedziała, że musi się napić espresso.

– Marzyłam o kawie, gdy tylko wsiadłam do pociągu.

Poszliśmy do kawiarni, gdzie nawet kapelusze się nie zmieniły. Nigdy nie widziałam osoby bardziej delektującej się kawą niż Filomena tym espresso. Kelner też to zauważył, ponieważ nie czekał, aż moja przyjaciółka zamówi kolejną filiżankę.

– *Grazie* – podziękowała Filomena.

A potem oboje zaczęli rozmawiać, jakby byli krewnymi, którzy dawno się nie widzieli. Gestykulowali szybko, przerywali sobie zupełnie jak Żydzi, tyle że po włosku brzmiało to o wiele lepiej.

Filomena przywiozła sporo zdjęć. Poustawiała je w rzędach na stoliku, jakby układała pasjansa. Na kilku zobaczyłam ją i Morellego, a także trzy pary, które wykrzywiały się zabawnie do obiektywu. Byli przyjaciółmi Morellego ze szkoły plastycznej i mieszkali w dużym domu na przedmieściach Taos.

– Na początku zatrzymaliśmy się u nich, ale niezbyt nam się tam spodobało. Kochali się wszyscy, ale wciąż się kłócili i nie dało się określić, kto na kogo jest wściekły. Szaleni ludzie, ale zawsze byli dla mnie dobrzy.

Wreszcie Filomena i Morelli przenieśli się do małej chatki na kawałku własnej ziemi.

Zawsze wyobrażałam sobie, że moja przyjaciółka mieszka w małym, drewnianym domku jak te w Rockport, ale budynek na zdjęciu przypominał bardziej kopiec mrowiska. Filomena wytłumaczyła mi, czym jest cegła suszona na słońcu, i pochwaliła się, że w upalne dni w jej domu panuje przyjemny chłód. Skomentowałam, że to jak mieszkać w glinianym naczyniu.

Bardzo jej się spodobało to porównanie.

Było też zdjęcie Boba Morellego siedzącego przy kole garncarskim i spoglądającego na kawałek gliny w swoich dłoniach. Przypomniałam sobie, jaki był przystojny.

– To stare zdjęcie – westchnęła Filomena.

Przez parę lat Morelli wyjeżdżał do Nowego Jorku, żeby spotkać się z synem w lecie, ale pewnej jesieni nie wrócił. Powiedział, że syn go potrzebuje, ale Filomena wiedziała, że nie był to jedyny powód. Morelli nie mógł w Nowym Meksyku pracować z brązem, tęsknił też za wielkim miastem.



– Napisałam ci, że zginął w zeszłym roku? Wypadek samochodowy. Nadal staram się z tym pogodzić.

Powiedziałam, że bardzo mi przykro, i naprawdę tak myślałam.

Filomena koniecznie chciała mi pokazać zdjęcia swoich prac. Kilka jej waz przypominało te, które wykonała panna Green. Jednak większość miała inny kształt – owalne na dole i z poszarpanym zakończeniem na górze, trochę jak kwiat tulipana. Wszystkie bardzo ciemne. Dla mnie wyglądały jak dzieła sztuki nowoczesnej, ale – jak się okazało – był to stary styl garncarski Indian Pueblo.

Filomena powiedziała, że gdy tylko zobaczyła tę ciemną ceramikę, musiała się dowiedzieć, jak powstaje. Podała mi zdjęcie starej Indianki o pomarszczonej twarzy i białych włosach, pochylonej nad ogniskiem.

– To właśnie moja nauczycielka, Virginia. Moja panna Green z Pueblo – wyjaśniła.

Virginia była jedną z niewielu osób, które wciąż wykonywały ciemną ceramikę w tradycyjny sposób, jednak kiedy Filomena zapytała, czy może się tego nauczyć, Indianka odmówiła.

– Pueblo nie mają wiele pożytku z białych. Jesteśmy dla nich jak niegrzeczne, niewychowane dzieci.

Jednak Filomena nalegała, dopóki Virginia nie pozwoliła jej wykopywać gliny i zbierać nawozu do wypalania ceramiki w piecu. Dla mnie brzmiało to jak praca, którą wykonywali niewolnicy w Egipcie, ale kiedy zapytałam Filomenę, czy dostaje chociaż zapłatę, przyjaciółka parsknęła śmiechem.

– Virginia uważa, że to ja powinnam jej płacić. I pewnie ma rację. Zaczęła mnie uczyć, jak lepić naczynia, tylko dlatego, że złamała rękę. Ale teraz, gdy się starzeje, chyba trzyma mnie przy sobie, bo wie, że ktoś musi zachować tradycję. Oczywiście nigdy by mi tego nie powiedziała.

Virginia pierwsze próby Filomeny nazwała „skundlonymi” i „bękartami”. Ale gdy raz Indianka nie potłukła wszystkiego, co wyciągnęła z pieca, Filomena wiedziała, że zrobiła postępy.

– Chyba powoli zaczynam mieć wprawę. Turyści jednak nie są zainteresowani. – Przyjezdni woleli kupować kolorowe pamiątki, które w domu łatwo potem rozpoznać jako „indiańskie”. Dlatego Filomena uczyła plastyki, żeby łączyć koniec z końcem. – Zawsze myślałam, że z naszego Mieszmaszu to ty zostaniesz nauczycielką. A okazało się, że to ja uczę innych.

\* \* \*

Filomena przyjechała do Bostonu kilka tygodni przed ślubem i spędziłyśmy razem mnóstwo czasu. Irene wydała dla nas przyjęcie wieczorne i kolację, na którą przyszli Gussie i Helen z mężem i dziećmi. Pewnego wieczoru Aaron zabrał nas na lody. Filomena miała liczne obowiązki rodzinne, ale zadbaliśmy, aby podczas naszych spotkań nikt nie przeszkadzał. Nigdy nie brakowało nam tematów do rozmów, ponieważ nic nie wydawało się nam ani zbyt banalne, ani bolesne. Nie mam pojęcia, ile razy zaczynałyśmy od:

– Nikomu tego nie mówiłam, ale...

Opowiedziałam Filomenie, jak bardzo żałuję, że nie byłam bardziej wrażliwa i współczująca dla biednego, wstrząśniętego Erniego. I o tym, jak marzyłam, aby uratować tę biedną dziewczynę z farmy w Minnesocie. Przyznałam też, że nieobecność matki na weselu sprawia mi ulgę, choć napawa mnie to smutkiem.

Mówienie o tym wszystkim Filomenie sprawiało, że te zmartwienia i smutki wydawały się lżejsze do zniesienia i mniej straszne. Pamiętam, że zapytałam, czy tak samo czuje się po spowiedzi w kościele.

– Boże, nie. Kiedy byłam małą, myślałam, że wpadnę w kłopoty, jeżeli nie wyznam wszystkiego Świętej Marii i naszym ojcom. Ale nic się nie działo, gdy im czegoś nie powiedziałam, ani też nie czułam się wcale lepiej, gdy wyznałam swoje grzechy. Było to trochę tak, jakby wsunąć pensa do automatu i nic stamtąd nie dostać w zamian. Kiedy skończyłam dwanaście lat, chodziłam do kościoła tylko wtedy, gdy zaciągnęły mnie tam siostry.

Przyznała, że czuje się lepiej, gdy może porozmawiać z kimś, kogo widzi i komu na niej zależy.

– Wtedy, gdy omal nie umarłam w wannie u Rose i Irene, przy życiu trzymał mnie wyraz twojej twarzy. I Irene oraz ta wspaniała pielęgniarka. Widziałam w twojej twarzy tylko zmartwienie, żadnej złości, gniewu czy rozczarowania. Po prostu nie chciałaś, żebym umarła. A potem też zawsze patrzyłaś na mnie tylko z miłością, bez współczucia, bez osądzania. Wiele o tym myślałam, Addie. Tylko dzięki tobie zdołałam sobie wybaczyć.

Nie miałam pojęcia, że okazałam się dla niej tak ważna. Zupełnie tak samo jak i ją zaskoczyło, gdy się dowiedziała, ile zapamiętałam z naszych rozmów, gdy po raz pierwszy spędziłam tydzień w pensjonacie w Rockport. Zmieniła moje postrzeżenie siebie i to, jak o sobie myślałam.

– Powiedziałaś mi, że mam dobre oko i umiem słuchać. Śmiałaś się z moich żartów i poważnie traktowałaś moje pomysły.

Wiesz, Avo, dobrze być bystrą, ale życzliwość jest o wiele ważniejsza. O

rany! Kolejna złota myśl starszej pani, w sam raz do wpisania do pamiętnika albo wyszcicia na poduszce.

\* \* \*

Chyba niewiele pisałam o zajęciach, na które chodziłam, ponieważ Filomena chciała się jak najwięcej dowiedzieć o college'u i moich nauczycielach, a także o wybranych przeze mnie przedmiotach. Kiedy zapytała, na co zapiszę się jesienią, przyznałam, że nie zamierzam dalej się uczyć. I tak czułam się już jak staruszka przy tych osiemnasto- i dziewiętnastolatkach, zresztą, gdy tylko urodzę dzieci, nie będę miała na to czasu. A poza tym już jestem za stara na naukę.

Wtedy nie było tak jak dzisiaj. Nie słyszałam o żadnej mężatce, która by chodziła do college'u. Filomena wyglądała tak, jakbym jej oznajmiła, że zamierzam wstąpić do cyrku albo zwołać sabat. Zrobiła mi wykład o kobietach z Taos, które założyły własną firmę po pięćdziesiątce, nawet po sześćdziesiątce. Powiedziała, że bratanica Virginii miała czterdzieści lat, gdy zostawiła dzieci i matkę, po czym wyjechała do Albuquerque na trzy lata, aby zostać pielęgniarką.

– Nie masz nawet trzydziestu lat, a to znaczy, że gdy twoje dzieci dorosną, będziesz miała około pięćdziesiątki. Zresztą wcale nie musisz tyle czekać. Kiedy one pójną do szkoły, ty też będziesz mogła. I to bez przeprowadzania się do Albuquerque.

Odpowiedziałam, że może, ale Filomenie to nie wystarczyło.

– Podaj mi jeden dobry powód, dlaczego nie miałabyś chodzić na zajęcia, przynajmniej dopóki nie urodzisz dziecka.

Powód był tylko jeden – wciąż nie wiedziałam, po co właściwie się uczyć. Pewnie podchodziłabym do tego inaczej, gdybym chciała założyć własną firmę albo zostać prawnikiem. Lecz wciąż tylko się „tułałam” i nawet nie sprawiało mi to przyjemności.

Zapisałam się na zajęcia z literatury w nadziei, że może zostanę nauczycielką angielskiego. Wszyscy wokół mówili mi to od dziecka. Owszem, uwielbiałam czytać opowiadania i powieści. Jednak zajęcia obejmowały tylko Milтона, Drydena albo Chaucera. Niełatwo zrozumieć ich utwory. A profesorowie? Nie obchodziło ich, czy rozumiemy wiersze, a tym bardziej, czy ta poezja nam się podoba. Żadne z moich zadań domowych nie było tak interesujące do czytania jak opowiadania w czasopiśmie albo powieści wypożyczone z biblioteki.

Uwielbiałam Willę Cather, Scotta Fitzgeralda i Sinclaira Lewisa.

Filomena zagroziła, że porozmawia z Aaronem, żeby dopilnował mojej nauki.

– Na pewno też będzie tego chciał. Wciąż nie masz pojęcia, jaka jesteś mądra, zupełnie tak samo, jak nie wiesz, że jesteś piękna. Ale Aaron wie. No i świata poza tobą nie widzi. Co ja bym dała, żeby komuś tak zależało na mnie.

– Myślałam, że nie chcesz wychodzić za mąż.

– To nie znaczy, że nie chcę być kochana. Wiem, że nie przepadałaś za Bobem. Jemu i mnie nie ułożyło się tak, jak chciałam, ale właśnie on był miłością mojego życia. Swoje najszcześniejsze lata spędziłam z nim właśnie w Taos. Nigdy już nie zaznam takiego szczęścia. Bob znalazł dla nas pracownię i sprawił, że uwierzyłam w swój talent. Nie rozstawaliśmy się ani w dzień, ani w nocy. Często mi powtarzał, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Filomena przyznała, że ktoś „dotrzymuje jej towarzystwa”. Bardzo miły człowiek, ale w życiu wielką miłość przeżywa się tylko raz. Wtedy nadeszła moja kolej na wykład.

– A kto ustanowił takie prawo? – prychnęłam i podałam za przykład znane mi wdowy wojenne, które wyszły za mąż drugi raz i są bardzo szczęśliwe.

Filomena zapewniła mnie, że nie narzeka. Lubi swoją niezależność i prywatność, cieszy się, że nikt jej nie osądza za to, co zrobiła lub nie.

Przyznała, że tęskni za rodziną. I za mną. Brakowało jej też włoskiej kuchni i dobrej kawy, a także zapachu oceanu.

– Ale należę do tamtej krainy, do nieba i gór. Nigdzie indziej nie byłabym szczęśliwa.

Od chwili, gdy Filomena pojawiła się na moim przyjęciu panińskim, chciałam ją zapytać, czy kiedyś wróci i znowu zamieszka w Bostonie. Nie taką odpowiedź chciałam usłyszeć, ale szczerze zapewniłam:

– Bardzo się cieszę z twojego szczęścia.

Nie pozwól, aby ci wmawiano, że teraz nie jest lepiej niż dawniej

Ślub nie był wystawny. Nie wystąpiłam w długiej sukni z welonem, jak chciała Betty, ale chyba wyglądałam całkiem nieźle w beżowej sukience i sznurze pereł, na dodatek miałam przepiękny kapelusz, w życiu nie nosiłam piękniejszego. Oczywiście nie było muzyki ani tańca *hora*, ale i tak uroczystość okazała się większa, niż sądziłam. Nie tylko dlatego, że przyszło dużo osób z rodziny Metskych, ze strony Baumów też było wielu gości, a do tego trzeba doliczyć jeszcze moje przyjaciółki i ich rodziny.

Levine trzymał jedną z tyczek *chupy*. Omal się nie rozplakał, gdy go o to poprosiłam. Brat Aarona trzymał drugą tyczkę, a dwóch pozostałych mężczyzn nie pamiętam. Do głowy mi nie przyszło prosić o to Betty czy Ritę – pięćdziesiąt osiem lat temu było to nie do pomyślenia i tylko wariatka ośmieliłaby się w ogóle o tym mówić.

Nie pozwól, aby ci wmawiano, że teraz nie jest lepiej niż dawniej.

Zjedliśmy lunch w synagodze, ponieważ na ślubie było zbyt wiele osób i taki tłum nie zmieściłby się w domu Betty. W sali ustawiono długie stoły przykryte białymi obrusami, podano duże półmiski śledzi, pszennego chleba, sałaty i pikli – jak zwykle. Wino lało się strumieniami, była też butelka whisky z oryginalną etykietą, ślubny prezent. A skoro znajdowaliśmy się w świątyni, nie musieliśmy nawet się ukrywać i pić trunku w filiżankach, bo nie groził nam najazd policji. Prohibicja dobiegła końca dopiero w trzydziestym trzecim. Pamiętam, bo w tym roku urodziła się twoja ciotka Sylvia.

Po poczęstunku zaczęto wznosić toasty i żartować z tego, jak poznaliśmy się z Aaronem. Potem Filomena wstała i poprosiła, żeby otworzyć jej prezent w obecności wszystkich, ponieważ z tym prezentem wiąże się opowieść, którą chciałaby się podzielić.

Podarowała nam dużą czarną wazę z dwoma dzióbkami.

– To naczynie ślubne – wyjaśniła. – Dwa ustniki, jeden dla narzeczonej, drugi dla narzeczonego. Uchwyt pomiędzy nimi pozwala narzeczonemu trzymać naczynie.

Na indiańskim weselu narzeczona pije z jednej strony, a narzeczony z drugiej i wtedy stają się małżeństwem. Jeżeli jeden z małżonków umrze, drugi powinien przekazać wazę innej młodej parze, która bierze ślub. Wydawało mi się to trochę podobne do tradycji żydowskiej.

W każdym razie swoje naczynie ślubne oddam wnuczce, która pierwsza wyjdzie za mąż. I nie wydaje mi się, żebyście z Brianem musieli się śpieszyć tylko po to, żeby dostać w prezencie ładną ceramikę. Ale warto o tym pamiętać.

\* \* \*

Szkoda, że Levine nie zrobił fotografii ze mną, z Aaronem i Filomeną oraz wazą. Napstrykał za to mnóstwo zdjęć przedstawiających mnie i Aarona przy torcie weselnym, który upiekła Mildred – cztery warstwy z lukrem. Moja matka na pewno uznałaby taki tort za wymysł gojów, ale był pyszny i nie zostały z niego nawet okruszki.

Zauważyłam, że ojciec przyniósł kawałek ciasta starszej kobiecie, której nie znałam. Myślałam, że pochodzi z rodziny Metskych, ale okazało się, że należy do synagogi.

– Widziałam ją na *sziwie* mame, ale nic dziwnego, że ty jej nie pamiętasz – wyjaśniła Betty.

Przez dom po pogrzebie matki przeszło chyba całe stado wdów. Przynosiły wazy zupy i kugiel nawet w parę tygodni po pochówku. Betty nazywała je „sępami”, co po części było obraźliwe, a po części prawdziwe. Gdy jakiś mężczyzna tracił żonę, zaczynała się rywalizacja o jego względy. A ze wszystkich wdów tylko Edna Blaustein przyniosła strudel i casserole. Należała do tych młodszych wdów i dbała o siebie. Miała też dość hucpy, żeby wprosić się na przyjęcie weselne. Mogłabym się założyć, że to ona oświadczyła się ojcu.

Betty nie podobało się, że tata nie odczekał całego roku, zanim powtórnie się ożenił. Ojciec stwierdził, że nic tego nie zakazuje, więc wziął ślub, po czym przeprowadził się do trzypiętrowego domu nowej żony, który odziedziczyła w spadku po poprzednim mężu.

Okazało się, że Edna chciała, aby tata zajął się budynkiem, jak to robił jej pierwszy mąż, ale mój ojciec nic nie wiedział o naprawianiu kranów ani wstawianiu szyb w wybite okna. A po kilku latach czytania i uczenia w *szul* przez cały dzień ani myślał wrzucać węgiel do pieca.

– Prawie jej współczuję – skomentowała to Betty. – Prawie.



## Ty jesteś ta Addie, prawda?

Aaron i ja wyjechaliśmy na króciutki miesiąc miodowy – spędziliśmy trzy noce w Rockport, w Edward Hotel. Okna naszego pokoju znajdowały się od strony morza, a księżyc w pełni świecił tak jasno i tak ostro odbijał się w falach, że musieliśmy zasłaniać kotary, żeby zasnąć. Było to bardzo piękne i bardzo romantyczne.

Za dnia pokazywałam Aaronowi wszystko. Przyjechaliśmy pociągiem, który mijał Cape Ann. Spacerowaliśmy po plaży i wspięliśmy się na skały w Dogtown. Zaglądaliśmy do galerii sztuki i kupowaliśmy słodczyce dla naszych krewniaków. Jedliśmy codziennie rybę, a lody dwa razy dziennie.

Dom na klifie, w którym Filomena i ja poznałyśmy Morellego, zniknął. Zapewne zmył go sztorm. Zostały tylko granitowe stopnie i kawałek frontowej ściany, w której kiedyś były czerwone drzwi.

Oczywiście zaprowadziłam też Aarona do pensjonatu. Kobieta, która otworzyła, nie chciała nas wpuścić, ale prosiłam i powtarzałam, że sama spędziłam w pensjonacie niejeden turnus, a teraz chciałabym tylko zajrzeć na chwilę. Wreszcie zgodziła się, żebym zajrzała do sali, ale Aaron miał zostać na werandzie. Dom był cichy, więc domyśliłam się, że dziewczęta musiały pójść na wycieczkę, dlatego nie było powodu, żeby trzymać Aarona przed drzwiami.

– Nie będziemy długo przeszkadzać – zapewniłam. – To nasz miesiąc miodowy. Chciałabym pokazać mężowi, gdzie wyjeżdżałam, gdy byłam młodsza. To dla mnie wiele znaczy.

Nie przestawałam mówić, dopóki kobieta nie wpuściła też Aarona. Cały czas jednak obserwowała nas podejrzliwie, jakbyśmy chcieli coś ukraść. Nie wiem, co sobie pomyślała, gdy od razu ruszyłam prosto do kuchni.

Schówek, gdzie spałam, znowu zmienił się w spiżarnię, w kuchni była też nowa duża lodówka, a na podłodze nowe linoleum. Kucharka stała przy tylnych drzwiach i paliła papierosa, wydmuchując dym przez siatkę. Pani Morse na pewno by ją wyrzuciła. Kiedy jednak palaczka odwróciła się, rozpoznałam jej siostrę, panią Styles. Była chudsza i bardziej posiwiiała, ale wciąż patrzyła z tym samym grymasem na twarzy co kiedyś – jakby chciała

zapytać: „Za kogo ty się uważasz?”.

Wysłałam jej list z kondolencjami, gdy się dowiedziałam, że pani Morse zmarła. Napisałam też, że nigdy nie zapomnę, ile dobroci okazała mi siostra pani Styles. Nie byłam jednak pewna, czy list w ogóle dotarł do adresatki.

– Znam cię – stwierdziła pani Styles. – Ty jesteś ta Addie, prawda?

Byłam zaskoczona, że zapamiętała moje imię.

– Maggie dużo o tobie mówiła. Zwłaszcza cieszyła się, że tak smakuje ci jej szarlotka. Nie rozumiem, po co tyle piekła, gdy tutaj pracowała. Nie ma nic złego w placku z owocami, ale wystarczy, że się go zrobi dwa razy w tygodniu.

Przedstawiłam jej Aarona, który zapewnił, że lubi placki z owocami. Pani Styles może nawet ucieszyła się z komplementu, ale właściwie trudno było powiedzieć.

Kilka tygodni później dostałam od niej krótki list z dołączonym przepisem na kruche ciasto.

„Moja siostra byłaby zadowolona, że masz ten przepis. Sama nigdy z niego nie korzystałam”.

Wiem, że uważasz moje szarlotki za najlepsze na świecie, ale wierz mi, nie dorównują tym, które robiła pani Morse. Czasami zastanawiam się, czy jej siostra celowo coś pominęła w tym przepisie. A może to dlatego, że używam masła, a nie smalcu.

1931...

## Najlepsze lata mojego życia

Twój dziadek kochał swoją pracę. Całe życie próbował poprawić los biednych dzieci, ale jego prawdziwym powołaniem okazało się ojcostwo. Miał do tego wrodzony talent.

Gdy tylko nasze córki nauczyły się siadać, woził je w wózku do biblioteki i wypożyczał książki, które czytał im potem na dobranoc. Ja również chętnie słuchałam. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam baśnie i byłam zaskoczona, jak bardzo niektóre są przerażające. Twoja mama nie mogła spać przez tydzień po *Rumpelstiltskinie*.

Serię *Domek na prerii* uwielbialiśmy oboje tak bardzo, że Aaron pędził do księgarni, gdy tylko ukazywała się kolejna część, a potem siedzieliśmy do późna i czytaliśmy, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w rodzinie Ingallów.

Aaron był zrozpaczony, gdy twoja mama i ciocia Sylvia stały się już na tyle duże, że mogły czytać same, więc on został „zwolniony”. Kiedy urodziłaś się ty i twoja siostra, zdawało się, że wstrzymywał oddech przez te wszystkie lata i czekał tylko na was. Czasami jeździliśmy do domu twoich rodziców tylko na dwadzieścia minut, żeby dziadek mógł wam poczytać na dobranoc. Znał na pamięć większość książeczek dla dzieci Dra Seussa. Pamiętasz, jak podskakiwałaś przy *Kocie Procie*?

W rodzinie Aarona i mojej tylko my mieliśmy córki, więc ciotki szalały na ich punkcie. Betty kupowała każdą lalkę, jaka wpadła jej w oko, a Rita, która urodziła dwóch synów, ubierała nasze dziewczynki na różowo, dopóki nie zaczęły liceum. Babcia Mildred nauczyła je piec chleb i zabierała każdej wiosny na wystawy kwiatów, a potem kupowała im staniki.

Wydawało się, że żyjemy jak w tej bajce, w której wróżki przynoszą prezenty dla księżniczki. Gussie kupowała dla nich obligacje na każde urodziny. Helen, najlepiej ubrana kobieta, jaką znałam, podarowała mi śliczne ubranka dziecięce. Panna Chevalier przynosiła im w prezencie książki, a Katherine Walters wręczała co roku każdej z moich dziewczynek nowy pamiętnik.

Kiedy moja siostra dowiedziała się, że poprosiłam dziewczynę z sąsiedztwa

o opiekę nad córkami, złożyła protest. Betty uważała, że to *jej obowiązek*.

\* \* \*

Kiedy byłam w ciąży, bardzo się bałam, czy poradzę sobie jako matka. Nie mogłam spać, bo zamartwiałam się, że popełnię najgorsze błędy – upuszczę dziecko, będę na nie krzyczeć i je nękać, a nawet otruję. Parę lat minęło, zanim nauczyłam się gotować.

Całe szczęście, że przy dzieciach nie ma wiele czasu na myślenie. Zaczyna się je kochać, ledwie się urodzą, a kiedy się zrozumie, jak bardzo odwzajemniają tę miłość, życie staje się bardzo proste. Oczywiście byłam zafascynowana każdym kichnięciem i ziewnięciem, a kiedy moje córki zaczęły mówić, uwierzyłam bezwarunkowo, że są genialne, a twój dziadek i ich ciotki całkowicie się ze mną zgadzali.

Pamiętam, jak Irene powiedziała mi, że każda matka uważa swoje dzieci za geniuszy, dopóki nie pójdą do przedszkola. Wtedy byłam tym trochę urażona, ale potem zobaczyłam, że dwoje innych dzieci w grupie nauczyło się czytać trzy miesiące wcześniej niż moje córki.

Macierzyństwo nie okazało się tak straszne, jak myślałam. Nie tylko dlatego, że Aaron był wspaniałym ojcem, lecz także dlatego, że nie musiałam na nowo odkrywać Ameryki. Od Betty nauczyłam się, że dobrze jest czasami się bawić ze swoimi dziećmi. Zauważyłam też, że Irene rozmawia ze swoim synem i z córką prawie jak z dorosłymi. W jej domu nie było seplenienia i popiskiwania, nie było też owijania w bawełnę. Irene zawsze mówiła prawdę i nazywała rzeczy po imieniu. W latach trzydziestych dwudziestego wieku było to nie do pomyślenia. Kiedy jej synek Milo powiedział „penis” podczas rodzinnego obiadu, było to odebrane prawie tak, jakby zamordował papieża.

Kiedy dzieci poszły do szkoły, Irene znalazła pracę jako kierowniczka biura w Stowarzyszeniu Kontroli Urodzeń w Massachusetts. Oczywiście nie próbowała tego ukryć, zwłaszcza przed rodziną męża. Krewni byli oburzeni i próbowali go namówić, żeby zmusił żonę do zwolnienia się, ale Joe wiedział najlepiej, że Irene nie można do niczego *zmusić*. Właśnie za to ją kochał.

Irene i Joe oraz Aaron i ja trzymaliśmy się razem. Spędzaliśmy wspólnie tyle czasu, że nasze dzieci stały się jak kuzyni, a kiedy Joe stracił pracę podczas wielkiego kryzysu, nie uważaliśmy za żadną dobroczynność, że co najmniej dwa razy w tygodniu jedzą u nas kolację.

Oczywiście my także odczuliśmy kryzys. Jedliśmy wtedy mnóstwo fasoli i

pamiętam, że wypychałam buty gazetami, żeby przetrwały do następnego lata. Jednak w porównaniu z innymi nam było łatwo. Aaron zachował pracę, ale co o wiele ważniejsze, Levine przeniósł nas do jednego ze swoich domów w Brookline i nie pozwolił nam płacić czynszu.

– Wystarczy, że będziecie kosić trawnik – stwierdził.

Trawniki przed tym trzypiętrowym budynkiem miał chyba rozmiary chustki do nosa i można by go przycinać nożyczkami. Jednak taki właśnie był mój szwagier. Przez całe życie wiedział swoje. Jeżeli zapytało się Levine'a o godzinę, wyjaśniał, że ma najlepszy zegarek na rynku i tylko *nudnik* kupiłby coś gorszego. Jednak nie wydaje mi się, żeby wyrzucił z mieszkań, które wynajmował, choć jednego lokatora.

Chociaż zabrzmiało to dziwnie, pomimo wielkiego kryzysu były to najlepsze lata mojego życia, ponieważ właśnie wtedy urodziłam twoją mamę i ciocię. Ani trochę nie przypominały osób, po których zostały nazwane. Twoja matka, Clara, różniła się od Celi jak noc i dzień. Clara była impulsywna, zaczęła mówić, gdy miała siedem miesięcy i nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu. A twoja ciotka Sylvia nie przypominała ani trochę rodzonej matki Aarona, Simone, która słynęła z dowcipu i z tego, że to właśnie ona zapoczątkowała zwyczaj Metskich, aby wszystkich ścisnąć. Moja Sylvia nie odzywała się, dopóki nie nauczyła się tworzyć pełnych zdań, i zawsze za bardzo brała sobie różne sprawy do serca, ale była też najbardziej życzliwą i lojalną osobą, jaką znałam.

Temperament ma ogromny wpływ na to, jaką się jest osobą. Myślę, że Celia urodziła się bez żadnej osłony, podczas gdy Betty miała skórę twardą jak nosorożec.

Ja byłam taka pomiędzy. Bardzo mi pomogło, że urodziłam się już w Ameryce i że poszłam do szkoły. Na to, kim jestem, wpłynęło też coś z mojego charakteru, coś, co pozwalało mi utrzymać więzi z przyjaciółkami i nauczycielkami wspierającymi mnie przez tyle lat. Myślę, że moje córki odziedziczyły po mnie tę zdolność.

Obie również bardzo dobrze radziły sobie w szkole. Twoja mama osiągnęła najlepsze wyniki w nauce na północnym wschodzie.

Nie wiedziałaś? To straszne! Następny wywiad powinnaś przeprowadzić właśnie z nią! Albo może lepiej poczekać, aż będziesz trochę starsza i okrzepiesz w dorosłości.

O, tak, ścierałyśmy się ze sobą, gdy twoja matka była na studiach. Nie

lubiłam jej przyjaciółek – gromady bogatych dziewcząt, które traktowały ją jak zwierzątko domowe i nauczyły palić papierosy. Clara uważała, że mówię jej, jak żyć, i traktuję ją jak pięciolatkę. Obie miałyśmy rację, ale dopiero po skończeniu przez nią studiów zdołałyśmy to przyznać.



## Stare przyjaźnie są najlepsze

W roku, gdy obie córki chodziły już do szkoły, postanowiłam, że zapiszę się na zajęcia dzienne. Aaron wziął katalog college'u Simmonsa i zapytał, czy byłabym zainteresowana podstawami pracy socjalnej z trudną młodzieżą. Z pewnością sam chodziłby na te zajęcia, gdyby tylko mógł, jednak po latach słuchania opowieści męża o pracy w komisji działającej na rzecz dobra dzieci mnie również zaciekał ten przedmiot. Nie byłam jednak przekonana, ponieważ zajęcia odbywały się daleko, w centrum miasta. Aaron tylko wzruszył ramionami. Co z tego, przecież do centrum dojeżdżał tramwaj i moglibyśmy jeść codziennie lunch tylko we dwoje.

No to zapisałam się na te zajęcia i tak to się zaczęło. W chwili gdy prowadząca otworzyła usta, wiedziałam, co będę robić. Ann Finegold należała do osób, które swoją obecnością rozświetlają pomieszczenie. Nigdy byś się tego nie domyśliła, gdybyś ją widziała – miała ponad czterdzieści lat, pięć stóp wzrostu, była pulchna, rozczochrana i genialna.

Powiedziała nam, że pracownik socjalny to zupełnie nowa profesja, która wciąż się dopiero rozwija. Nazwała to „twórczą nauką” i dodała, że jej zdaniem najlepszych pracowników społecznych cechują inteligencja i współczucie. Zapewniła, że może dać nam pomysły i narzędzia, jak pomagać innym, jednak nie nauczy nas, jak mamy się postawić w sytuacji innej osoby, żeby ją zrozumieć.

– Jeżeli jeszcze tego nie umiecie – dodała – będzie lepiej, jak od razu rzucicie te zajęcia i rozważycie inną ścieżkę kariery zawodowej.

Przypominała mi Irene – żadnego owijania w bawełnę. Pomyślałam też o swoim nauczycielu Szekspira, ponieważ miał tyle pasji do swojego przedmiotu i interesował się swoimi uczniami.

Ann nalegała, żebyśmy wszyscy mówili sobie po imieniu, co wtedy również wydawało się nie do pomyślenia.

Chodziłam na wszystkie prowadzone przez nią zajęcia i zostałyśmy potem przyjaciółkami. Nasi mężowie również się polubili. Chyba tego nie pamiętasz, ale byli na twojej bat micwie.

Kiedy miałam podjąć pierwszą pracę w terenie, Ann wysłała mnie do Beth Israel. Kazała mi przeprowadzić wywiady środowiskowe z kobietami, które czekały w izbie przyjęć.

Dostałam listę pytań – wiek, miejsce urodzenia, lata nauki, stan cywilny, powód przyścia do szpitala. Jedna kobieta, w moim wieku, ale wyglądająca na starszą o dwadzieścia lat, odpowiadała beznamyślnie i cicho. Kiedy zapytałam, ile ma dzieci, zamarła i spojrzała na mnie twardo. A potem, jakby przyznawała się do czegoś strasznego, wyszeptała:

– Mam troje żyjących dzieci, ale sześć razy byłam w ciąży.

Ledwie się powstrzymałam, żeby jej nie objąć i nie powiedzieć, że mam dwoje dzieci, ale cztery razy zachodziłam w ciążę.

Dwa razy poroniłam, zanim urodziła się twoja mama, i uważałam, że to całkowicie moja wina – pewnie zjadłam coś nieświeżego albo wytrzęsło mnie w autobusie, a może nie powinnam była oglądać tamtego filmu grozy. A może po prostu to znak, że nie powinnam mieć dzieci, bo nie nadaję się na matkę.

Nie rozmawiałam o tym z nikim i nie mówiłam, jakie to bolesne przeżycie i jak bezradna się wtedy czułam. Nie miałam pojęcia, że poronienia zdarzają się bardzo często. Betty przyszła mnie odwiedzić w szpitalu, gdy straciłam drugą ciążę. Zauważyła, że nie tknęłam ciastek, które upiekła dla mnie poprzedniego dnia.

Powiedziałam, że nie mam apetytu.

Betty, zamiast zwykłego nalegania, usiadła przy mnie na łóżku i powiedziała, że ona też poroniła.

– Tuż po twoim ślubie. Naprawdę chcieliśmy mieć małą dziewczynkę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zdziwiłam się.

– Nie wiem – westchnęła Betty.

Kobiety sądzą, że powinny się w takich sytuacjach zachowywać tak, jakby nic się nie stało, a utrata oczekiwanego dziecka to nic takiego. A jeżeli już coś się powie, słyszy się od innych kobiet, że gdy tylko urodzi się zdrowe dziecko, zapomni się o wszystkich poronieniach. Miałam ochotę przywalić w twarz za takie rady.

Betty płakała. Ja płakałam. Nigdy nie byłyśmy sobie bliższe.

\* \* \*

Podczas tych wywiadów w szpitalu już nie pytałam kobiet o liczbę dzieci, lecz ile razy *były w ciąży*. I to jedno pytanie wystarczało, żeby otworzyły się drzwi,

o których istnieniu nikt nawet nie miał pojęcia.

Usłyszałam o aborcjach i niezamężnych dziewczętach, które były bite przez ojca lub matkę albo zrzucane ze schodów, aby doprowadzić do poronienia. Poznałam kobiety, które poroniły i nie wiedziały, co się z nimi dzieje, a potem omal nie umarły od zakażenia. Wiele z nich przyznało, że nikomu o tym wcześniej nie opowiadały, za to wszystkie sądziły, że ponoszą winę za to, co im się przydarzyło.

Kiedy powiedziałam Ann, czego się dowiedziałam, orzekła, że mam wstępny materiał na książkę. Chyba ją wyśmiałam. Przecież wychowywałam dzieci i ledwie nadążałam z czytaniem zadanych lektur i pisanem prac na zaliczenia, więc niby kiedy miałabym napisać książkę? Nie zapomniałam jednak o tym pomysle.

Kiedy dziewczynki poszły do szkoły średniej, zaczęłam się przygotowywać do magisterium. Przeprowadziłam do tego czasu wywiady z ponad dwustoma kobietami. Nie wypytywałam tylko o ciążę, ale też o to, skąd dowiadywały się o seksie oraz o ich pierwsze doświadczenia seksualne. Nie do wiary, jak wiele z nich do nocy poślubnej nie wiedziało nic. A co gorsza, bardzo wiele z nich zostało zgwałconych. Bywały dni, gdy wracałam do domu wstrząśnięta, a Aaron trzymał mnie w ramionach, dopóki się nie uspokoiłam. Po latach zajmowania się losem dzieci nic nie mogło go zaskoczyć.

Mówiłam, czego się dowiedziałam, moim przyjaciółkom z kółka zbierającego się w soboty. Zawsze byłyśmy w kontakcie, jednak podczas drugiej wojny światowej trzymałyśmy się naprawdę razem i wspierałyśmy. Irene straciła kuzyna na Pacyfiku. Syn Helen został ranny w Anglii. A nasz Jake zginął nad Włochami – był pilotem, bohaterem. Zrobiliśmy wszystko, aby pomóc Betty i Levine’owi przetrwać tę tragedię, ale właściwie chyba nie udało im się otrząsnąć, dopóki nie doczekali się pierwszego wnuka. Eddy nazwał go Jonah Jacob na cześć swojego brata.

Przez te wszystkie lata Filomena nie przestawała wysyłać pocztówek, a od czasu do czasu dostawałam również szkic lub zdjęcie tego, nad czym właśnie pracowała. Gdy tylko rozmowy telefoniczne stały się trochę tańsze, dzwoniłyśmy do siebie – przynajmniej raz na miesiąc.

Stare przyjaźnie są najlepsze, dlatego swoją książkę zadedykowałam właśnie swoim pierwszym, najdawniejszym przyjaciółkom. Napisanie jej zajęło mi prawie dwadzieścia lat. *Niezadane pytania* ukazały się w tym samym roku co *Mistyka kobiecości*. Gussie była oburzona, że moja książka zniknęła w

rozgłosie, jaki zyskała Betty Friedan.

– Ta kobieta ukradła ci sławę.

Powiedziałam jej, że to głupie. Napisałam książkę dla pracowników socjalnych. Nie zakładałam, że ma to być bestseller. Jednak na swój sposób okazała się sukcesem. Zapewniła mi pracę wykładowcy w Boston University, dostałam również mnóstwo listów od kobiet, które dziękowały mi za publikację. Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczyło.

## Wciąż szaleńczo za nim tęsknię

Twój dziadek i ja wybraliśmy się do Nowego Meksyku dwukrotnie. Za pierwszym razem, gdy nasze córki miały czternaście i dwanaście lat. Była to nasza pierwsza rodzinna wyprawa.

Jeździliśmy konno i chodziliśmy po górach, a Filomena zabrała nas do wioski Pueblo, gdzie mieszkała jej nauczycielka. Virginia była już wtedy bardzo krucha, ale rozpromieniła się na widok Filomeny. Zostaliśmy wszyscy zaproszeni na poczęstunek.

Jednego wieczoru moja przyjaciółka zatrzymała dziewczynki u siebie na noc. Spały pod gołym niebem, a Filomena obudziła je w środku nocy, żeby mogły zobaczyć deszcz meteorów. Twoja mama i ciocia Sylvia nie przestawały o tym opowiadać przez całą podróż powrotną pociągiem.

Aaron i ja wybraliśmy się tam ponownie, gdy dziewczęta były w college'u. Tym razem tylko we dwoje. Wykupiliśmy kuszetki i piliśmy wino w wagonie restauracyjnym. To było jak drugi miesiąc miodowy.

Zatrzymaliśmy się u Filomeny, która mieszkała wtedy w dużym domu ze swoim mężem. Nie spodziewałaś się tego, co? Wyszła za męża, gdy miała prawie sześćdziesiątkę, i zawsze powtarzała, że najbardziej zaskoczyło to ją samą.

Saul Cohen był kolekcjonerem sztuki z Filadelfii. Zakochał się w ceramice Filomeny podczas pobytu w Taos i wykupił wszystkie prace mojej przyjaciółki. Cztery tygodnie po spotkaniu tych dwojga dostałam telegram, który zaczynał się od „Usiądź”. Mam go w pudełku razem z pocztówkami od Filomeny.

Przez większość roku mieszkali w Taos, ale Saul jeździł na wschód, żeby odwiedzić swoje dzieci i wnuki. Zabierał ze sobą Filomenę, więc widywałyśmy się całkiem często. Była na pogrzebie panny Green i na pięćdziesiątej rocznicy spotkania dziewcząt z sobotniego kółka.

Kiedy zmarł Aaron, przyleciała na pogrzeb z Nowego Meksyku i została ze mną przez cały miesiąc.

Nadal szaleńczo za nim tęsknię. Obyś miała tyle szczęścia co ja i znalazła ukochanego mężczyznę. Oczywiście Aaron nie był idealny. Twój dziadek

chrapał jak piła mechaniczna i chyba nigdy w życiu nie tknął świeżych owoców. Jak można nie lubić jabłek, arbuźów czy choćby jeżyn? Doprowadzało mnie to do szału. Jego pewnie doprowadzało do szału moje marudzenie.

Gdy się zestarzał, okazało się, że ma mnóstwo dziwactw i uprzedzeń. Nienawidził telewizji – nie chciał nawet oglądać ze mną wiadomości. Muzyka rozrywkowa skomponowana po 1945 roku była jego zdaniem beznadziejna. Nie wierzył też, że lubię Beatlesów, twierdził, że udaję, aby przekonać swoich uczniów, jaka jestem fajna.

Wcale to jednak nie znaczyło, że nie chciał próbować niczego nowego. Nauczył się piec chleb, brał lekcje gry na gitarze, wędkował. Kiedy zaczęliśmy wynajmować domek w Gloucester, Aaron przeczytał wszystko, co tylko znalazł o Cape Ann, i wypytał starych Sycylińczyków ze sklepu przy głównej ulicy o ich historii. Adoptowali go i nauczyli przeklinać po włosku oraz pić sambucę.

Kiedy jednak dowiedział się, że Sycylińczycy zamierzają głosować na Ronalda Reagana, zabrał gazetę, którą czytał, i przeniósł się do kawiarni. Zawsze uważałam, że rozchorował się przez tamte wybory.

\* \* \*

Twój dziadek miał talent do przemawiania. Gdyby był na moich urodzinach, wygłosiłby taką szmalc-przemowę, że wszyscy goście mieliby łzy w oczach. Ogromna szkoda, że go tu nie było, ale na pewno jeszcze bardziej żałowałyby swojej nieobecności na weselu twojej siostry i ceremonii ukończenia przez ciebie studiów na Harvardzie. Byłby taki dumny. Harvard.

Jak powiedziałam, szaleńczo za nim tęsknię. Ale życie toczy się dalej.

1985



## Oto coś, na co naprawdę warto czekać

Moje przyjęcie urodzinowe było wspaniałe, prawda? Tylu gości – rodzina, koledzy z Simmonsa i uniwersytetu, moi studenci i przyjaciele. W przyszłym miesiącu Irene kończy osiemdziesiąt pięć lat, a Gussie jest wciąż silna i pomimo że używa chodzika, na pewno się pojawi. Oczywiście myślałam też o wszystkich, których nie było na przyjęciu – o pannie Chevalier, Helen, Katherine, Betty i jej Hermanie.

Filomenie było przykro, że nie udało się jej dotrzeć, ale biodro nie goi się na tyle szybko, żeby mogła podróżować. Zastanawiam się, czy by do niej nie polecieć. Tylko nie mów swojej matce, dobrze? Martwi się, gdy podróżuję samotnie. Oczywiście wolałabym wybrać się z twoim dziadkiem, ale to już niemożliwe.

Ale może ty byś ze mną poleciała? To przepiękna część kraju, a ty nigdy tam nie byłaś. Gdy tylko zaczniesz się szkoła, nie będziesz miała czasu na prawdziwe wakacje, a ja chętnie ci zafunduję taką wycieczkę. Tylko ty i ja. Mimo że twój Brian mnie uwielbia, raczej nie będzie chciał spędzać urlopu z babką swojej przyszłej żony. O ile weźmiecie ślub, rzecz jasna.

O, nie! Na starość chyba zmieniam się w *jentę*!

Ale miej to na uwadze.

\* \* \*

Czułam się bardziej niż trochę skrepowana przemówieniami na urodzinach. Wszyscy podkreślali, jaką to jestem nadzwyczajną osobą. Jednak kiedy twoja mama i ciocia mówiły, jak wielkie miały szczęście, że byłam ich matką, pękałam z dumy i ze wzruszenia. Każdy powinien coś takiego przeżyć.

Muszę jednak przyznać, że miałam też wrażenie, jakbym oglądała własny pogrzeb. Dlatego chcę ci przypomnieć: kiedy umrę, zadbaj, żeby wtedy też było tyle żartów i śmiechu. Twoje przemówienie uważam za najzabawniejsze, choć nie mogę uwierzyć, że opowiedziałaś, jak paliłyśmy trawkę w moje osiemdziesiąte urodziny.

Powinnaś o tym wspomnieć w mowie pogrzebowej. I, *proszę*, ty ją wygłoś.

Dla twojej matki lub ciotki będzie to zbyt trudne, zresztą słowa wnuczki na pewno okażą się bardziej wzruszające.

Nie patrz tak na mnie, nic mi nie jest. Lekarka powiedziała, że chciałyby mieć takie zdrowie, gdy dożyje osiemdziesięciu pięciu lat. Zresztą nie mam zamiaru umierać, dopóki nie usłyszę, jak wszyscy cię tytułują „rabbi”. Rabbi Ava Miller.

Wciąż próbuję sobie wyobrazić, co powiedziałby mój ojciec, gdyby się dowiedział, że jego prawnuczka zostanie rabinem. Głowa by mu chyba eksplodowała.

Studia do rabinatu trwają pięć lat, prawda? Więc będę miała dziewięćdziesiątkę, gdy je skończysz. Och, wybacz, kiedy zostaniesz *mianowana*.

Oto coś, na co naprawdę warto czekać.

## Podziękowania

Chciałabym szczególnie podziękować pracownikom Schlesinger Library na Harvardzie, które przesunęły swoje godziny pracy, żeby skatalogować dla mnie ponad pięćdziesiąt pudeł materiałów związanych z pensjonatem w Rockport. Wyrazy wdzięczności składam Susan Earle, Kathryn Allamong Jacob i Sarah M. Hutcheon.

Dziękuję także za ogromną pomoc Bridget Carr z Orkiestry Filharmonii Bostońskiej, Katherine Devine z Boston Public Library, Susan Herron z Sandy Bay Historical Society, Jane Matlaw z Beth Israel Deasoness Medical Center, Maureen Melton z Museum of Fine Arts w Bostonie, Ethel Shepard z Crittenton Women's Union, Ellen Smith z Brandeis University, Donnie Webber z Simmons College.

Chris Czernik, Rosalyn Kramer, Deb Theodore i Pattie Chase podzielili się ze mną wspomnieniami o pensjonacie w Rockport. Dexter Blumenthal i Joe Mueller pomogli mi na etapie wczesnych badań. Ellyn Harmon, Amy Fleming, Joyce Friedman i Marilyn Okonow dziękuję za wsparcie i sugestie, a Denise Finard, Benowi Loetermanowi, Harry'emu Martenowi, Nancy Schön, Sondrze Stein, Jonathanowi Strongowi i Ande Zellman wdzięczna jestem za to, że byli przy mnie, gdy ich potrzebowałam.

Dziękuję Amandzie Urban z ICM i zespołowi wydawnictwa Scribner: Roz Lippel, Susan Moldow i Nan Graham – doceniam waszą wiarę we mnie.

W tym długim marszu na każdym kroku towarzyszyli mi mądrzy partnerzy z grupy pisarskiej – Amy Hoffman i Stephen McCauley. Janet Buchwald zapewniła mi świeże spojrzenie na to, co napisałam, i naprawdę okazało się to bardzo potrzebne.

Moja rodzina wytrzymała więcej *meszuge* niż zwykle. Dziękuję mojej matce, Helene Diamant, bratu Harry'emu Diamantowi, córce Emilii Diamant, a zwłaszcza mojemu mężowi, Jimowi Ballowi, który dźwigał brzemię i nigdy nie stracił wiary we mnie.

Bob Wyatt namawiał mnie do pisania wiele razy. Bez jego pomocy ta książka nie trafiłaby w ręce czytelników.

Tytuł oryginału: *The Boston Girl*

Copyright © 2014 by Anita Diamant

Copyright © Scribner, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Koczańska, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Przekład: Małgorzata Koczańska

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Anita Rejch, Katarzyna Skwark

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki i projekt okładki:

© Keystone-France/Gamma-Keystone via Getty Images + Jacket design by Marlyn Dantes

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3294-1

## Przypisy

[ ← 1 ]

Wiersz opowiada o jednym z wydarzeń, które zapoczątkowały rewolucję amerykańską. Paul Revere dowiedział się przypadkiem, że król angielski rozkazał pojmać przywódców ruchów wolnościowych. Revere jechał konno całą noc, wyprzedził brytyjskich żołnierzy i ostrzegł o ataku zwolenników niepodległości kolonii (przyp. tłum.).

[ ← 2 ]

Margaret Sanger (1879-1966) – amerykańska pielęgniarka, feministka, działaczka na rzecz świadomego macierzyństwa (przyp. tłum.).

## Spis treści

1985

Nikt ci nie powiedział?

1915-1916

Wtedy zaczęłam wieść własne życie

Trzy razy hurra dla Addie Baum

Od czego są przyjaciółki?

Masz dobre oko

Wydawał mi się nierzeczywisty

Mądrała z ciebie

Mazeł tow!

Pańska córka jest doskonała

Może jednak nie będę podpierać ścian

Mamy w rodzinie sufrażystkę

Myślałam, że jestem zakochana

To moja wina

1917-1918

Było to jak przebudzenie się z koszmaru

Zwinny rudy lis przeskoczył nad leniwym psem

Zakładam, że Bóg stworzył też Margaret Sanger

Możesz pocałować pannę młodą

No, wiesz – żyć

Jak można po takiej tragedii żyć dalej?

1919-1920

W stosunku do mężczyzn wciąż byłam bardzo nieśmiała

Uznałam, że jest słodki, i za to najbardziej go polubiłam

1922-1924

Gdybym nie była tak zajęta, pewnie zaczęłabym się nad sobą użalać

Dziewczyna powinna mieć własne pieniądze

To nie twoja sprawa, Addie

Autor: Addie Baum

Przygryzałam sobie do bólu język, żeby nie wybuchnąć

Dzięki temu czułam się jak prawdziwa dziewczyna z Bostonu

1925-1926

Ładnie to ujęłaś

Nigdy nie przepraszaj za to, że jesteś inteligentna

Szczęśliwy traf, mówię ci

Tak Ci mówię

Przynajmniej nie cierpiała

Nie mam wyboru, Addie

To chłopak cioci Addie

Jak on się nazywa?

No, popatrz tylko, robię się jak Metsky!

Mój świat stał się bardzo mały

1927

Czułam tylko ból

Życie jest ważniejsze niż śmierć

Zawsze patrzyłaś na mnie tylko z miłością

Nie pozwól, aby ci wmawiano, że teraz nie jest lepiej niż dawniej

Ty jesteś ta Addie, prawda?

1931...

Najlepsze lata mojego życia

Stare przyjaźnie są najlepsze

Wciąż szaleńczo za nim tęsknię

1985



Oto coś, na co naprawdę warto czekać

Podziękowania